

- ◆ Seks dla mężczyzn i kobiet str. 7
- ◆ Dywersanci w polskich mundurach str. 4
- ◆ Antysemityzm w Kościele? str. 2
- ◆ Jak Chruszczow został człowiekiem Stalina? str. 10
- ◆ Jacyś dwaj cywile... str. 11

Na pytanie — dlaczego zabija? — odpowiada, że nie wie..

Proces szatana

EUGENIUSZ IWANICKI

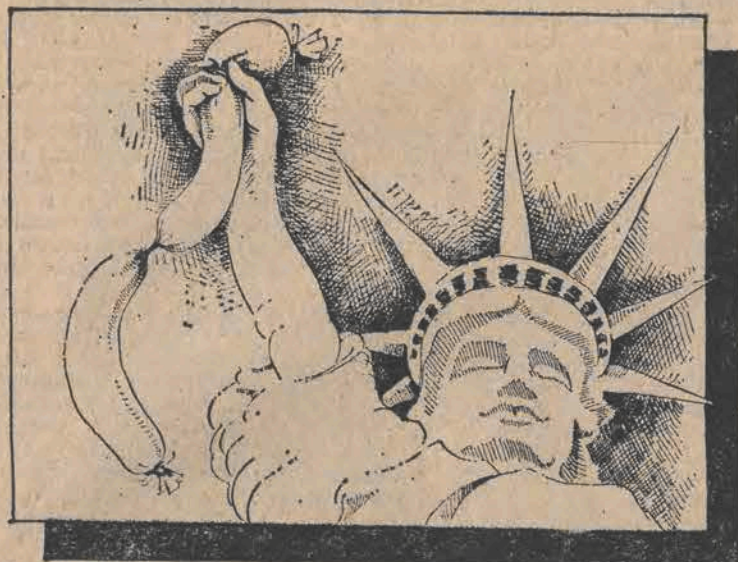
Na ten proces czekali z niecierpliwością i w wielkim podnieceniu. Sąd Wojewódzki w Piotrkowie Trybunalskim musiał wydawać przepustki, bowiem chętnych ujrzenia „Szatana” z bliska nie pomieściłaby żadna sala rozpraw. W sukurs sądowi pospieszyły władze miasta przydzielając najmniejszą z możliwych sal w budynku Sądu Rejonowego: ot, raptem jakieś 50 metrów kwadratowych, z czego połowę zajmują stoły dla składu sędziowskiego, ławki dla oskarżycieli posiłkowych oraz ława dla oskarżonego.

Tego ranka, 12 września br. świeciło słońce zapowiadając pogodny jesienny dzień. Ale ulice Piotrkowa i bez tego były ludne: przed sklepami stały długie kolejki, bo rozeszła się pogłoska, że „rzuca cukier”. Na ulicy Strączyńskiego, przed budynkiem Sądu Rejonowego, tak że zebrał się spory tłumek, podobny utworzył się z drugiej strony, na ulicy Wojska Polskiego. Ale największe zgromadzenie było na Ryckiej, do której przylega podwórce sądu. Ludzie ponoć zebrał się tam już od siódmej rano czekając na przyjazd milicyjnej „Nysy”

z czterokrotnym mordercą dzieci Mariuszem Trynkiewiczem. Zarówno tłum na Ryckiej, jak i na Strączyńskiego i Wojska Polskiego, był milczący i złowrogi. Niektórzy trzymali w ręku kamienie lub pałki.

Tuż przed godziną dziesiątą zaczęły rozlegać się pierwsze pojedyncze okrzyki, potem już krzyczeli wszyscy i wyrażając próbowali przedrzeć się przez kordon milicjantów szczególnie blokujący wejścia. Słychać było: „Dajcie go nam!”, „Pokaż się ty bandyto!”, „Wyjdź stamtąd!”, „Przez okna z sali sądowej widać było wyraźnie wzburzony, kipiący tłum. Milicjanci w końcu zaczęli tak manewrować „Nysami”, aż zasłonili okna zapewne ze względu na możliwość wrzucenia kamieni do sali sądowej, a może też po to, by nikt z ulicy nie widział, co się dzieje na sali rozpraw.

5



Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 39 (1643) ROK XXXII 24 WRZEŚNIA 1989 ROKU CENA 200 ZŁ

XIV Powszechny Zjazd Historyków Polskich

Żona jest jak zaplecze frontu

ZOFIA KĘDZIORA
MAREK KOPROWSKI

W Łodzi odbył się w dniach 7-10.09. br. XIV Powszechny Zjazd Historyków Polskich. Zjazd ważny i dla środowiska i — w perspektywie — dla społeczeństwa. Rozpoczęto bowiem odkrywanie tajemnic polskiej historii najnowszej, po ujawnieniu najważniejszych „białych plam” w dziejach Związku Radzieckiego przez historyków radzieckich. Znamienne było stwierdzenie premiera Tadeusza Mazowieckiego w liście do Zjazdu, że liczy na wsparcie uczestników przy weryfikacji (czytaj: odkłamaniu) programów i podręczników historii.

W czasie krótkiej dyskusji na konferencji prasowej, prof. Libiszowska była zdania, że historycy nigdy nie kłamali, co najwyżej przemilczali prawdę, często wbrew własnej woli. Znaczący to, że kłamstwa preparowali — manipulanci i kuglarze, odpowiedzialni za propagandę w poprzednich ekipach władzy. Do tego ważnego i budzącego emocje tematu nawiązał prof. dr Wojciech Wrzesiński w referacie inauguracyjnym obrady Zjazdu pt. „Środowisko historyczne — troski, obawy, nadzieje”. Stwierdził, iż przez wiele lat o kształcie historii decydowały w Polsce racje polityczne, mówił o postawach dworackich i dyspozycyjności niektórych ludzi nauki, o manipulacjach, przekłamaniach, niepełnych prawdach. Wspomniał również o zafobosowaniu warsztatu historyka, minimalnych kontaktach ze światem, ograniczonym dostępie do prasy i książek zagranicznych, o przewlekłym procesie wydawniczym, o konserwatywnym nau-

czaniu tego przedmiotu na studiach, o niewielkiej randze Polskiego Towarzystwa Historycznego, o starzeniu się kadry naukowej, braku specjalistów, wreszcie o skrepowaniu finansowym. I to w momencie, gdy przed środowiskiem historyków otwiera się dziejowa szansa odegrania właściwej i niczym nie skrepowanej roli wobec społeczeństwa, otwarcia zamkniętych dotąd kart naszej historii, ujawnienia całej prawdy, przekazania dziedzictwa przeszłości młodemu pokoleniu.

1.

Problem rzetelności przedstawiania faktów historycznych jest stary jak sama historia. Nawet Gallowi Anonimowi (pozostając na gruncie polskim) wytyka się kłamstwa. Jednak szczególnie teraz, gdy emocjonujemy się odkrywaniem „białych plam” w historii najnowszej, na czasie wydaje się pytanie, czy historycy kłamią?

Profesor doktor Krystyna Kersten powiedziała:

— Raczę tworzyli konstrukcje złożone z półprawd, zmieniano bowiem akcenty, sens słów i pojęć. Komuniści dokonali operacji na świadomości — kontynuuje pani profesor — na przykład mówili „demokracja” o czymś, co z demokracją nie miało nic wspólnego. Tworzyli nowe pojęcia, znów przykład — „demokracja socjalistyczna”. Były więc to kłamstwa półprawd, przemilczeń.

Profesor doktor Henryk Samsonowicz zauważył:

— Historia jest pamięcią narodu i białą narodowi, jeżeli jest ona zakłamaną. Oczywiście możemy się mylić, ale naszym obowiązkiem jest pisanie prawdy, pisanie zgodnie z sumieniem. — Profesor Samsonowicz dodał również: — Jeżeli mówi się obecnie, że historycy kłamią, to dlatego, że ludzie chcą odegrać na to, co miało miejsce w ciągu tych czterdziestu ponad lat. Chcą poznać rzeczy, o których wiedzieli, a nie można było o nich mówić, budzi się więc potrzeba wiedzy, a również potrzeba sprawiedliwości.

O tym problemie wspominał również dr J. Eisler (podczas sympozjum pod tytułem „Procesy polityczno-społeczne w powojennej Polsce — ciągłość i zmiana”, a przygotowanego przez prof. dr Krystynę Kersten) — w powojennej Polsce bardzo rzadko prowadzone były badania metodyczne nad naszą najnowszą historią. Wyniki tych badań na ogół nie były publikowane, a jeżeli już, to były to prace pisane hermetycznym językiem, wydawane w małych nakładach, na ogół niedostępne dla przeciętnego odbiorcy. Dopiero po sierpniu 1980 roku pojawiały się opracowania, a następnie z nich poświecono kolejnym kryzysom społeczno-politycznym (często opisywane w sposób selektywny i instrumentalny, zależny od tego kto i dla kogo pisał).

Zdaniem doktora Eislera nadal jednak marzec 1968 roku jest kryzysem najmniej znanym, mimo rozpoznania jego głównych wątków: studenckiego ruchu opozycyjnego, rozgrywek frakcyjnych w PZPR, walki środowisk partyjnych z rewizjonizmem i inteligencją, kampanii antysemickiej, warunkowań międzynarodowych — cały czas pozostaje wiele tajemnic i zagadek. Kryzys ten różnił się zdecydowanie od innych kryzysów, które wstrząsnęły naszym krajem. Podczas pierwszego zjazdu Towarzystwa Patriotycznego w Warszawie, w jednym z publicznych wystąpień padło nawet stwierdzenie, iż nadejdą takie czasy, że robotnicy poznają się z pomnikami wydarzeń roku 1956 (na którym wymienione zostały daty kolejnych kryzysów) od-rabiają rok 1968.

Przed wszystkim to nie robotnicy, jak w przypadku pozostałych protestów, odegrali wówczas rolę decydują-

3

Byli współpracownik „Odgłosów” osiadł na Tahiti. Był „gorylem” króla Maroka Hassana II, bliskim współpracownikiem gubernatora Francuskiej Polinezji, zeglował po Antylach i wokół Wysp Dziewiczych, hodował czarne perły na archipelagu Tuamotu, prowadził szkołę informatyki w Papeete.

Człowiek, który może powiedzieć: miałem ciekawe życie

Czytaj strona 5



Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70; 32-89-70

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Problematyka literacka:
Henryk Pustkowski.

Problematyka kulturalna:
Marian Zdrojewski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorosiński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Zofia
Kedziora, Marek Koprowski,
Mirosław Kuliś, Jerzy
Kwieciński, Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki, Paweł
Tomaszewski.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejewski,
Marek Brzeziński
(Paryż — Londyn),
Grzegorz Gazda, Janusz
Janyst, Andrzej Karolczak,
Witold Kasperkiewicz,
Andrzej Kempa, Wasył
Kocznów (Moskwa),
Włodzimierz Krzemiński,
Bogumił A. Makowski,
Zenon J. Michalski,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasek, Dariusz
Romanowicz, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń, Łódź, ul. Sienkiewicza
3/5, tel. 32-59-11.
Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiewicz, tel. 36-99-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe, RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.
DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch” Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 23.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótołów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
złokalkulowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — insty-
tucje i zakłady pracy złokalku-
lowane w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli, osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urze-
dach pocztowych nadawców-od-
dawczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratę.
Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 3.
Prenumeratę ze zleceniem wysy-
łki za granicę przyjmuje
RSW „Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23
00-958 Warszawa konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie nr
1658-201045-139-11. Prenumeratę
ze zleceniem wysyłki za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecenioda-
wcy instytucji i zakładów pra-
cy. Termin przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenume-
raty roku bieżącego. D-10

Przegląd prasy

Homilia prymasa Polski,
kardynała Józefa Glempa, wy-
głoszona 26 sierpnia 1989 roku
podczas uroczystości Matki Boskiej
Częstochowskiej na Jasnej
Górze, wzbudziła większe po-
ruszenie, niż można było się
spodziewać. Na życzenie Czytel-
ników przytaczam cały frag-
ment dotyczący dialogu z Ży-
dami. Cytuję tekst opubliko-
wany w tygodniku archidiecezji
warszawskiej „PRZEGŁĄD
KATOLICKI” (nr 37, str. 2).

„Życie jednak nie lubi sche-
matów i relacje między ludźmi
układa inaczej niż w katego-
riach przyjaźni-urógu. U nas
dotyczy to szczególnie narodu
żydowskiego, który nigdy nie
był sąsiadem, ale domownikiem,
a który swoją innością i ubo-
gacą, i sprawiał kłopot. Dla
wielu Żydów Polska była
Ojczyzną nie tylko z racji oby-
watelstwa, ale z racji auten-
tycznej miłości. Czytamy w
„Panu Tadeuszu” o Jankielu:

„Mówiąc, ciągle szlochał.
Żyd pocciwy Ojczyznę jako
Polak kochał!”

Obok Żyda-karczmarza, któ-
ry rozpiął chłopów, obok Ży-
dów — szeryfów komunizmu,
byli spośród Izraelitów ludzie,
którzy dali Polsce i talent,
i życie. Nie byliśmy sobie obo-
jętni. Dlatego mogli powstawać
żądania antypolonizmu i anty-
semityzmu. Aby zrozumieć zło-
żoność i przenikanie się prob-
lemów polsko-żydowskich, po-
stawmy sobie pytania: Czy
byli w Polsce niechęć i a-
wenty przeciw Żydom? —
Byli. Czy byli w Polsce
Żydzi-przedsiębiorcy, którzy
lekceważyli i pogardzali Pola-
kami? — Byli. Czy byli
Żydzi kolaboranci, którzy nie
dorastali do bohaterów obroń-
ców Getta? — Byli. Czy byli
w Polsce okresy przemilenia
cierpienia i ofiar Żydom? — By-
ły. Czy byli Polacy, którzy ra-
towanie Żydom przypisali swo-
im? — Byli. Wspomnie-
nie 50. rocznicy wybuchu II woj-
ny światowej stawia nas po
tej samej stronie barykady,
po stronie wyniszczenia i
śmierci. Żydzi, Cyganie, Pola-
cy — to ludy w strategii hit-
lerowskiej skazane na zagładę,
ale według innego planu i w
różnej skali. Na przykład Pola-
cy byli wyniszczeni najpierw w
warstwie inteligencji. Wspólna
dola łączyła prześladowanych.
Na polskim cmentarzu pol-
skich żołnierzy pod Monte Cas-
sino obok krzyży nad mogiłą
katolików wzniesione są stela-
ze z gwiazdą żydowską — tak
samo polskich żołnierzy. Wśród
masowych grobów pomordowa-
nych polskich oficerów w Ka-
tyniu niewątpliwie są także
groby Żydów. Braterstwo
wspólnego mężczyzny i wspól-
noty prochów ma niezwykłą
wymowę. Antoni Słonimski, pol-
ski poeta, który nie ukrywał
swojego pochodzenia, wydobyl
prawdę o bezimiennych bohater-
ach Warszawy, gdy pisał:
„Dla was pieśń moja i lzy
moje, / Zwyčajni, prości, nie-
ogromni, / Stokroć was więcej
padło w boju, / Lecz któż imi-
na wasze wspomni? / Traga-
rze, szewcy, rzemieślnicy, /
Doktorzy, krawcy i służące, /
Zony i siostry, co mieszące /
Skryte wśród gruzów po piwni-
cach, / Przez to szaleństwo
krwii i chwały, / W kępkach, w
rozpaczy umierały, / Dla was
lzy moje, lzy gorące”. („Mogiła
nieznanego mieszkańca War-
szawy”).

Wielu Żydów wtopiło się w
polską kulturę i w chrześcijań-
stwo, a krzyż, który widnieje
nad ich grobami, nie odebrał
im miłości do swego narodu.
Wiele dlaczego zrodziło się
problem Oświęcimia i kłopotu
siostr karmelitanek? Dlaczego
wybuchł nagle dopiero w czer-
wiec lat po wygaszeniu pie-
ców krematoryjnych. Te pyta-
nia dręczą bardzo wielu, gdy
mówimy o pokoju, który ma
niezwyciężać skutki wojny. Chciał-
bym w pokorze i w pragnie-
niu jedności poruszyć ten te-
mat. Skoro tyle spraw jest na-
brzmiałych, to potrzebny jest
dialog. Dialog systematycznego
wyjaśniania rzeczy trudnych,
a nie przedkładania żądań.
Mamy swoje winy wobec Ży-
dów, ale dziś chciałoby się po-
wiedzieć:

Kochani Żydzi, nie rozma-
wiajcie z nami z pozycji narodu
wymieszonego ponad wszy-
stkie inne i nie stawiajcie nam
warunków niemożliwych do

wypełnienia. Siostry karmeli-
tanki, mieszkające obok obozu
w Oświęcimiu, chciały i chcą
być znakiem tej ludzkiej soli-
darności, która obejmuje żywych
i umarłych. Czyż, Szanowni Ży-
dzi, nie widzicie, że wystąpienie
przeciw nim narusza uczucia
wszystkich Polaków, naszą su-
werenność z takim trudem zdo-
bywaną? Waszą potęgą są śro-
dki społecznego przekazu, będące
w wielu krajach do waszej dys-
pozycji. Niech one nie służą
rozniecaniu antypolonizmu. Nie-
dawno oddział siedmiu Żydów
z Nowego Jorku dokonali na-
pastań na klasztor w Oświęcimiu,
wprawdzie nie doszło do
zabójstwa siostr lub zniszczenia
klasztoru, bo zostali powstrzy-
mani, ale nie nazywajcie na-
pastników bohaterami. Zacho-
wajmy płaszczyznę cywilizacji,
w której żyjemy. Umiejęmy roz-
różnić niektóre sprawy uprosz-
czone i pomieszczone. Odróżnij-
my Oświęcim — Auschwitz,
gdzie ginęli przeważnie Pola-
cy i inne narody, od odległej
o kilka kilometrów Brzezinki-
Birkenau, gdzie ginęli prze-
ważnie Żydzi. Odróżnijmy na-
stępnie płaszczyznę cywilną od
płaszczyzny teologicznej. Niech
nowa doktryna na temat obec-
ności lub nieobecności Boga w
miejscu Ofiary będzie uzasad-
niona i zrozumiała dla wszyst-
kich ludzi wierzących w Boga,
a niech nie będzie narzę-
dziem politycznym w ręku gru-
py ludzi, zwłaszcza niewierzą-
cych.

My, którzy czcimy Maryję
z Nazaretu i mamy z Wami,
Żydzi, wiele miejsc wspólnie
czczonych jako święte, rozpo-
czynijmy dialog w szczerości i
prawdzie. Jeśli nie będzie an-
tipolonizmu, nie będzie u nas
także antysemityzmu. Życzymy
Wam, aby na Świętej Ziemi
Palestynie nikt nie obrażał
Was kamieniami, aby tam wy-
szły się ogłoty strzałami, aby
nikt nie ginął w kuli karabinu,
aby pokój „salom” był tam,
gdzie Wy jesteście!”

Ten fragment kazania został
ostro skrytykowany w czoło-
wych pismach zachodnich. Ale
pojawiały się również głosy
krytyczne w polskiej prasie.
W ubiegłym tygodniu odnoto-
wałem komentarz Krzysztofa
Śliwińskiego z „Gazety Wy-
borczej” (nr 79). Obecnie zwr-
acam uwagę na obszerny arty-
kuł polemiczny Konstantego
Geberta w tygodniku „POLITY-
KA” (nr 36). W notce redak-
cyjnej podano, że autor jest
publicystą „Gazety Wyborczej”
i „Solidarności”, piszącym pod
pseudonimem Dawid Warsza-
wski.

ANTYSEMITYZM W KOŚCIELE?

Konstanty Gebert zaznacza,
że jest Żydem, lecz nie przes-
ta być Polakiem. Kościół katolicki
nie stanowi dla niego
tylko zewnętrznej rzeczywisto-
ści. W działalności konspira-
cyjnej podczas stanu wojen-
nego korzystał z pomocy osób
duchowych. Miał nadzieję, że
czarne karty historii katolicy-
zmu polskiego należą już do
przeszłości. Ale wiedział, że
nasza rzeczywistość nie jest
prosta.

„Znałem antysemitę bro-
szurki, kolportowane także i po
kościółkach, wiedziałem, że ko-
ściółki na Zagórnie, gdzie sprze-
dawano „Protokoły Mędrców
Syjonu”, cieszyły się poparciem
kurii warszawskiej, wielokrot-
nie spotykałem się z antyse-
mityzmem osobistym. Chciałem
jednak uważać, że to margines
fanatyzmu i ignorancji, że z
prawdziwą Polską i prawdzi-
wym Kościołem spotykam się
nie tam, lecz w dialogu, przy-
jaźni i modlitewnym zbliże-
niu”.

Gdy prymas Józef Glemp po-
wiedział 26 lutego 1987 roku
w Brukseli, że twierdzenie, iż
podczas wojny zginęło 6 mln
obywateli polskich nie wyku-
rza, że byli wśród nich Żydzi,
Konstanty Gebert uznał to za
lapsus. Nie powiodło się jednak
próby uzyskania sprostowania.
Grupa 45 Żydów i katolików
nie otrzymała odpowiedzi na
wysłany do prymasa list.

Konstanty Gebert nie po-
chwala prowokacyjnej manife-
stacji Żydów w Oświęcimiu.
Uważa jednak, że prowoko-
wali, ponieważ zostali sprowo-
kowani. Kościół nie dotrzymał
bowiem porozumień gene-
wskich ze stroną żydowską.
Pierwszy termin upłynął 22
lutego 1989 roku.

W częstochowskiej homilii
prymasa zawarty jest wykład
jego poglądów na rolę Żydów
w historii Polski. Konstanty
Gebert protestuje przeciwko
stawianiu na jednej płaszczy-
nie antypolonizmu i antysemit-
yzmu. Żydzi nie organizowali
bojówek i nie głosili nienawi-
ści religijnej do Polaków.

Analogia jest więc fałszywa
historycznie i nie do przyję-
cia moralnie. Klasyk insy-
nuacją jest twierdzenie, że
środki masowego przekazu w
wielu krajach są łatwo dyspo-
zycyjne dla Żydów. Homilia
kardynała Józefa Glempa za-
wiera skrót tego, co liczni
obserwatorzy nazywali podgle-
biem, na którym odradza się
antysemityzm polski.

„Teraz przynajmniej nie
będzie można mówić o bezpod-
stawnych domysłach, o prze-
warżliwym. Fakty są jasne,
dostępne dla każdego. (...) O-
czekuję, że wokół wypowiedzi
ks. Prymasa otworzy się dys-
kusja, już tym razem nie o
przeszłości — jak to było przy
okazji słynnego tekstu Jana
Błońskiego w „Tygodniku Po-
wszechnym” — lecz teraźniej-
szości i przyszłości. Nie jest w
końcu tajemnicą, że jednym z
najbliższych doradców ks. Pry-
masa jest prof. Giertych, re-
daktor naczelny antysemitickiego
„Słowa Narodowego”. Nie
wiem, co skłoniło ks. Prymasa,
by publicznie podpisać się
pod niektórymi z ulubionych
uprzedzeń swego doradcy i
tym samym rzucić na szalę
cały autorytet Kościoła. Wy-
głaszając częstochowską homi-
lię, Prymas odszedł od przygo-
towanego wcześniej tekstu, a
jego słowa zaskoczyły i zaso-
kowaly obecnych.

Być może, odwołując się do
rozpowiadanych i popular-
nych stereotypów, broniąc Kar-
mela i Polski przed „żydow-
skimi napastnikami”, ks. Pry-
mas pragnie budować bazę
dla politycznego ruchu o kle-
rykalno-nacjonalistycznym ob-
liczu. Być może powiedział po
prostu to, co mu w duszy gra.
Nie ma wątpliwości, że wyraził
postawę i uczucia wspólne dla
wielu Polaków, którzy — nie
rozumiejąc istoty genezyjskiego
porozumienia w sprawie Kar-
mela — skłonni są rzeczywiście
uznać roszczenia Żydów za
bezprawną ingerencję w spra-
wę Polaków”.

Konstanty Gebert z niepo-
kojem myśli o zewnętrznych i
wewnętrznych konsekwen-
cjach wystąpienia prymasa
Polski. Obawia się podziału na
„swoich” i „obcych”. Wzywa
do zabrania głosu w tej spra-
wie czołowych przedstawicieli
polskiej opinii publicznej. Po
częstochowskiej homilii Józefa
Glempa czuje się „trochę
mniej w sobie, trochę mniej w
domu”.

Kazanie prymasa ocenił
także Jerzy Chłopecki w ty-
godniku „PRAWO I ŻYCIE”
(nr 36). Nie posadza on kar-
dynała Józefa Glempa o
intencje. Twierdzi jednak, że
komentarz do konfliktu wokół
klasztoru w Oświęcimiu był
„wyjątkowo niezręczny”. Nie
chyba nie upoważniało do su-
gestii, że manifestacja Żydów
groziła zabicie karmelitanek.
Natomiast prawdziwa jest opi-
nia, że środowiska żydowskie
są bardzo wpływowe na Zach-
odzie.

„Z tego wszystkiego nie wy-
nika jednak, aby można było
stawić znak równości między
zjawiskiem — antysemityzm
wśród Polaków a zjawiskiem
antypolonizmu wśród Żydów.
I nie sądzę, aby stawianie
takiego znaku równości leżało
w intencji prymasa”.

Sześciopiętna analiza tekstu
wygłoszonego przez prymasa
pozwoliłaby bronić nie tylko
prawdziwości wielu stwierdzeń,
ale i faktu użycia w dobrej
wierze. Niestety, to, co można
napisać w rozprawie naukowej,
nawet w artykule publicysty-
cznym, nie zawsze nadaje się
do kazania wygłaszanego wo-
bec tłumu wiernych”.

Zdaniem Jerzego Chłopeckie-
go, trzeba zastanowić się, czy
antypolskie reakcje na homi-
lię częstochowską (rażące nie-
współmierność i często drasty-
czne) nie spowodowały w naszym
kraju nastrojów antysemitickich.
Z pewnych względów reakcje
zachodnich nie można zbyć
milczeniem. Przedstawienie
Polski jako ojczyzny antyse-
mityzmu jest bezczelne. In-
telektualiści i działacze żydo-
wscy muszą przeciwie wiedzieć,
że prawie trzy czwarte wszyst-
kich Żydów pochodzi z Pol-
ski. Na tle twierdzeń o długiej
historii antysemityzmu
polskiego fakt ten byłby czymś
niezwykłym i niewytluma-
czalnym. Nawet w okresie
miedzywojennym władze pol-
skie nie prowadziły polityki
antyżydowskiej.

E. L.

W klubie dyskusyjnym „Jawność” opracowano interesujący
projekt deklaracji ideowej nowej partii, w którą — według
autorów — miałyby się przekształcić PZPR. Prawdopodobnie
jest to pierwszy tego rodzaju całościowy dokument. Publikujemy
go bez skrótów. Być może zainteresuje naszych Czytelników.

Deklaracja ideowa Polskiego Ruchu Socjalistycznego

Polski Ruch Socjalistyczny wyrasta z krytycznego nurtu Pol-
skiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Jest politycznym ruchem
reformatorskim nawiązującym do najlepszych lewicowych trady-
cji demokratycznych. Reprezentujemy interesy narodu polskiego,
a przede wszystkim ludzi utrzymujących się z własnej pracy: in-
teligencji i robotników. Zmierzamy do urzeczywistnienia spra-
wiedliwego i wolnego społeczeństwa obywatelskiego.

Niniejsza deklaracja zawiera zbiór naczynych wartości i ce-
lów, które pragniemy realizować dla dobra narodu, za jego przy-
zwoleniem, przy jego poparciu i świadomym udziale. Daje odpo-
wiedź na pytanie, dokąd zmierzamy i kto może być naszym
członkiem?

Negatywne doświadczenia PZPR i innych partii komunistycz-
nych pozwalają wyciągnąć następujące wnioski: Po pierwsze —
musimy kształtować ustrój społeczny odpowiednio do tradycji i
charakteru narodowego Polaków, wykorzystując w sposób kryty-
czny dorobek innych krajów demokratycznych. Po drugie —
trzeba odrzucić dwa skrajne modele: zarówno totalitarny komu-
nizm, jak i liberalny kapitalizm. Po trzecie — brutalne prawa
wolnej konkurencji rynkowej muszą być łagodzone odpowiednią
polityką społeczną. Po czwarte — każda władza ulega degenera-
cji i korupcji, jeśli nie istnieją skuteczne środki kontroli nad nią
ze strony społeczeństwa. Po piąte — społeczeństwo należy uczci-
wie i wszechstronnie informować, bo siła państwa zależy od
świadomości obywateli. Po szóste — nie wolno narzucać narodo-
wej doktryny światopoglądowej, lecz trzeba zagwarantować
możliwość wolnego wyboru i konkurencji różnych kierunków
ideowych.

Staliśmy obowiązkiem członków Polskiego Ruchu Socjalistyczne-
go jest walka z wszelkim złem społeczno-moralnym, którą nale-
ży rozpocząć od siebie i swego najbliższego środowiska. A naj-
ważniejszym celem jest dążenie do realizacji trzech podsta-
wowych norm socjalistycznych: sprawiedliwości, równości i wolno-
ści. Sprawiedliwość oznacza różnicowanie wynagrodzeń według
ilości i jakości pracy oraz sytuacji ekonomicznej zakładów. Rów-
ność polega na tworzeniu wszystkim jednakowych szans rozwoju
i awansu oraz na równości wobec prawa. Wolność zaś to taki
stan, w którym rzetelnie poinformowani ludzie mogą współ-
kształtować sytuację kraju i społeczności lokalnych.

Sprawiedliwość, równość i wolność — to normy wynikające
z uznania przez nas za naczynych dwóch wartości: jednostki ludz-
kiej i naturalnej grupy społecznej. Na pierwszym miejscu weko-
nomice, polityce i kulturze powinien być człowiek — jako świad-
omy, wolny i godny podmiot. Żyje on w grupach, z których
decydująco znaczenie ma rodzina i naród. Państwo powinno
ułatwić tym wspólnotom takie funkcjonowanie, aby ich członko-
wie mogli żyć godnie i moralnie.

Bezpieczeństwo narodu i jego wszechstronny rozwój niemożli-
we są bez silnego i niepodległego państwa oraz właściwego sto-
sunku do ojczyzny. Podzielamy zdanie wielkiego poety polskiego,
że „Ojczyzna — jest to wielki — zbiorowy — obowią-
zek”. Wynika z niego konieczność uczciwej pracy, postanawiania
własności i nierz posłuszeństwa.

Nauczeni doświadczeniem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotni-
czej, która nie potrafiła zrealizować wielu swoich planów i za-
powiedzi, nie przedstawiamy tu żadnej idealistycznej wizji przy-
szłości. Wskazujemy tylko drogę i cel naszych działań. Odpowia-
damy na pytanie, o co walczymy i dokąd zmierzamy?

Biorąc przykład z naszych poprzedników — Polskiej Partii So-
cjalistycznej i Polskiej Partii Robotniczej chcemy urzeczywistnić
własny model ustrojowy. Powinien on zawierać następujące
elementy:

1. Niezależny i samorządny ruch związkowy. Tworzące go or-
ganizacje uniemożliwiające będą lekceważenie przez państwo bie-
żących interesów ludzi pracy oraz odrywanie się dyrekcji i rzą-
du od społeczeństwa.
2. Samorząd społeczny. Polska winna łączyć w swoim ustroju
istnienie silnego państwa i kompetentnych samorządów.
3. Gospodarka wielosektorowa: państwowa, spółdzielcza, komu-
nalna, prywatna. Wszystkie sektory muszą mieć identyczne wa-
runki rozwoju i konkurencji.
4. Pluralizm światopoglądowy i polityczny. Wszystkie orienta-
cje humanistyczne muszą posiadać możliwość swobodnego dzia-
łania w państwie demokracji parlamentarnej.
5. Społeczeństwo obywatelskie. Możliwość samoorganizowania
się i udziału w kształtowaniu swego środowiska powinna być at-
trybutem państwa demokracji parlamentarnej.

Za podstawowy cel polityki społecznej uznajemy zapewnienie
jednostkom i rodzinom poczucia bezpieczeństwa. Można to osią-
gnąć poprzez zagwarantowanie wszystkim pracy bądź godziwej e-
merytury i renty, a w skrajnych przypadkach — odpowiedniego
zasiłku dla bezrobotnych. W tym celu należy uprzywilejować
pięć ważnych dziedzin:

1. Służba zdrowia i opieka społeczna. Trzeba ograniczyć proces
prywatyzacji leczenia i wzrostu jego kosztów. Usprawnić sys-
tem funkcjonowania opieki zdrowotnej i stworzyć nowoczesną
bazę materialno-instrumentalną.
2. Ochrona środowiska. Katastrofalny stan naszej przyrody wy-
maga zwiększenia nakładów, zaostreżenia przepisów i rozwijania
wielkiego ruchu ochrony wód, ziemi i powietrza stanowiących
bezcenne dobra narodu.
3. Komunikacja publiczna. Zamiast nadmiernego wzrostu indy-
widualnej motoryzacji należy przede wszystkim stworzyć wy-
godną i tanią komunikację zbiorową.
4. Oświata i wychowanie. Nie wolno oszczędzać w tej dziedzi-
nie, lecz trzeba tworzyć odpowiednią sieć szkół i przedszkoli,
unowocześniać bazę i doskonalić kadry nauczycielskie. Jesteśmy
przeciwko prywatyzacji, lecz za uspołecznieniem oświaty.
5. Gospodarka mieszkaniowa i życie osiedlowe. Własne miesz-
kanie i odpowiedni system usług stanowią elementarną przes-
tańską prawidłowego funkcjonowania rodziny. Niezwykle ważną
instytucją jest również autentyczny samorząd mieszkańców.

Proponowane wyżej elementy umożliwiłyby rozwój takich sto-
sunków społecznych, w których ludzie byłby zorientowani na
„być”, a nie tylko „mieć”, „gromadzić”. W realizacji tego mogą
uczestniczyć wszyscy Polacy: wierzący i niewierzący, partyjni
i bezpartyjni, młodzi i starsi.

SZANOWNI CZYTELNICY!

Już nie wiemy, czy się śmiać, czy płakać. To pierwsze
byłoby nawet gorsze. W każdym razie nasz dział finan-
sowy wyliczył, że w obecnej sytuacji — jeśli nie chcemy
być pismem deficytowym — musimy natychmiast pod-
nieść cenę.

Następny numer „Odgłosów” będzie kosztował 200 zło-
tych za jeden egzemplarz. Mamy nadzieję, że nowa cena
utrzyma się przez dłuższy czas. Wszystko zależy od tego,
czy rządowi Tadeusza Mazowieckiego uda się powstrzy-
mać galopującą inflację.

ca, toteż — na co zwrócił uwagę doktor Eisler — partia mająca w nazwie przymiotnik „robotnicza” miała opory, aby przyznać rację wystąpieniom zainicjowanym przez inteligencję i robotników.

Wszystkie protesty przynosiły ponadto niemal natychmiastowe efekty — wymianę elity, proklamowanie nowej polityki. Wydarzenia roku 1968 takich zmian nie pociągnęły za sobą. Wzrosty zmiany (głównie wśród średniego aparatu kierowniczego i partyjnego) były wynikiem antysyjonistycznej polityki moczarowców. (Adam Rapacki i Edward Ochab odeszli protestując przeciw czystce żydowskiej).

Łódzki organizował w 1946 r. pierwszy powojenny zjazd delegatów PTH, po kontrowersji z Krakowem.

Tematami wiodącymi Zjazdów są zwykle rocznice historyczne przypadające w danym roku lub w latach ościennych. Na przykład, I Zjazd w Polsce wyzwolonej w 1925 r. powiłał się z rocznicą koronacji Bolesława Chrobrego. Zjazd łódzki (tegoroczny) miał trzy tematy główne: 50 rocznica wybuchu II wojny światowej, Rewolucja Francuska i jej dziedzictwo (np. Konstytucja 3 Maja, Sejm Czteroletni) i wielkie aglomeracje miejskie w XIX i XX wieku, co stanowił gest w stronę środowiska, które Zjazd przygotowuje organizacyjnie. Sympozja w grupach zainteresowań natomiast, obejmują bardzo roz-

wiem przejść przez cenzurę. Dziś przynosi się je „za pałucha” i nikt, poza autorem, nie zna wcześniej ich treści. Cenzura została wyeliminowana, co jest również napawającym optymizmem znakiem czasu i dowodem rzeczywistych przemian demokratycznych.

3.

Istotnym novum na łódzkim Zjeździe jest podjęcie tematów — spośród ich mnogości — z zakresu historii sztuki i kultury. Odnosi się to do czasów powojennych, stalinowskich i późniejszych. Tytuły wystąpień mówią wszystko: „Państwo — mecenas czy właściciel?” Stanisława Bębena, „Inteligencja wobec nowej rzeczywistości” Krystyny Kersten, „Kino u-

represji i narzucanie słusznej klasowo tematyki dzieł artystów, jeszcze dziś wstrząsani są dreszczem grozy na wspomnienie tamtych ponurych czasów. „Socrealizm zaciążył nad nami nieczym II wojna światowa, dokonał gwałtu na czasie teraźniejszym i przyszłości” — mówił dr Baranowski i się przecieć nie mylił.

Doc. Michał Boni, autor referatu „Robotnicy 50. Socrealizm w natarciu”, nie mógł przejechać, więc jego tekst odczytano. „Socrealizm kulturalny polskiej, kreacja nowej rzeczywistości we wszystkich jej wymiarach, także w codzienności — to socrealizm w natarciu”. Padły przykłady z literatury tamtego okresu, tak absurdalne, że czytający odkładali mikrofon, by wysłuchać się wraz z publicznością, głów-

Z tej ziemi

Rzucili towar i poszli do domu

12.09.1989.

1.

Mamy nowy rząd. Nowy również w tym sensie, że nowe w nim nazwiska. Ale nie obeszło się bez trudności. Mamy nowy rząd, który — według słów premiera Tadeusza Mazowieckiego — świadom jest tego, że nie można przeprowadzać reform ponad społeczeństwem i że niepowodzenia gospodarcze mogą zatrzymać i obalić reformy polityczne. Można powiedzieć, że rząd ten widzi rzeczywistość w dialektycznym powiązaniu, we wzajemnej zależności, co niekiedy bywało obce ludziom mieniącym się z urzędu niejakimi marksistami. Rząd ten — jak utrzymuje Tadeusz Mazowiecki — widzi dwa najpilniejsze zadania: przebudowę polityczną państwa i wyprowadzenie Polski z kryzysu gospodarczego. Oba są ściśle ze sobą związane, wzajemnie się warunkują. A przy tym wszyscy mamy świadomość, że przez minione 40 lat stworzono taki system organizacyjny, taką strukturę, w której państwo chciało decydować o wszystkim. I tego nawyku jeszcze nie pozbyliśmy się, ciągle ciąży on na naszym myśleniu, hamuje je.

2.

Ludzie patrzą z obawą w przyszłość, bo ta przyszłość rysuje im się przerażająco: rosną ceny, pustoszeją sklepy. Domagają się więc wyższych płac, co zaraz odbija się na cenach, które niebezpiecznie szybko rosną. Bardzo zmęczony premier umęczonych narodu — Tadeusz Mazowiecki na pytanie radiowej reporterkki, co zrobić, aby nie był taki zmęczony, odpowiada, że trzeba równomiernie rozłożyć wysiłki na wszystkich i raźno wziąć się do pracy. Takie wezwanie rzuca się u nas już chyba od 1980 roku. Apele są słuszne, ludzie to rozumieją, więc ze zrozumieniem kiwają głowami, przyznają rację apelowującym i... nie biorą się do pracy. Dlaczego? Powody są dwa: pierwszy — to fakt, że u nas ciągle płaca nie zależy od pracy; drugi — to przekonanie, że wszystko zależy od władz wyższych, do centralnych władz, a my możemy tylko... żądać. Na takiej zasadzie zbudowany jest przecież słynny już list organizacji partyjnej „Polmerino”. Na takiej zasadzie zbudowany jest protest Federacji NSZZ Przemysłu Lekkiego.

3.

Jestem pełen uznania i szacunku dla odwagi członków PZPR w „Polmerino”. Ale właśnie to uznanie i szacunek nakazują mi powiedzieć, co myślę. A myślę, że wszystko dokonało się po starciu. Zmiana na stanowisku i sekretarza KŁ PZPR dokonała się w obrębie Egzekutywy KŁ PZPR, która ma przez to nadal znakomite samopoczucie, gdyż całą odpowiedzialność zwołano na Józefa Niewiadomskiego. Egzekutywa jakby przez ten czas nie zbierała się, nie obradowała, nie podejmowała decyzji, nie wiedziała, co się w Łodzi dzieje.

Członkowie PZPR w „Polmerino” wiedzą przecież, że partia już nie zajmuje się rozdziałem dóbr, ale wiedzą również, że ludzie za ten podział odpowiedzialni są też członkami PZPR i chodziło im o to, aby łódzka instancja policyjna się z tymi, którzy za coś odpowiadają, a nie zrobić nic potrafiła.

Federacja NSZZ Przemysłu Lekkiego domaga się:

1. Podjęcia zdecydowanych i odczuwalnych działań w sferze zaopatrzenia łódzkich sklepów przede wszystkim w artykuły żywnościowe.

Oczywiście, zrobić to ma centrum. Przywykliśmy do tego, że ktoś inny decyduje, ktoś inny przydziela, ktoś inny daje. Od nas nic nie zależy. Ale tak było. Dziś powinniśmy kształtować inny sposób myślenia. Zaczynać powinniśmy od siebie.

4.

List członków PZPR z „Polmerino” i protest Federacji NSZZ Przemysłu Lekkiego ujawniły łódzki stan zapasów. Publicznie ujawniły zagrożenia. Na skutek protestu organizacji PZPR z „Polmerino” dokonano zmiany na stanowisku i sekretarza KŁ PZPR. Ale to początek. Jeśli stan zapasów w Łodzi ma się zatrzymać, jeśli ma nastąpić zahamowanie staczania się na „drugie dno”, to trzeba ruszyć Radę Narodową Miasta Łodzi. Teraz proponowałbym list otwarty do Prezydium RNML z pytaniem, co to najwyższa władza w mieście i województwie uczyniła, żeby zmniejszyć sytuację?

PZPR posiada liczną grupę radnych nie tylko w RNML, ale w radach dzielnicowych, gminnych. Czy ta niebagatelna siła polityczna potrafi powstrzymać proces degradacji miasta i województwa? Zając stanowisko polityczne w pracy rad narodowych? Zmusić te rady, aby wyszły ze stanu marazmu, zastraszania i permanentnej niemożności? Popchnąć je do czynu, do działania. Ciągle odnoszę takie wrażenie, że nie są one świadome swojego znaczenia, roli i siły.

5.

Zaopatrzenie w Łodzi jest złe. Ciągle słyszę, że to wina podziału administracyjnego, bo okrojono województwo łódzkie w sposób skandaliczny. To prawda, ale myślę, że nie całkowita. Byłbym na przykład za tym, aby Prezydium RNML i komisja handlu zastanowiła się nad strukturą organizacji handlu w Łodzi. Czy na przykład potrzebny jest Wydział Handlu i Usług UML? Czy nie podjąć trudu przebudowy tej struktury w kierunku usamodzielnienia sklepów, aby kierownik sklepu odpowiadał za to, co ma w sklepie lub czego nie ma.

W języku polskim pojawiło się nowe pojęcie — funkcjonuje ono zresztą od dłuższego czasu — „rzucili”. Jacyś tajemniczy „oni” co jakiś czas, nigdy nie wiadomo kiedy, „rzucają” towar a sami idą do domu. Niech się potem dzieje co chce, a dzieją się kolejki, awantury, bitwy. Ludzie organizują się w komitety kolejkowe, sporządza się listy społeczne i tak dalej. „Oni” albo rzucają, albo nie. Ludzie stoją w kolejkach miesiącami. Czy to jest normalne funkcjonowanie handlu?

Może by więc w Łodzi RNML podjęła się przeprowadzenia eksperymentu, celem którego byłoby przewrócenie handlu z głowy na nogi. Był już wprowadzany taki polityk, który obiecywał taki cud, ale się na obietnicy skończyło. Czy zatem RNML nie stać na podjęcie się trudu przywrócenia normalności choćby na początek w handlu? Można oczywiście zasłonić się przepisami, zakazami i tak dalej, tylko to już dziś żadne tłumaczenie. Życie pokazało, że w ramach istniejących przepisów i praw można dokonywać — ba! trzeba — twórczych poszukiwań i wieniec jest sukcesem. Gdyby tak nie postępowano, to by Tadeusz Mazowiecki nie stanął przed Sejmem PRL z nowym rządem, a posłowie PZPR nie poparliby go słowami Mariana Orzechowskiego. Potrzeba zatem śmiałości, odwagi w myśleniu, umiejętności patrzenia w przyszłość. Na co więc czekać?

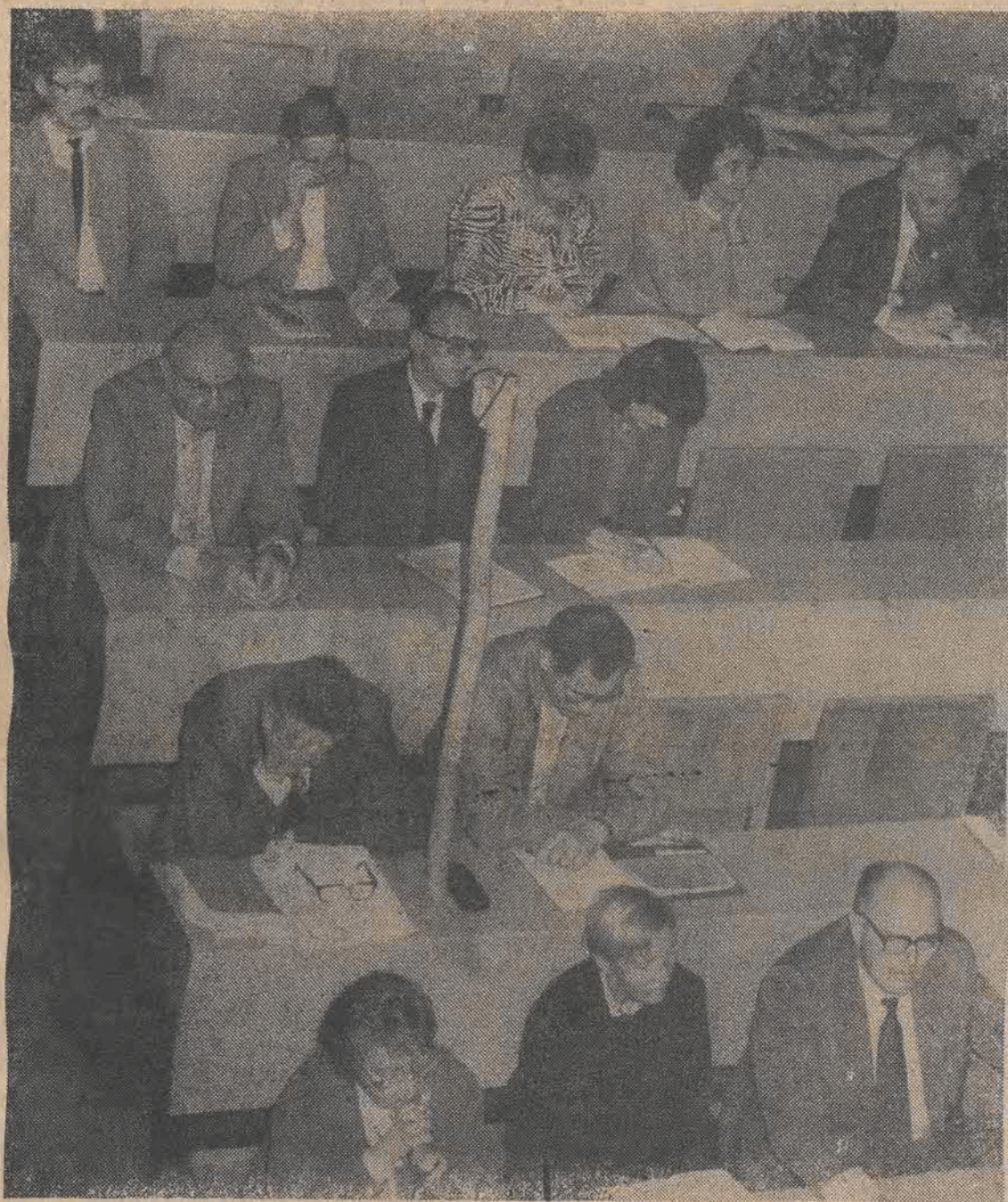
6.

Piszę to z dala od Łodzi. Wokół szumia drzewa, pachnie grzybami, choć grzybów bardzo mało. W lesie sucho. Z gazet niewiele dowiaduję się o tym, co dzieje się w Łodzi. Staram się słuchać radia, ale lepiej tu słyszeć Katowice niż Łódź. Nadal skutecznie działa system reglamentacji informacji stworzony przez Jerzego Łukaszczyka, kiedy lokalne stacje przeszły na fale ultrakrótkie, a gazety lokalne otrzymały ściśle rejonowy rozchodzenia się. Ponoć — na przykład — „Dziennik Bałtycki” stał się pismem niezależnym, ale konia z rzedem temu, kto kupi tę gazetę w innym rejonie kraju poza Wybrzeżem. No, może gdzieś w MPiK w Warszawie? Ale też tego nie jestem pewien.

Toczy się spór o to, kto ma włączyć radiem i telewizją a jakoś nie dostrzega się podziału kraju na sieć lokalnych rejonów informacji, co znakomicie blokuje obieg informacji w kraju. Pomijam już fakt, że często z radia lokalnego czy lokalnych gazet więcej można się dowiedzieć o oficjalnych uroczystościach niż o tym, co ludzi nurtuje, czym żyją, co ich niepokoi, jakie mają obawy i nadzieje. Nowoczesnego dziennikarstwa też trzeba się szybko nauczyć.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Żona jest jak zaplecze frontu



Fot.: Grzegorz Gałasiński

Dzięki marcowi 1968 roku nastąpiła aktywizacja społeczeństwa, a postulaty studenckie z tamtego okresu (demokracji, daleko idących reform politycznych i gospodarczych, zniesienia cenzury, pluralizmu światopoglądowego) pozostały. Dla wielu ludzi z tamtego pokolenia marzec 1968 roku stanowił przełom w ich życiu. Marzenia o wolności, o której być może wielu usłyszało wtedy po raz pierwszy, głęboko utkwiły w świadomości.

Z krótkiej perspektywy rok 68 widzieć można jako program antysemitki i antyinteligencji, ale z perspektywy dalszej to zderzenie dwóch porządków. I tak należy go oceniać.

Doktor Eisler czeka na wydanie swojej blisko osmiusetstronicowej pracy o roku 1968. Jego wystąpienie było zachętą do lektury książki.

2.

Polskie Towarzystwo Historyczne, organizator Zjazdów odbywających się co 5 lat, powstało przed 100 laty we Lwowie jako Towarzystwo Historyczne. Ma 47 oddziałów i skupia ponad 4 tys. członków. Oddział łódzki (280 członków) jest najliczniejszy po warszawskim (1200) i jako jedyny, obok poznańskiego, nie jest dotowany. Bowiem nawet Zarząd Główny korzysta z dotacji państwowych. Oddział

strzeloną tematykę: od Hamurabiego do Polski poststalinowskiej. Ogólna liczba referatów, wystąpień i komunikatów przekroczyła 170.

Ministerstwo Edukacji wyraziło zgodę na uczestnictwo nauczycieli w Zjeździe, nawet w godzinach pracy, możliwe wraz z młodzieżą. Zdaje się że skorzystano z tej możliwości, bowiem w salach obrad można było zaobserwować wiele młodych twarzy, na oko w wieku licealnym, a także duży udział studentów, mimo trwających jeszcze wakacji akademickich. Wyboru Łodzi dokonano z woli poprzedniego Zjazdu, dzięki staraniom łódzkiego oddziału PTH.

„Powszechny” w nazwie Zjazdu oznacza, że obrady, łącznie z sympozjami w grupach zainteresowań otwarte są dla wszystkich, którzy interesują się historią. Wszystkich gości, w tym zagranicznych, lokuje się bez wyjątku w akademikach, gdzie spotkać się może na korytarzu koryfeusz nauki ze studentem, bądź emerytem, co również wypełnia treść słowa „powszechność”. W tym roku przyjechały grupy historyków z Francji, ZSRR, CSRS, Węgier, Anglii i RFN. Gości zagranicznych nie było tylko w 1984 r. w Poznaniu, co wiązało się z konsekwencjami stanu wojennego. Kiedyś materiały (referaty, komunikaty) drukowano przed rozpoczęciem obrad, musiały bo-

państwowione. Między strategią a taktiką” Rafała Marzałka, „Prasa nowego typu” Andrzeja Paczkowskiego, „Teatr lat 50. Między sztuką a propagandą” Marty Fik. Nie przyjechał, choć był zapowiadany Wiesław Władysław z referatem pt. „Prasa październikowa” („mogą sobie państwo dopowiedzieć dlaczego”) — powiedziałano dziennikarzom na konferencji prasowej. Odwołał również swój przyjazd prof. Aleksander Krawczuk, który wystąpić miał w serii wykładów publicznych, wraz z historykami tej rangi, jak prof. Janusz Tazbir, Aleksander Gieysztor czy Stefan Kieniewicz.

Sporo miejsca poświęcono socrealizmowi w sztuce. Dr W. Baranowski w Warszawie w wystąpieniu pt. „Uroki socrealizmu?” przedstawił rozwój tego „kierunku” w plastyce i architekturze. Młodzi słuchacze otwierali szeroko oczy ze zdumienia, gdy dowidywali się o ciekawostkach takich, jak na przykład: Janowi Cybisowi, który zgłosił 5 obrazów na ogólnopolską wystawę sztuki postępowej w warszawskiej Zachęcie, odrzucono cztery jako obce ideologicznie, a zostawiono jeden, zatytułowany „Rada zakładowa”. Wybuchali śmiechem, gdy słyszeli tytuły dzieł: „Podziękowanie traktoryście”, czy „Podaj cegłę”. Ich może to śmieszyć, ale ci, którzy pamiętają zniewolenie ludzi w ogóle przez aparat

nie tą młodszą, dodając później już poważnie, że to, co dziś brzmi śmiesznie, wtedy stanowiło groźny, ponury element życia, tragiczny dla wielu artystów i nie tylko. Zacytowano poecie Gruszczyńskiego, który zazdrościł propagandzie jej lotności, a także najbardziej zabawny fragment referatu, cytując z jakiejś powieści: „Z żoną jest tak, jak z zapleczem frontu. Gdy zaplecze jest mocne, front dobrze działa”. Aż wierzyć się nie chce, że ktoś pisał to serio.

4.

Sporo ciekawych uwag przedstawił dr S. Bębnek w referacie „Państwo — mecenas czy właściciel?”.

W okresie powojennym, jak wszystko, również kultura podnosiła się z ruiny. Już wkrótce okazało się jednak, że nie wystarczy wstawić krzesła do pustej sali i niech ludzie oglądają w plaszczach, ale, że potrzebne są fundusze.

Początkowo szukano możliwości samofinansowania się kultury, stąd takie pomysły, jak loteria fantowa prowadzona przez związek muzyków, kawiarnia pod opieką związku plastyków czy projekt przydzielania literatom działek, po 10 hektarów, aby mogli utrzymać się z ich uprawy, a wolne chwile wykorzystać na pisanie.

Znacjonalizowano wszystko co się dało. Kultura otrzymywała fundusze z budżetu państwa. Atrakcyjna wydawała się wtedy argumentacja, że w ten sposób kultura ulega dekomercjalizacji, gdy tymczasem państwo poprzez centralizację zyskiwało możliwość kontroli i czuwania nad lansowaniem nieskazitelności systemu przemian. Państwo podając się za mecenas stało się właścicielem.

Dr Bębnek przytoczył dane, które świadczą, że w pierwszych latach pięćdziesiątych nastąpił wyraźny upadek twórczości jako sztuki, choć błyskawicznie wzrosły wskaźniki obrazujące uczestnictwo w kulturze: 1950 r. — rekordowe nakłady książek (pobite dopiero po roku 1980), rok 1954 — najwyższa frekwencja w teatrach, 1956 — rewelacyjna frekwencja w kinach.

Ale wskaźniki dotyczące twórczości mówią co innego — spada ilość tytułów, debiutów, raporty kasowe ujawniają, że przeciętnie tylko 8 osób kupiło bilety w kasie, reszta publiczności została „zorganizowana”, 25 proc. tych rewelacyjnie wysokich nakładów nie zostało rozprzedanych.

Schemat finansowania i funkcjonowania kultury utrzymywał się przez następne lata.

Dr Bębnek wyciągnął wniosek, że należałoby zrezygnować z roli państwa, jako organizatora kultury, państwa wręcz nadopiecznego. Państwo powinno jedynie stwarzać ramy prawne i organizacyjne dla działalności kulturalnej.

ZOFIA KEDZIÓRA
MAREK KOPROWSKI

Należę do tych, dla których kampania wrześniowa 1939 roku trwała najdłużej. Mysłę ją zaczęli już w czerwcu, a może nawet w maju, kiedy cały kraj żył w przekonaniu, że do żadnej wojny nie dojdzie, wiosna była piękna, Łazienki pełne młodzieży. Staliśmy w wojsku w Słonimie, a tamten okręg już w drugiej połowie marca objęty został pierwszą mobilizacją. Do niedużego miasta nad Szczarą zaczęły napływać tłumy mężczyzn z całej okolicy. Od razu zabrakło chleba. Zmobilizowani i sprowadzeni siłą piekarze ze Słonima, Żyrowic, Derewian, czy i paru innych miasteczek pracowali dzień i noc, padali z nóg ze zmęczenia, coś ze sobą bez ustanku i z wielkim ożywieniem mówili, nie rozumiałem ich żydowskiego języka. Za ogrodzeniem zbierały się rodziny piekarzy, błagały o wypuszczenie ich mężów i braci, albo tylko o kawałek chleba.

Wszystkie korytarze i wszystkie dostępne pomieszczenia w koszarach zastane były śpiącymi pokotem ludźmi, przeganianymi z kąta w kąt przez podnieconych podoficerów. W otwartych magazynach MoB.

się płynące z radia słowa prezydenta Ignacego Mościckiego: „Żołnierze, strzelajcie celnie!”. Po drodze na dworzec zawołano za mną dziewczyna uliczna: „Chłopczyku, nie chodź na wojnę, bo cię zabiją!”. Tymi słowami pożegnała mnie przedwojenna Warszawa.

Nasz pociąg ostrzeliwany był w Małkini, bombardowany w Białymstoku i potem ponownie w Wołkowysku. W Słonimie zastaliśmy pustkę i ciszę. Jeszcze ściągano tu mężczyzn z okolicznych wiosek — przychodzili Niemcy, niewydarzeni fizycznie, niechętni. Przez cały dzień nawiedzały nas samoloty niemieckie i co dzień, ze skurczem w gardle, słuchało się z głośników o szybkim marszu niemieckich dywizji przez nasze miasta na wschód. A siedem następnego września usłyszeliśmy, że niebyst odległa, wschodnią granicę Rzeczypospolitej przekroczyły oddziały Armii Czerwonej i niebo spadło nam na głowę.

Ochodziliśmy w pośpiechu w ciemną noc, głuchą ciszą maciły tylko szmer tysięcy podnieconych szepcących i szeleściących ekwipunku. Panicznie starałem się nie stracić z oczu ledwie widocznych twarzy przy-

ciem. Ale czołgi nie nadjechały.

Aż wreszcie któreś nocy w niedużym łasku rozdano nam zwiększoną ilość amunicji i parę ręcznych granatów. Przed nami, trochę w dole, płonęło równym płomieniem nieduże miasto: Kock. Ledwie zaczęło świtać, na nasz laszek spadły pierwsze pociski niemieckiej artylerii. Przez podmokłą łąkę ruszyliśmy biegiem ku płonącemu zabudowaniu. Było nas około dwudziestu, stanowiliśmy patrol, który miał rozpoznać sytuację na przedpolu.

— Kto na ochotnika? — pytał kapitan.

Patrzyłem po twarzach znajomych i nieznajomych, ledwie widocznych w rzednym mroku. Zgłosił się jeden, pięciu, dziesięciu, wreszcie dołączyłem do nich także. Są takie sytuacje kiedy nie można nie być ochotnikiem.

Wpadliśmy w uliczkę, żar utrudniał oddech, nad głowami fruwały płonące deski i belki, całe miasto zabudowane było prawie wyłącznie domami drewnianymi, które paliły się grzecznie jak gigantyczne ognisko. W jakimś całym jeszcze, niedużym domu próbowaliśmy znaleźć jakąś siekierę wyrąbać otwór w ścianie, aby wysunąć

mógł. Kilka godzin leżenia pod wiatrem krzaczkiem olszyny, w zawiłej żelazce, wśród wybuchów rwących ziemie coraz bliżej, parę godzin takiego leżenia to trudny egzamin. Już z kilku miejsc słychać wołania o pomoc i bolesne jęki, które czasem śnią mi się do dziś. Za moment ginie to wszystko znowu w niezmiernym huku, ziemia podskakuje, pomiędzy czarnymi obłokami dymu i kurzu ledwie widać, co się dzieje na przedpolu. Ledwie spostrzegłem biegnące ku nam jeszcze dość daleko postacie. To był pierwszy moment, kiedy zobaczyłem nieprzyjaciela, biegnącego ku mnie. Podałem się i odbiegłem kilka kroków w tył.

Stał tam nasz ciężki karabin maszynowy, obok leżało dwóch ludzi z jego obsługi. Chyba nie żyli. Trzeci, z naszymi podchorążymi, przyciskał policzek do zamka karabinu i strzelał długimi seriami. Padłem obok i podawałem mu taśmy z amunicją. Strzelaliśmy dość długo i biegnące ku nam figury zapadły się gdzieś w ziemię. Ale wokół widać było inne, a zresztą huknęło nagle coś bardzo blisko, poczułem uderzenie w plecy, karabin zapchał się ziemią, zaharzał — przestał strzelać. Nie było mowy o jego naprawie.

Obydwaj zaczęliśmy pełzać do tyłu. Tu i ówdzie widziałem pojedynczych żołnierzy biegnących chyłkiem lub czołgających się w tym samym kierunku. To trwało niezmiernie długo, a byłem tak śmiertelnie zmęczony, że kiedy zatrzymałem się dla złapania oddechu, w jakimś zagłębieniu gruntu, obudził mnie dopiero ciężar ciała żołnierza, który przebiegał się po mnie, myśląc, że nie żyję. Pamiętam, że ciągnął za sobą, przywiązany do nogi, plecak — widocznie miał w nim jakąś cenną zdobycz wojenną.

Już prawie nikt nie strzelał z naszej strony. Już chwilami słychać krzyk nacierających Niemców. Nie mam granatów tylko kilka nabojęw do ręcznego karabinu. Co mogę z tym wszystkim zrobić? Odrzucić i podnieść ręce, strzelić raz i dać się zająć? Wciąż jeszcze łokciami do przodu, jeszcze oblatującymi kolanami ryc mokrą ziemię. To był ten nadludzki wysiłek, o jakim często wspomina się bez uzasadnionej potrzeby.

Dotarłem do jakiegoś dużego wykopu, może stało tu kiedyś przewalone przez burzę drzewo, może ktoś kopał glinę na gospodarskie potrzeby. W wykopie siedziało kilku żołnierzy i starszy sierżant, który objął nad tą grupą komendę. Nie mogłem usłyszeć, co do mnie mówił, nie słyszałem w ogóle nic, wstrząsały mną tylko wybuchy, ale te czuły się bruchem, całym ciałem, nie słuchem. Wreszcie zrozumiałem, że zaciągamy tutaj placówkę, która będzie ośniewać wycofujących się jeszcze z przedpola żołnierzy. Siedziałem więc w tym wykopie do późna w noc, Kock się dopalał.

Ciągnęli pojedynczy żołnierze wycofujący się spod ostrzału. Większość została tam w przodzie i dostała się od razu do niemieckiej niewoli. Nasza grupa oczekiwała jeszcze że dwie, trzy godziny, kiedy noc zgęstniała na tyle, że strzelanina niemiecka prawie całkowicie ucichła, nikt już więcej nie nadchodził; zwinęliśmy nasz posterunek i przez dogasający Kock wróciliśmy do resztek naszych oddziałów.

Nie wiedziałem, że to już piąty październik. W księżycu Marka Sadowicza o bitwie pod Kockiem jest wzmianka o tym, że ostatni z płonącego Kocka wycofał się pluton porucznika Władysława Krzemińskiego. Nie byłem porucznikiem i nie mam na imię Władysław. Nie byłem też dowódcą plutonu. Ale to prawda, że byłem jednym z tych, którzy wycofali się z płonącego Kocka jako ostatni. Dlatego na początku tego wspomnienia powiedziałem, że mój wrzesień trwał najdłużej, nie licząc oczywiście, Hubalczyków.

Następnego dnia, szóstego października 1939 r. — może zresztą minęły jeszcze dwa dni, bo już teraz wszystko się pląca — a i wtedy dzień z nocą splecione były nierozłączne — otóż szóstego października generał Franciszek Kleeberg zgłosił Niemcom gotowość kapitulacji.

Z pół bitewnych kampanii wrześniowej 1939 r.

Dywersanci w polskich mundurach

Wołyńska Brygada Kawalerii, skoncentrowana już od kilku dni, przywykła do słowa „wojna”. Ale co innego słowo, a co innego krwawa rzeczywistość. Zrozumienie nieuchronności wojny wcale jeszcze nie oznacza całkowitego uodpornienia, zwłaszcza kiedy fakt rozsadza ramy wyobraźni.

Zginął pod Mokraj kłosa, kto nosił mundur polskiego rotmistrza. Wśród zgromadzonych kombatanów pada nazwisko. Konsternacja... Jaki rotmistrz? Nie, u mnie w pułku nie służył. Nikt go nie pamięta...

Od razu zapewnię Czytelnika, że nazwisko jest mi znane, ale nigdzie przeze mnie nie zostało wymienione. Na pewno było przybrane, nie chce, aby odium spadło na jakąkolwiek rodzinę, która przez przypadek nosi takie samo nazwisko.

Taki rotmistrz nie występował nigdzie. Nie ma go w całym korpusie oficerskim kawalerii, który 1 września 1939 roku przystąpił do walki. U Wielhorskiego jest trochę luk w obsadzie personalnej, ale tylko na niższych szczeblach dowodzenia — wśród podporuczników czy nawet poruczników rezerwy. Żeby zgubił się rotmistrz — to niemal niemożliwe. Wówczas jednak działał. Czy działał wiele? Gdzieś czasem odnajdziemy jakiś fragment boju, gdzie można się dopatrzyć działania jego złowiejskiej ręki.

Rzepecki pisze, że był oficer, który wydawał cekaernistom rozkaz, aby nie strzelali do samolotów. Było to już podczas przesunięcia się na linię Białej Okszy i ogień cekaernów mógł dać niejaką ulgę znękanym bojem i nalotami w szczyrim polu żołniercom. Trudno powiedzieć, czy to ten sam; może był jeszcze drugi... Wiemy na pewno, że jeden zginął. Czy został rozszyfrowany — i wówczas wiadomo, co się z nim stało — czy też może nafałzerowały go otworem te same samoloty, które chronił przed polskim ogniem — tego nie wiem.

„Niemiecki dywersant w mundurze polskiego oficera? Nie uwierz” — powie ktoś. Otóż bywało tak i to bardzo często. Moje teczek z relacjami z różnych miejsc walki zawierają sporo przykładów.

Płk Jerzy Grobicki, który z 1 Pułkiem Kawalerii KOP i dwoma batalionami Obrony Narodowej wycofywał się spod Wielunia nad Wartę, napisał obszernie wspomnienia, naszpikowane spotkaniami z dywersją. Zetknął się na przykład z oficerem sztabowym jadącym na motocyklu wzdłuż kolumny i wołającym, że most jest zerwany, co spowodowało skierowanie kolumny w innym kierunku.

Porucznik Barsegow z 13 pułku ułanów wspomina, jak to żołnierze przyprowadzili podejrzanego wachmistrza, który miał nastroje defetystyczne. W jego butach znaleziono materiały, które wywoływały Barsegowa od wszelkich wątpliwości, a dywersanta pozbawiły wszelkich dalszych kłopotów życiowych.

Warto to również przytoczyć opowieść kaprała Stanisława Zdrojewskiego z 18 pułku piechoty, który wraz z armią wycofywał się z Pomorza. W pewnym momencie jego kompania stanęła na wypoczynek w lesie, a kapral Stanisław Zdrojewski wraz z kilkoma żołnierzami poszedł po wodę do ustronnej zagrody, stojącej opodal. Na wszelki wypadek, kiedy żołnierze brali wodę ze studni, kapral Stanisław Zdrojewski wstał do chaty. A nuż mieszkańcy będą mieli coś do zjedzenia. W izbie siedział polski pułkownik w otoczeniu cywili. Kapral Zdrojewski sprężył się służbiście, zameldował i poprosił o pozwolenie czerpania wody.

— Bierście, bierście — zgodził się pułkownik, w którego zachowaniu coś się panu Stanisławowi nie podobało. Zaraz też po wyjściu na podwórko pchnął gońca do dowódcy kompanii, kpt. Halla, z meldunkiem. Kiedy wracali do lasu z wodą, w stronę zagrody posuwał się już patrol z bronią gotową do strzału. Z chaty powitał żołnierzy ogień kilku łuf. Stanisław Zdrojewski zapewniał mnie, że fałszywy pułkownik już sobie długo nie pożył.

I jeszcze jeden obraz. Żołnierze 10 pułku piechoty odpoczywali na skraju lasu przy porębie. O świcie usłyszeli warkot i nad porębą ukazał się samolot, od kadłuba którego oderwał się jakiś kształt. W chwilę później otworzył się nad nim spadochron. Skoczek wylądował dosłownie na ramionach polskich żołnierzy. Tym razem była to może dwudziestoletnia dziewczyna w stroju ni to pensjonarki ni to siostry miłośniczek.

— A na głowie miała chusteczkę — opowiada kapral 10 pułku piechoty Stanisław Witkowski.

Bodaj każdy z uczestników kampanii ma jakąś swoją opowieść o dywersantach. I coś dziwnego, że po kilku dniach wytworzyła się wręcz psychoza szpiegów. Zebranie materiałów z tej koszarnej, milczącej, bezpardonowej walki z ludźmi, którzy jedli chleb tej ziemi, a potem postanowili nią zawiłać, dałoby tak przynębiający obraz zmagania, że chyba dlatego nikt się do tego nie zabiera.

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

Ze wspomnień: Mój wrzesień trwał najdłużej.

Z Kocka wycofaliśmy się ostatni

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

znaleziono całe worki stęchłej kaszy, zebrane tłumy ludzi karmiono tłustą zjeżdżalą słoniną, szerzyła się biegunka. Formowane oddziały wyposażone w sprzęt wyciągany z przepastnych magazynów — odchodziły bez przerwy na zachód.

My, podchorążowie służby czynnej, zostaliśmy jeszcze na czas jakiś. Jeszcześmy do czerwca biegali po polach w uciążliwych, bezustannych ćwiczeniach, czołgów nie widzieliśmy na oczy, nigdy nie miałem w ręku maszynowego pistoletu, nie widziałem z bliska nowoczesnej, maszynowej broni. W czerwcu załadowano nas do towarowych wagonów i ruszyliśmy w nieznane.

Docelową stacją okazały się chlewy i stodoły niedużych wiosek pod Mławą, na granicy ówczesnych Prus Wschodnich. Spotkałem się tam ze swoim macierzystym pułkiem — 80 pułkiem Strzelców Nowogrodzkich. Wojska było wielkie mrowie, więc spaliliśmy gdzie się dało: po strychach, śpiżniach, sieniach i stodołach. Całe dni prymitywnymi narzędziami kopaliśmy obronne rowy, które miały zatrzymać pancerną ofensywę przeciwnika. Umocniono się te rowy łaszyną, zwożoną z okolicznych lasów na małych, jednokonnnych chłopieckich wozach. Biednie to wszystko wyglądało i do serca zaczęły wkładać się pierwsze wątpliwości, czy aby na pewno jesteśmy tacy silni i tacy gotowi... Nocami chadzaaliśmy na patrole i czasem chwytano się całe grupy Niemców, przekradających się z Polski na stronę pruską.

Dwudziestego szóstego sierpnia 1939 r. na czystym niebie, nieskazitelnym, pojedynczy samolot wypisał ogromną literę „D”. Był to sygnał alarmu i od tego momentu mieszkaliśmy już w okopach. Pamiętam jak pańnicie pod Sławogórą wilgotny piasek, który o zimnym świecie ocierało się z warg i policzków, wytrząsało zą z kolnierza i z rękawów. Trzydziestego pierwszego sierpnia z tamtej, niemieckiej strony usłyszeliśmy potężny, głuchy grzmot: wiedziliśmy, że stoja tam dziesiątki czołgów, rozgrywały sobie silniki. Trwało to, z przerwami, kilka godzin. Po naszej stronie czołgów nie było, był tylko ten rów opleciony łaszyną. Groza wisiała w powietrzu. A wieczorem tegoż dnia, w przeddzień historycznej piątkowej daty pierwszego września, otrzymałem rozkaz powrotu do Słonima. W takiej samej sytuacji znaleźli się także koledy z mojego rocznika, nalmibdsi absolwenci dywizyjnego kursu podchorążych rezerwy.

jaciół maszerujących obok, dalej był już tylko wielki, nieznany tłum.

Potem już się tylko szło i szło. Była nocna wymiana strzałów nie wiadomo z kim nad Kanałem Królewskim, była w Janowie Poleskim brama triumfalna przygotowana na część mającej nadejść Czerwonej Armii; były znajdowane po drodze ulotki z napisem: „Idźcie k wam ze swobodą”. Była przeprawa przez Bug, po spalonym moście pod Włodawą. Mieszkańcy spalonych wsi Antonówka powiedzieli nam, że na pobliskim cmentarzu ukryła się grupa jakiegoś wojska.

Bagnet na broń! — krzyknął dowódca naszej kompanii. Nie wszyscy mieliśmy bagnet, nie mieliśmy także hełmów. Biegliśmy przez zorane pole, prosto na cmentarny mur, który wyrastał przed nami jak twierdza. Ale na cmentarzu była tylko grupa polskich kolejarzy, nie wiadomo skąd się tam wzięli.

Kiedy wysłano mnie na dwuosobowy patrol w celu nawiązania łączności z maszerującą równolegle kolumną spotkane po drodze kobiety ostrzegaly:

— Nie chodźcie tam dalej, bo was zabiją!

— Kto? — pytałem — Kto ma zabić?

— A bo to wiadomo — mówiły — tutejsi.

Posłaliśmy jednak dalej do wsi, aby stwierdzić, że wojsko już tedy przeszło, zostawiając za sobą sterty porzuconego sprzętu. Kęcilo się tam trochę żołnierzy, ale takich, co już opuścili oddziały, porzucili broń i po prostu chcieli wracać do domu. Przez cały czas od wyjścia ze Słonima szeregami nasze toponiały szybko, z dnia na dzień. Jednocześnie dołączali wciąż mniejsze i większe oddziały z jakichś rozbitych formacji, nigdy nie wiedziałem jak wielka jest nasza kolumna. Pewnego dnia dowództwo nad całością objął generał Franciszek Kleeberg i od tego momentu nazywaliśmy się: Grupa Operacyjna „Polesie”.

I znowu się szło i szło już tylko nocami. Zwyliśmy się tym, co można było znaleźć po drodze, kuchni wojskowej przez cały czas nie widziałem ani razu. Nie było nawet wody, bo ci, co maszerowali przed nami zawsze zdążyli opróżnić napotykaną studnię do dna.

Przechodziliśmy przez Parczew. Pod Parczewem pluton otrzymał rozkaz urządzenia zasadki na czołgi. Zasadzka polegała na wykopaniu kilku małych a głębokich dziur. Klecząc skulonym na dnie takiej dziury z najnowocześniejszą bronią ostatniej wojny — butelką benzyny. Przed zbliżającym się czołgiem należało zapalić zapalniczkę tkwiącą w butelce i rzucić prosto pod gąsienice. Wiedzieliśmy, że w takiej chwili nie miałbym prawie żadnych szans ujęcia z ży-

tamtędy łufę erkaemu i puścić parę serii. Niestety, zanim to się udało, domek nagle stanął w płomieniach, jakby go ktoś podlał benzyną. Trzeba było szybko uciekać, ale uciekać wciąż jeszcze do przodu. Dużo godzin zmarnowaliśmy na mozolne posuwanie się od plotu do jakiegoś domostwa, potem znów do rogu jakiejś stodoły i dalej. Strzelano do nas od czoła, na wprost. Biegliśmy więc prosto na ten kierunek. Przebiegliśmy całe miasteczko, okazało się więc, że leżało ono w pasie nieczyj, że nieprzyjacieli był okopany po przeciwnej jego stronie. Co robić dalej? — pytaliśmy samych siebie.

Nasze oddziały miały iść niedaleko za nami, ale nigdzie nikogo nie było widać. Mieliśmy dwóch rannych, co robić? O lekko szarzejącym zmroku wstał podchorąży Mazur i powiedział:

— Ja zobaczę czy tam są nasi po lewej stronie.

Pobiegł w tamtym kierunku i za chwilę zniknął nam z oczu. Noc zapadła i myśleliśmy, że Mazur już nie wróci. Przyszedł jednak i poprowadził nas za sobą znajoma już sobie ścieżka przez zgłiszca. Znaleźliśmy naszą kompanię, która właśnie rozkładała się do snu w wielkiej murowanej stodołę. Spałem w tej stodołę do rana kamiennym snem nie bacząc na furkotające i wybuchające niedaleko pociski, a o wczesnym świcie ruszyliśmy już całym batalionem do natarcia, trochę podbudowani widokiem kilku dżalek podciągniętych tymczasem aż tutaj.

Rosły tam nieliczne, pojedyncze krzaczki olszyny i dawały złudzenie minimalnej choćby osłony. Ale Niemcy wstrzelani byli dobrze na ten kierunek, ich serie szeleściły po liściach i coraz to padał któryś z biegnących, wołając o pomoc. Nikt się jednak nie zatrzymywał. Dobiegliśmy do wioski Białobrzegi, gdzie zastaliśmy kilku rannych Niemców. Reszta zdążyła się wycofać do następnej wioski Poizdów.

Biegliśmy dalej. Nad naszymi głowami strzelała z rzadka nasza artyleria, z przeciwnika witaly nas nieustające serie broni maszynowej. Poizdów pełen był strzelaniny, hałasu, zamętu. Coś się zaczynało rwać, nasze działka strzelały coraz rzadziej, skromnie i nieśmiało były ich repliki na nieprzerwany grzmot z tamtej strony. Jeszcześmy jednak przebiegli Poizdów, chociaż już przerzedzeni, w sykach pomieszanym — nie wiedzieliśmy gdzie moja kompania, gdzie dowódca, nikt chyba tego nie wiedział. Józek, mój najbliższy kumpel, został trafiony w udo, krzychał, błagał, żeby go nie zostawiać, jeszcze parę kroków — dalej biec już nie było można, bo Niemcy rozpoczęli tak huraganowy ogień, żeśmy się przypłaszczyli do ziemi, gdzie kto

Człowiek, który może powiedzieć: miałem ciekawe życie

Nasze ścieżki nie skrzyżowały się nigdy. Przez Tahiti wędrowałem pięć lat przed nim. Nie mam pojęcia, skąd się o mnie dowiedział. Może ktoś, tam na końcu świata, dał mu moją wizytówkę? Dostałem od niego list wysłany na komputerowej maszynie. Oto jego najciekawsze fragmenty.

Stan Wisniewski
BP 2139 Papeete
Tahiti

Polynésie Française

Szanowny Panie Redaktorze,
Mieszkam na Tahiti, jestem realizatorem telewizyj. Robię reportaże, filmy dokumentalne, „videoclipy”.

Oto moja notka biograficzna.
Urodziłem się w 1940 roku. Po dwu latach studiów fizyki doświadczałem u takich profesorów jak Buras i Infeld, opuściłem kraj. Zaczęłem studia matematyczne na Sorbonie. Objąłem się po modnych kawiarniach, odcierałem o paryską cyganerie: Brassens, Rika Zarai, Juliette Greco, Mouloudji... A dalej już w skrócie:

1961. Stanisław Stan-Wisniewski został korespondentem tygodnika „Odgłosy”. Pamiętacie: „Od naszego korespondenta z Paryża”? Pisałem też do „Dookoła świata” i do „Problemów”. Czy ktoś to jeszcze pamięta?

1962. Krótki wywiad o kraju, sfinsnowany przemylem 240 kg kulek do długopisów. Wieczór autorski w Staromiejskim Domu Kultury w Warszawie (pisałem wiersze). Od tego czasu w Polsce nie byłem.

1963. Posądzono mnie o szpiegostwo na rzecz Związku Radzieckiego i wyrzucono z Francji. Dokąd się miałem udać? Afryka, Maroko. Niedoszły matematyk staje się operatorem, później realizatorem telewizji marokańskiej. Uczy się mówić i pisać po arabsku. Nazywa się już nie Wisniewski, ale Ahmed Stan. Ma na koncie 240 programów i filmów dokumentalnych.

1964. Król Maroka (dzięki Bogu jeszcze dzisiaj panujący) zatrudnia młodego Polaka jako swojego „garde de corps” — nie z pistoletem, lecz kamerą w ręku. Filmuje ewentualnych wrogów (a przede wszystkim przyjaciół) monarchy. Pewnego dnia próbuję sfilmować harem. Koniec meji królewskiej kariery.

1967. Jestem korespondentem różnych telewizji. Za parę dolarów kręcę ryzykowne reportaże. Zaczyna mi się marzyć sława...

1970. Trzecia wybierac między sławą a dolarami. Wzrost ten, który woli sławę od dolarów pierwszy rzucił na mnie kamień.

1972. Biorę udział w festiwalu Filmów Reklamowych w Cannes oraz w Festiwalu Filmów Dokumentalnych w Kartaginie. Robię sto dwadzieścia reklamówek. Kupa forsy.

1979. Mogę już kupić jacht i popłynąć w daleki świat.

1980. Antyle, Wyspy Dziewicze, Panama... Kapitan Wisniewski prowadzi swój jacht na Tahiti. Jest z nim cała rodzina: żona i dwójka dzieci. Długa historia pełna przygód, skarbów, spódnicy z dziwnymi ludźmi, wielorybami. Nasi są wszędzie: jachty „Nasz Dom”, „Nike”, „Czarny Diament”.

1981. Tahiti. Nabywam małą wyspę w Polinezji. Zamierzam hodować czarne perły. Cyklon niszczy archipelag Tuamotu i moje kosztowne instalacje.

1982. Stanisław Wisniewski jest przez parę miesięcy bliskim współpracownikiem gubernatora francuskiej Polinezji. Wychodzi na jaw, że jest obywatelem PRL. Za drzwi!

1984. Uczę się programowania na komputerze i otwieram szkołę informatyki. Mam około trzystu uczniów, rekrutujących się głównie wśród tahitańskiej elity.

1986. Wracam do filmu. Pasjonuje mnie video. Staję się znanym (na Tahiti) twórcą filmów i clipów. Pieniądze, kokosy, piękna laguna.

1989. Zanim stuknie pięćdziesiątka wybieram się do kraju. Już skończył, podstarzały, Pol-Francuz, pol-Polak. Nie „Litwo, ojczyzno moja...”, ale „Francjo, druga ojczyzno...”.

List zawiera adres Stanisława Wisniewskiego w kraju. Przesłałem mu zaproszenie do siebie i do „Odgłosów”. Jeśli poczta list dostarczy, może uda się namówić człowieka o tak barwnym życiorysie do spisania swoich najciekawszych przeżyć. Tytuł już jest: „Miałem ciekawe życie”.

A teraz już od siebie. Szczegółowy los rzucił mnie na Tahiti w 1976 roku. Potężny „Boeing-727” ze znakami „PanAm” (bilet ufundowany przez dyrektora tych wielkich amerykańskich linii lotniczych, Polaka) wylądował na lotnisku noszącym dziwną nazwę Faat. Nazwę, a nie skrót, język tanitański uwielbia bowiem kilka następujących po sobie samogłosek. Zanim poznałem melodię języka, ogłosiły mi rytmy tahitańskie. Tak się złożyło, że tym samym co ja samolotem, przyleciała z Honolulu zwycięska ekipa tahitańskich żeglarzy wstawionych na regatach katamaranów, byli to zdobywcy „Wstęgi Pacyfiku”. To im grali radosne na bębnach i ukulele, dla nich tańczyły, kołysząc biodrami, dziewczęta, które jakby zeszyły przed chwilą z portretów Gauguina. Tak sam zrodził się wstęp do mojego filmu „Trzy lity Ocean”, który wszedł do cyklu „W 80 dni dookoła świata”.

Dlaczego o tym wspominać? Bo zawiązało się wówczas kilka moich tahitańskich przyjaźni. Na wyspie mieszkał polski ksiądz, Tomasz Czernicki, który później rzucił szatę duchowną i zajął się badaniami naukowymi kultury tahitańskiej. Został doktorem etnografii. Kończył swój pobyt w Papeete pan Mucha, francuski Polak, właściciel Browaru.

Legenda Tahiti, „polinezyjskiego raj”, przyciągała wielu Polaków. W kabine trzeciej klasy statku francuskiego przypłynął tu, kiedy ja jeszcze byłem w przedszkolu, młody polski inżynier, absolwent wydziału elektrycznego Politechniki Łwowskiej, Erwin Weber. Imiał się najroźniejszych zajęć, aby pozostać w Papeete jak najdłużej, aż spotkał opromienionego sławą żeglarza Alaina Gerbaulta. Młody romantyk polski musiał wywrzeć na nim dobre wrażenie, gdyż Gerbault, znany morski odludek, nie tylko udzielił mu wstępu na swój jacht, ale obdarzył przyjaźnią.

Erwin Weber nabył mały (o długości 6,2 m, szerokości 2,0 m) przechodzony jacht, napisał na jego rufie nazwę „Farys” i 29 lutego 1936 roku wypłynął z Papeete pod polską banderą w wyprawę, która jego z kolei uczyniła sławnym. Celem Erwina Webera nie było opłynięcie świata ani dopłynięcie do Gdyni, lecz zwiedzenie możliwie jak największej ilości wysp południowego Pacyfiku. W części rejsu towarzyszył mu syn jednego z polinezyjskich wodzów z archipelagu Wysp Cooka, z którym bardzo się zaprzyjaźnił i dotarł do Nowej Zelandii.

Pamiętałem, że na Tahiti zawinął w Sylwestra 1967 roku Leonid Teliga, żeglując z Markizów między wyspami archipelagu Tuamotu. Pierwszy list, jaki dostałem w życiu z Papeete, był właśnie od niego. Pierwszym gościem na „Opty” był sierżant Legil Cudzoziemskiej — Michałowski. Potem zjawili się kapitan portu, który pamiętał Erwina Webera, „Dar Pomorza” i „Zjawę III” pod dowództwem kapitana Wagnera, osiadłego po II wojnie światowej w Republice Południowej Afryki.

Kiedy wybierałem się na Tahiti, jeden z największych polskich globtrotterów, Olgierd Budrewicz, poradził mi odszukać w jednej z tahitańskich wiosek gwiazdę przedwojennych polskich kabaretów Reri, Tahitanke z teatryku „Qui pro quo”, w której kochał się nasz wielki amant filmowy Eugeniusz Bodo. Niestety, nie zdołałem wpisać na jego ślad.

Dobrze, iż żyje pamięć. Pewnie śladem czyjejś dobrej pamięci dotarł do mnie list z Papeete od Stanisława — Stana Wisniewskiego, który dopisuje swój rozdział do historii Polaków na dalekich wyspach Oceanii.

RYSZARD BADOWSKI

ze str. 1

Mariusza Trynkiewicza wprowadzono głównym wejściem, od ulicy Strączyńskiego, przechytrzając w ten sposób oczekujących na jego pojawienie się. Zawiodła logika tłumy: spodziewano się, że samochód z zabójcą — jak to z reguły bywa — podjedzie od strony podwórza, więc lud ruszył na ulicę Rycerską i tam dawał upust swojemu gniewowi.

W sali ławki dla rodziców pomordowanych chłopców są vis a vis ławy dla oskarżonego. Niech patrzy, niech ma ich nieustannie przed oczami, ich twarze, ich ból i rozpacz, ich cierpienie i nienawiść. Dzieli ich od siebie przestrzeń 3-4 metrów. Blisko, bardzo blisko.

Pięć po dziesiątej wprowadzają oskarżonego: szczupły, średniego wzrostu, pochylony. Ubrany w czarne spodnie i niebieską koszulę. Urodził się 10 kwietnia 1962 roku. Wy-

12-letniego Artura Kawczyńskiego, mówią, że w domu dał im „coś”. Sam jeszcze nie wiedział co, może... Mówi, że chciał pokazać im akwarium, może płyty, może papużki. Było około godziny 15.00. Potem, już w domu, proponował im herbatę i ciastka, ale odmówili. Bawili się dobrze, czuli się swobodnie. Dopiero po godzinie, kiedy chłopcy siedząc na krzesłach powiedzieli, że już muszą iść do domu, „coś” go zamroczyło. Nie mógł dopuścić, by wyszli, bo mogli opowiedzieć gdzie byli, a on przecież już był karany za czyny lubieżne właśnie na takich chłopcach! Schwylił więc nóż do rozcinania papieru mający na jednej stronie ostrą pilkę i zaczął zadawać ciosy z góry ile ich dał, nie pamięta. Nie pamięta właściwie niczego. Tylko w świadomości, gdzieś bardzo głęboko kołatało się w nim uczucie, że coś się stało, ale co, nie bardzo wiedział. Tu w jego relacji są nieścisłości. Twier-

po wywiezieniu ciała do lasu, wyrzucił ze swojej świadomości fakt morderstwa. Po prostu uznał, że niczego nie było, nie się nie wydarzyło. Z czasem uwierzył w to ostatecznie. Dlatego też ze spokojem zaprosił potem trójkę chłopców do siebie. Przecież był czysty, bez obciążenia zbrodnią.

Na pytanie: dlaczego zabijał, odpowiada: nie wiem.

Mariusz Trynkiewicz jest z zawodu nauczycielem, bardzo lubił przebywać z dorastającymi chłopcami. Sąd, skazując go na początku 1988 roku, pozabawiał także prawa wykonywania zawodu, a tym samym oddalił od chłopców. Dlatego w czerwcu ubiegłego roku, uzyskawszy warunkowe zwolnienie dla podreperowania zdrowia, usilnie szukał z nimi kontaktu.

Jego stosunek do dziewczyn jest obojętny, a tak naprawdę, to ich nie lubi. Jeden jedyny raz w życiu miał stosunek z dziewczyną i potem już unikał

on na prawym ramieniu tatuaż pozostający w związku z tą sekcją. Trynkiewicz zaprzecza temu i wyjaśnia to tak: Jestem niewierzący, a znaki satanistyczne w moim mieszkaniu nie są świadectwem przynależności do jakiegokolwiek sekty. Są one potwierdzeniem mojej niewiary w Boga. Natomiast tatuaż kazałem sobie zrobić, gdy przebywałem w Szkole Podoficerów Rezerwy. Składa się on z korony i miecza, a to nie są przecież symbole satanistyczne.

Mariusz Trynkiewicz lubił kompletować i ostrzeżone, gromadził płyty, trochę mało-wała amatorsko, czytał książki podróżnicze. W roku 1985 zaczął pisać coś na kształt pamiętnika (te zapiski są dołączone do akt). Wynika z nich, że często miewał myśli samobójcze, wynikające z kompleksu „brata”. Nie miał rodzeństwa, a pragnął mieć brata. To jedy-nactwo go dręczyło. Był przekonany, że gdyby miał brata, jego życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Teraz, kiedy są odczytywane owe notatki, twierdzi, że były one swoistym odmierzeniem czasu. Złożył sobie bowiem, że w dzień, który określił jako „Dzień K”, popelni samobójstwo. Wszystko już miał do tego przygotowane: w sporządzonym planie było ustalone co, kiedy, gdzie. Z kim się ma pożegnać, odbyć ostatnie rozmowy, porozmawiać z matką, napisać listy pożegnalne... Dziś nie pamięta dlaczego powziętego zamiaru nie wykonał. Natomiast dobrze zapamiętał fakt, że kiedy był uczniem liceum, poknął większą ilość chemikaliów, ale rodzice w porę go odratowali.

Pierwsze godziny procesu za nami. Trwa drobniagowe ustalanie faktów. Kolejny raz pojawiają się obrazy związane z aktami morderstwa, wysłuchujemy opisów przewożenia zwłok, ich układania w lesie, palenia. Sąd chce znać może nie tyle same szczegóły, ile to, jak było naprawdę. Stąd wydłużanie się rozprawy w czasie, co denerwuje społeczność miasta Piotrkowa Trybunalskiego. Ludzie uważają, że Mariusza Trynkiewicza należałoby publicznie powiesić (to pani w „Delikatesach”), rozwać na kawałki (mężczyzna stojący przed budynkiem Sądu Rejonowego, oddał rodzicom pomordowanych chłop-ców, by zrobili z nim co zechcą (kobieta przed restauracją „Europa”), spalić żywcem na stosie (kierowca samochodu marki „Liaz” zaparkowanego na parkingu przy ulicy Słowackiego). Wysoki Sąd bardzo uważnie wysłuchuje także biegłych, m.in. prof. Adama Bukowczyka z Łodzi i docenta Zbigniewa Lwa Starowicza. Bowiem człowiek, to nie tylko ileś tam kilogramów żywej materii, ale nie zbadane, często poskręcane w niedostępne labirynty, wnętrza, które nazywamy psychiką. I do tych zakamarków ciemnych i skrytych także trzeba jakoś zajrzeć.

Proces potrwa trzy tygodnie. Jest on chyba najgłośniejszy ze wszystkich, jakie toczyły się ostatnio przed sądami w kraju. O jego bulwersującym charakterze świadczy ilość dziennikarzy na sali, przybyłych tu ze wszystkich liczących się gazet w Polsce.

Na zakończenie przytoczę fragment mojej rozmowy z pewnym mieszkańcem wsi Przygłów, do którego na początku sierpnia ubiegłego roku przyjeżdżał Mariusz Trynkiewicz. Już było po znalezieniu ciała pomordowanych chłopców i w całej okolicy o niczym innym się nie mówiło, a chłopcy tworzyli nawet coś w rodzaju patroli samoobrony, mających chronić ich dzieci przed nieuchwytnym mordercą. Odtóż Mariusz Trynkiewicz lubił bawić się z jego chłopcami, często zabierał ich do lasu. Na córkę nie zwracał uwagi, nie interesowała go. Odtóż, kiedy prasa opublikowała wiadomość o znalezieniu ciała zaginionych w lipcu chłopców, Mariusz Trynkiewicz pojawił się w Przygłowie i zabrał chłopców na przechadzkę do lasu.

— A ja — mówi ojciec tych chłopców — jeszcze zacząłem za nimi krzyczeć: Trzymajcie się pana Mariusza, bo jeszcze może na was napaść jakiś zbrojeniec i zrobić wam krzywdę. Dzisiaj na samo wspomnienie tamtego dnia dostaję gęsiej skórki. Ech, gdybyśmy go dostali w swoje ręce...

EUGENIUSZ IWANICKI

Proces szatana



kształcenie wyższe pedagogiczne. Nauczyciel. Dwukrotnie karany za czyny lubieżne popełnione na młodych chłopcach, a także pozbawiony prawa nauczania w szkołach. Za oknem w tym momencie rozlega się tłum i zaczynają wściekle ujadąć milicjane psy.

Wchodzi Wysoki Sąd, którego przewodniczy sędzia Sądu Wojewódzkiego Marian Baliński.

Jako oskarżyciele posiłkowi zgłosili się rodzice pomordowanych chłopców. Przewodniczący stwierdza, że ich udział w tym procesie podyktowany jest interesem sprawiedliwości.

Mariusz Trynkiewicz składa wniosek, by rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych, gdyż jego zdaniem, nie ma potrzeby robić z procesu widowiska. Sprzeciwia się temu prokurator, popiera go pełnomocnik oskarżycieli posiłkowych.

I oto rozpoczyna się najbardziej dramatyczna część procesu: odczytywanie aktu oskarżenia, zawierającego ponad 50 stron maszynopisu oraz zeznań złożonych w śledztwie. W sali nastaje cisza, jaka zazwyczaj panuje w kaplicach cmentarnych. Ale przecież i tu cały czas mówi się o śmierci, przedstawia się ją w szczegółach, z najdrobniejszymi detalami.

4 lipca 1988 r. Mariusz Trynkiewicz zwałił do swojego mieszkania Wojtkę Pryczka. Tam wciągnął mu do ust gąbkę, udusił, włożył ciało do pudła i w nocy, na motocyklu, wywiózł do lasu i wrzucił do przygodnie znalezionej dołki.

22 lipca 1988 r. będąc motocyklem nad rzeczką Wierzejką, zwałił do domu trzech chłop-ców: Krzysia Kaczmarka, 11-letniego Tomasza Łojka i

dzi, że działał w zamroczeniu, stracił świadomość, miał wrażenie, że przebywa w śnie, że ogarnął go szal, że nic nie pamięta z samego zabójstwa. Natomiast później zaczyna z drobiazgową dokładnością opisywać jak leżały poszczególne zwłoki, nawet narysował dokładny szkic, opowiedział w co i jak zwałił ciała, jak o godzinie 17.00 już było po wszystkim, więc poszedł do rodziców na posiłek. Jedynie uczucie, że coś się stało, nie opuszczało go nadal. Po powrocie zwłoki pozostoił do piwnicy i zażył leki uspokajające.

Przez następne dni jadał, spał, odwiedził rodziców, odpoczywał. Dopiero w nocy z 3 na 4 sierpnia zawiózł ciała zamordowanych chłopców ojcowiskiem „wartburgiem” do lasu, złożył na ziemi, oblał benzyną i podpalił. Na pytanie: dlaczego podpalił, odpowiedział, że w ten sposób pragnął zniszczyć sam fakt morderstwa, wymazać ze swojej pamięci to zdarzenie, oczyścić się wewnętrznie.

W czasie odczytywania zeznań złożonych w toku śledztwa, chania w śledztwie, a dotyczących makabrycznych czynności dokonywanych przez Mariusza Trynkiewicza, jedna z matek nie wytrzymuje, zaczyna szlochać, wrzeszcze z okrzykiem: „Zabił go! Zabił go!” — wybiegła na korytarz. Na oskarżonym nie robi to żadnego wrażenia, jest nadal opanowany, obojętny, nieruchomy.

Zresztą — jak zeznał — kiedy zwałił do swojego mieszkania pierwszego chłopca, Wojtkę Pryczka, wpięty kazał mu napisać, pocztówkę do matki, że jest zdrowy i zaczyna pracować. Dopiero potem go udu-sił. Jednak prawie natychmiast,

zbliżeń. Do tygodnika „Radar” wysłał natomiast około 10 listów jako odpowiedź na zamieszczone tam ogłoszenia homoseksualistów. Jeden z nich potem nawet przyjechał do Piotrkowa, ale okazał się pełnoletni, więc ze spotkania nie nie wyszło. Nawiązał także korespondencję z grupą homoseksualistów w Piotrkowie, jednakże do spotkania nie doszło. Twierdzi, że nigdy nie uprawiał tego typu miłości. Onanizm — owszem, tak. W swoich notatkach posługiwał się znakami graficznymi: Y — oznaczał akt samogwałtu, trójkąt — podstawą w dół — wzwód — prącia, trójkąt — podstawą do góry — wytrysk nasienia. Ale tak naprawdę to nigdy nie interesował się seksem, ani go nie uprawiał.

O godzinie 12.40 ogłoszono krótką przerwę. Kiedy wypro-wadzano Mariusza Trynkiewicza, jedna z matek rzuciła w niego butelką po mleku, trafiając go w okolice szyi. Miało to taki skutek, że po przerwie poprosił o przerwanie rozprawy, bo rozbolała go głowa i poczuł się bardzo słabo. Sąd nie uwzględnił tej prośby i proces trwał nadal.

Według opinii biegłych — a badała Mariusza Trynkiewicza dwaj zespoły: jeden w Łodzi, drugi w Warszawie — jest on zdrowy psychicznie i posiada bardzo wysoki wskaźnik inteligencji — błądził na skali 121. Ma jednak wysoki stopień popędu erotycznego.

Ojciec zamordowanego Krzysia Kaczmarka, będący jednym z oskarżycieli posiłkowych, zwraca uwagę, że w mieszkaniu Mariusza Trynkiewicza były umieszczone na ścianach symbole satanistyczne, że ma

W szkole miałem kłopoty z rachunkami. Moja niezwykła tuż dziś nauczycielka pani Stefania Lefon-kiewicz oddając mi zeszyt z klasówką mówiła:

— Kto nie umie liczyć, ten nie robi kariery.

Zlekceważyłem owo madre ostrzeżenie i przez kilka dziesiątków lat udawało mi się jakoś wiazać koniec z końcem. Aż nastał rok 1989 i poczynając od sierpnia przestała obowiązywać matematyczna prawda że dwa razy dwa jest cztery. Przepowiednia nauczycielki ze szkoły powszechnej sprawdziła się co do taty. Nie tylko że nie zrobiłem kariery, ale na dodatek przestałem rozumieć zasady czterech podstawowych działań arytmetycznych. Zresztą coraz mniej rozumiem z tego co dzieje się na naszym rynku.

Przed wprowadzeniem urynkowania miałem mnóstwo problemów, ale i w sklepach mięsnych nie było co kupować. Teraz pieniędzy mam takbv więcej, a w sklepach nadal świeża puszysta kielbasa. Jej cena wywołuje zamęt w moim pozbawionym precyzji matematycznej umyśle. Liczę i liczę, a dwa razy dwa ciągle nie daje cyfry cztery. Proszę tylko popatrzeć: za tę samą świnkę, za jej jeden ki-

Ubojnia i masarnia znajdują się w Kolumnie. Są to nowoczesne dobrze urządzone obiekty. Rzuca się w oczy przede wszystkim czystość: teren jest wysprzątany, wszędzie krzewy, dookoła wysoki las. Nie ma też uciążliwego zapachu, towarzyszącego z reguły tego typu budowlom. Na miejscu zastaje pana Jana Fidyka kierującego ubojnią i przetwórnią.

— Dlaczego tak drogo liczy pan sobie za produkowaną przez siebie wędlinę? — pytam.

Jan Fidyk uśmiecha się i odpowiada:

— Tak wychodzi z kalkulacji.

— A kto prowadzi te kalkulacje?

— Oczywiście ja, a częściowo handel.

— Czyżby cenę kilograma kielbasy ustalały co najmniej dwie osoby z różnych branż?

— Właśnie tak.

Zaczynam tłumaczyć panu Fidykowi jakie przeżywa ostatnio kłopoty z rachowaniem.

— Zaraz — powiada. — Połóżmy wspólnie.

— Chętnie — mówię — bo jak tak dalej pójdzie, przestane wierzyć we wszelkie prawdy oczywiste.

— Weźmy wzorcowy przykład: świnię stukilogramową. Po prostu będzie nam lepiej liczyć. Otóż po jej uboju i wy-

zi, żywiecka — 7.040 zł, toruńska — 5.310 zł.

— Nie rozumiem — mówię. — Za co więc płacę w sklepie aż taki haracz?

— Za to, że sprzedawczyni zdejmie kielbasę z haka i ją panu poda. Handel też musi z czegoś żyć.

— Czy to normalne? — pytam zdruzgotany.

— Nie mniej o tym sędzić. Ale zapewniam pana, że gdyby nie było dotacji, mięso i jego przetwory byłyby jeszcze droższe.

— Co?! — nie wytrzymuję. — Macie jeszcze państwowe dotacje?

— Tak, do każdego kilograma. Oczywiście jej wysokość zależy od rodzaju mięsa i wędliny. Dla przykładu: do każdego kilograma szynki otrzymujemy 2.100 zł, baleronu 3.500 parówkowej 600, żywieckiej 1.700, a do toruńskiej 1.300 zł.

— Czy mam rozumieć, że gdyby wam nie dokładano te wyroby kosztowałyby o tyle drożej?

— Właśnie tak.

Zrobiło mi się nijako, a jednocześnie uświadomiłem sobie, że jednak z moją głową nie jest aż tak źle i ten zamęt w przeliczaniu złotych na kilogramy i odwrotnie, nie wynika z upadku podstawowych zasad matematyki. Ot, gdzieś nawalił

— Nie a nie.

— Ile sztuk trafia dziennie do ubojni?

— Mało. 30 sztuk trzody i 2-3 krowy. I to tylko dlatego, że nasze samochody jeżdżą do ościennych województw, na tamtejsze punkty skupu.

— A może, panie kierowniku, zyski pochłania nadmierna administracja? Iu ma pan zatrudnionych?

— Wszystkich nas jest 30 osób, a potrzeba jeszcze co najmniej 15. Przede wszystkim wykwalifikowanych ubojców i masarzy.

— W Urzędzie Zatrudnienia ludzie zapytaliby: za ile?

— Za 500 złotych na godzinę.

Już po wyjeździe z Kolumny, w drodze do Łodzi, uświadomiłem sobie rzecz moim zdaniem bardzo istotną, a dotyczącą cen wyrobów masarskich i mięsa, sprzedawanych przez Gminną Spółdzielnię „Samopomoc Chlopska” w Łasku.

Otóż jak to właściwie jest: dwa punkty skupu, ubojnia, masarnia oraz sklepy do których dostarczane bywają wyroby stanowią ten sam organizm, mają tego samego prezesa, głównego księgowego, a tylko różnią się pionami administracyjnymi i będąc określona wspólnota pion, do którego należy ubojnia i masarnia ustala dla siebie zysk w wysokości 15 procent, a pion handlowy dodaje do tego jeszcze 20 procent. Razem więc GS „Samopomoc Chlopska” ma aż 35 procent zysku na każdym zakupionym kilogramie żywcia.

I jak się nie dziwić, że dwa razy dwa już nie jest cztery?

Tydzień później spotkałem prezesa PSS w Łasku Zygmunta Zastróżnego i podzieliłem się z nim moimi wątpliwościami. Powiedziałem, że mnie, jako zwykłego zjadacza chleba, bardzo niepokoi sytuacja na rynku żywnościowym, a rosnące z dnia na dzień ceny, niczego dobrego nie wróżą na najbliższą przyszłość.

Prezes był innego zdania. Według niego handel jest dyskryminowany, wszystko, co złego w kraju, zrzuca się właśnie na handlowców, a wysokie marże — o których ja białole — są wcale nie za wysokie, bo nawet w krajach wysoko rozwiniętych, a konkretnie na zachodzie Europy, marża handlowa także oscyluje w granicach 35 procent. Zresztą, argumentował prezes, Radomska Wytwórnia Mebli sprzedaje swoje wyroby właśnie na Zachód, a tam handlowcy ciągną z tego ogromne zyski, natomiast o produkcie „Wółczanki” nie ma nawet co wspominać, bo ta sprzedaje swoje koszulki już po 15 tysięcy sztuk. A w ogóle, to kontrolerzy, którzy okresowo dokonują lustracji w jego placówce, zalecają zwiększenie personelu biurowego...

Sluchałem prezesa i ciągle czekałem, kiedy powie, co zrobić lub co on zrobił w kierowanej przez siebie spółdzielni, by mięso, wędliny, chleb, przetwory mleczne były tańsze. Jakże przedsięwzięcia poczyniana, by zahamować cenową spiralę pnącą się bez opamiętania w górę. Nic powiedział, a szkoda.

Rozumiem, że PSS, jak każdy pośrednik, musi zarobić na sprzedawanych przez siebie towarach. To prawo rynku. Natomiast nie przemawia do mnie argumentacja posilkująca się krzesłkami z Radomska i koszulami z „Wółczanki”. Idąc tym tropem rozumowania, można by użyć dodatkowo argumentu w postaci wytopu surówek w piecach hutniczych oraz budowy statków dla obcych armatorów. Bo moja racja, racja przeciętnego konsumenta, pozostaje ta sama: meble — to ja kupuję raz na całe życie, koszulki — raz na kilka lat, jest natomiast muszę przynajmniej dwa razy dziennie.

Później sprawdziłem ceny w sklepach PSS i GS i o dziwo, Gminna Spółdzielnia, mimo wysokiej, moim zdaniem marży, sprzedaje taniej.

Na marginesie powyższego, przytoczę przykład ze „Zgniłego Zachodu”. Parę lat temu byłem kilka tygodni w RFN. Przedstawiono mi tam właściciela 4 restauracji w Monachium i 7 podobnych rozsiadanych po całej Bawarii. Byłem ciekaw, jak duży zatrudnia on personel administracyjny, by całe to, okazałe przedsiębiorstwo, funkcjonowało. Odpowiedział: 4 osoby!

No tak, ale tam po dawnemu dwa razy dwa jest cztery i nie zanosi się na to, że jakiś spec od rynku znacznie modyfikował tabliczkę mnożenia.

OD REDAKCJI: Materiał do artykułu zbierany był przed podwyżką cen mięsa i wędlin.

Jak wychodzić z kryzysu?

Polityka ciągle przeważa ekonomię

Od początku lat osiemdziesiątych bujnie rozwija się w Polsce aktywność polegająca na doskonaleniu techniki podziału miernego „bochenka” dochodu narodowego. W okresie tym niektóre organizacje społeczno-polityczne (zwłaszcza związki zawodowe) osiągnęły wręcz mistrzostwo na tym polu. Natomiast problemy pomnażania dochodu narodowego znajdują się jakby na drugim planie, nie ekscytując szerokiej opinii publicznej w takim stopniu jak sprawy podziału, rewindykacji, osłony socjalnej etc. O wyrażeniu dominacji kwestii podziału nad tworzeniem podstaw dobrobytu materialnego świadczy przebieg obrad „okrągłego stołu”, a także pierwszy akt prawny uchwalony przez nowy Sejm — ustawa o indeksacji dochodów. Dyskusja wokół tej ustawy wzbudziła wiele kontrowersji i dostarczyła niepokojących sygnałów dotyczących sposobu myślenia o sprawach gospodarczych znacznego odłamu naszych parlamentarzystów, którzy ulegli populistycznym nastrojom swojego elektoratu (dotyczy to zwłaszcza posłów z OKP).

Kampania proindeksacyjna pokazała, że wielu reprezentantów nurtu reformatorskiego tkwi w niewoli stereotypów realnego socjalizmu, które przy innych okazjach są przez nich ostro krytykowane. W kwestii indeksacji jednak wykazali oni dużo pobłażania dla demagogii związkowej i prymatu celów politycznych nad ekonomią. Siabłość systemu indeksacji dochodów polega na tym, że regulacja ta niszczy tkankę systemu motywacyjnego (wzrost zarobków nie zależy od wkładu pracy), w obecnych naszych warunkach, nie wprowadza ład do sfery podziału dochodów, nie wyeliminuje żywiołowej i bezpardonowej walki różnych grup zawodowych o podwyżki wynagrodzeń. Do takiego smutnego wniosku skłania analiza ostatnich strajków i żądań placowych. Jeden z koronnych argumentów na rzecz indeksacji, a mianowicie, że stanowi ona będzie przyswójową „oliwę” łaną na wzburzone fale żywiołu placowego wydaje się tracić swoją zasadność. Przecież oprócz indeksacji ustawowej, która nie zadowolili wielu grup zawodowych, stosowane są i będą wymuszenia podwyżek placowych według obowiązujących obecnie w polskiej gospodarce wzorców działania, czyli poprzez szantaż strajkowy. Wskutek tego inflacja uzyskała nowy impuls.

Uchwalona przez Sejm formuła indeksacji nieuchronnie spowoduje wzmocnienie wpływu dodatkowych „pustych” pieniędzy na rynek. Przyjęto bowiem, że względów politycznych, powszechną formę indeksacji oraz włączono do ustawy (w ostatniej chwili) artykuł o indeksacji dochodów rolników. Indeksacja powszechna oznacza, że automatyczne podwyżki wynagrodzeń za pracę będą dokonywane niezależnie od ich wcześniejszego wzrostu wywołanego między innymi w drodze protestów, strajków itp. Logika ekonomiczna nakazywała, aby przyjąć wariancję indeksacji wyrównawczej, która polegałaby na wypłacie tylko różnicy między kwotą należną z tytułu indeksacji powszechną a podwyżką uzyskaną w danym kwartale (z wyłączeniem podwyżek związanych np. z awansami). Mimo ostrej krytyki indeksacji powszechną przeprowadzonej przez niektórych posłów na posiedzeniach klubów parlamentarnych PZPR i OKP, większość posłów odpowiadała jednak te argumenty, popierające tę formę indeksacji, jak konieczność dotrzymania ustaleń „okrągłego stołu”, obrona interesu pracowników i zachowanie społecznego zaufania do Sejmu. Zwyklieliśmy więc rację społeczno-polityczną a przegraliśmy ekonomiczną. Nie jest to żadne novum w naszym życiu społecznym, przywykliśmy się już bowiem do prymatu polityki nad ekonomią i przewagi populistycznych żądań nad zdrowym rozsądkiem ekonomicznym.

Wielce pouczające są doświadczenia krajów kapitalistycznych w dziedzinie indeksacji dochodów. Z doświadczeń tych niebezpiecznie spirali dochodowo-cenowej, nie sprzyja wzrostowi produkcji, a w pewnych okolicznościach może nawet napędzić inflację. Charakterystyczne, że w większości tych krajów zakres obowiązywania indeksacji jest bardzo ograniczony, a rządy i związki zawodowe wykazują dużą wstrętność do stosowania tego rozwiązania. Na przykład we Francji, USA i Kanadzie indeksacja plac jest częściowa. Ustawodawstwo francuskie przewiduje tylko indeksację wynagrodzenia minimalnego (tzw. SMIC — salaire minimum interprofessionnel de croissance). Jej stosowanie do innych plac (układów zbiorowych) jest prawnie zabronione. Podstawą indeksacji we Francji jest miesięczny indeks cen wyrobów konsumpcyjnych dla rodzin miejskich, w których głowa jest robotnik lub urzędnik. W USA i Kanadzie wskaźnik indeksacji wykazuje znaczne zróżnicowanie w różnych regionach i miastach. Ocenia się, że w USA indeksacja obejmuje tylko 10 proc. zatrudnionych poza rolnictwem. W Kanadzie natomiast ok. 40 proc. placowych układów zbiorowych zawiera klauzulę dotyczącą indeksacji.

W gospodarce włoskiej pod koniec 1983 r., po negocjacjach między rządem i związkami zawodowymi, dokonano zmiany dotychczasowego systemu indeksacji, który oparty był na zasadzie „scala mobile” (ruchomych schodów), co oznaczało, że wzrost plac był automatycznie dostosowywany do wzrostu cen w określonych kwartałach. Wskutek tego we Włoszech rozkręciła się spirala inflacyjna, która została uznana nie tylko przez rząd, ale i przez związki zawodowe za zjawisko groźne dla poziomu życia społeczeństwa. Zgodnie z nowymi ustaleniami operacja indeksacji przeprowadzana jest w 100 proc. tylko dla minimalnej płacy realnej i to w okresach półrocznych. Część płacy zawartej w przedziale między placą minimalną a tzw. placą zasadniczą jest indeksowana tylko w 25 proc. Pozostała część płacy, przekraczająca pulap płacy zasadniczej nie podlega już oficjalnej indeksacji.

Szczególnie godny podkreślenia jest fakt, że na początku lat osiemdziesiątych w okresie panowania recesji, wysokiej inflacji i bezrobocia wszystkie kraje, które skutecznie zmagały się z żywiołem inflacji poważnie ograniczyły lub całkowicie zawiesiły stosowanie systemu indeksacji. Tak było w Belgii, Holandii i Danii w 1982 r., we Włoszech i Izraelu w 1985 r., w Brazylji w 1986 r. Na podstawie analizy doświadczeń gospodarek wielu krajów kapitalistycznych eksperci Międzynarodowej Organizacji Pracy uznali, że w warunkach kryzysowych kiedy produkcja spada lub rośnie powoli, pełne i systematyczne indeksowanie plac może wzmocnić spiralę inflacyjną, a także obniżyć liczbę nowych ofert pracy.

Wysocy sceptycyzyści stosunek wyrażony wobec skuteczności indeksacji plac nie upoważnia absolutnie do twierdzenia, że w naszych warunkach gospodarczych indeksacja stanie się główną sprężyną zjawisk inflacyjnych i wobec tego wyeliminowanie tego rozwiązania przyczyni się do zahamowania inflacji. Byłoby to wniosek naiwny i fałszywy, korzenie polskiej inflacji wyrastają bowiem z wadliwej struktury gospodarki i olbrzymiego zadłużenia zagranicznego, horrendalnie wysokich dotacji do produkcji wielu wyrobów, co umacnia wysoki deficyt budżetu państwa itp. Krytyczny osąd rozwiązania indeksacyjnego sprowadza się do następującego stwierdzenia — iluzja jest mniemanie, że indeksacja wprowadzi jakiś porządek i elementy racjonalności do totalnie rozregulowanej sfery podziału dochodów i stworzy skuteczną zapórę przed obniżaniem poziomu życia mas pracujących. Poziom ten zależy przede wszystkim od rozmiarów i struktury dochodu narodowego. W warunkach spadku produkcji dóbr produkcyjnych i konsumpcyjnych żadna siła przybierająca formę „indeksacji” totalnej czy wielokrotnej nie powstrzyma obniżenia znacznych odłomów społeczeństwa. Uzdrawienie gospodarki, stwarzające na długą metę przesłanki poprawy poziomu życia Polaków, wymaga odważnych działań dostosowujących się nabywcą społeczeństwa do możliwości produkcyjnych gospodarki narodowej.

WITOLD KASPERKIEWICZ

Dlaczego 2 razy 2 nie równa się 4?

Gdzie rosną ceny?

EUGENIUSZ IWANICKI

logram żywej wagi na punkcie skupu rolnik dostaje od 1.800 do 1.700 zł. A więc cena została odniesiona o jakieś 200 procent w stosunku do obowiązującej przed urynkowaniem. Natomiast dla konsumenta chcąc kupić kilogram kielbasy powiemy żywieckiej, płacę o całe 810 procent więcej niż miesiąc temu.

Mój kompleks na te rachowania okazał się być powszechny bo ludzie w kolejkach także przestali polmować abrakadabre cenową. Znalomni matematyk wykładowca na UŁ kiedy tak tkwiliśmy w wolno orzesu-waceli się koleś do stoiska z wędlinami powiedział:

— Cenę parówkowej obalili wszelkie zasady matematyki.

Żle się dzieje w państwie duńskim — zaczytowałem klaszka i postanowiłem sprawdzić, gdzie znajduje się owa tajemnicza hodowla cen. Przecież musi być jakieś miejsce na linii: punkt skupu — ekien mięsny w którym ceny zaczynała wariować i ona się ku górze nieczym słupek rteci na termometrze u chorego na tyfus.

Polechałem do Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chlopska” w Łasku. Ma ona dwa własne punkty skupu uboju i masarnię a także sklepy, w których sortowała się wędliny i mięso. A więc można prześledzić cały cykl przyswójowego kilograma mięsa wędrującego po szczeblach tabeli cenowej.

patroszeniu, zostaje około 75 procent mięsa my to nazywamy zimne półtusze. Następnie dokonujemy rozbioru. Nie będe się rozdrabniać ale powiem że schab stanowi zaledwie 8,2 proc., karczek 6,2 proc., nogi już tylko 1 proc., natomiast głowa 5 proc., a słonina aż 11 proc. Teraz liczymy dalej: na cenę naszą, to znaczy uboju i masarni składa się koszt własny to jest koszt świni kupionej na punkcie skupu koszt transportu, uboju, rozbioru, produkcji (wędliny: ostionki przypraw, drewno do wędzenia), energii elektrycznej zużycie maszyn robocizna woda, plac. Do tego dochodzi 15 proc. zysku. W konsekwencji cena zbytu to koszt wszystkich wyżej wymienionych czynników.

— Panie kierowniku, zilustrujmy to konkretnymi przykładami.

— Proszę bardzo. Kilogram szynki — 8.500 zł, baleronu — 7.380 zł, parówkowej — 1.700 zł, żywieckiej — 5.630 zł, toruńskiej — 4.250 zł.

— Zaraz zaraz, gdzie za te ceny może to wszystko kupić?

— Nigdzie. To koszt zbytu, nasz koszt. My dostarczamy po tej cenie do zakładu handlu. A on dodała już od siebie 20 procent marży. Dlatego wymienione przeze mnie produkty kosztują w sklepie: szynka — 10.620 zł za kilogram, baleron — 9.220 zł parówkowa — 2.120

zdrowy rozsądek i tyle.

— Panie kierowniku — mówię. — A nie próbował pan działać, aby ta spirala cenowa nie rozkręcała się tak gwałtownie ku górze?

— Owszem.

— Z takim rezultatem?

— Proszę posłuchać. W moim przypadku są trzy momenty spełnienia których może przyczynić się do obniżenia ceny wędlin i mięsa na rynku. Po pierwsze: przy naszej ubojni i masarni powinien być własny punkt skupu żywcia i trzody chlewnej. Przecież my płacimy ogromne koszty transportowe przewozić świnię i krowy z Bałucha, Orchowa, Buczka. Szadku oraz z Górzeczanowa w województwie kaliskim. Gdyby chłopi przywieźli tu do naszego punktu skupu ta sama szynka która kosztuje teraz 10.620 zł byłaby tańsza co najmniej o 15 procent.

— A po drugie i po trzecie?

— Po drugie: bardziej oszczędna gospodarka w uboju i w masarni, a po trzecie: to dobra organizacja pracy.

— Oba te punkty zależą przede wszystkim od pana.

— Dlatego że już wprowadziłem. Ale powtarzani, najbardziej namacalnym czynnikiem przy obniżce byłby własny punkt skupu.

— Proszę powiedzieć, czy od momentu wprowadzenia urynkowania coś się zmieniło na lepsze ze skupem?



Collage: Grzegorz Gałasiński

Na temat seksu wiemy już prawie wszystko. Specjaliści opisali różne pozycje, techniki, upodobania, przyzwyczajenia. Seksuologia należy do najpopularniejszych dziedzin nauki. Jej odkrycia są powszechnie studiowane i wykorzystywane w życiu intymnym. Pogoń za orgazmem stanowi signum temporis końca XX wieku. Ludzie szukają wciąż nowych doznań. Żyjemy w epoce seksualizmu.

W sztuce kochania podstawowe znaczenie ma rozpoznanie ognisk zmysłowych drugiej osoby. Bardziej wrażliwe seksualnie są kobiety. Sfery erogenne (płaski uszu, szyja, pierś, narządy płciowe i ich okolice, wewnętrzna strona ud, pośladki, okolica łędźwiowa, kark) zajmują u nich około 15 proc. powierzchni ciała, a u mężczyzn tylko około 3 procent. Z najnowszych badań amerykańskich wynika, że najwięcej kobiet osiąga orgazm w wyniku pobudzenia łechtaczki

czyż odbierają jako przejaw upodlenia.

Szczególnie młode dziewczyny są w trudnej sytuacji. Marzą o wielkiej miłości i zdobywaniu małżonka. Chłopcy zaś brutalnie żądają dowodu miłości, a gdy go otrzymują, często odchodzą w poszukiwaniu nowych doświadczeń. Nie lubią cnotliwych kobiet, lecz sami pragną poślubić dziewicę. Wbrew pozorom cnota jest nadal w cenie. Młodzi mężczyźni nierzadko brzydzą się kandydatkami do małżeństwa, które należały do kogoś innego. Nie chcą mieć takich żon.

Jest jeszcze wiele społeczeństw, w których cnota się wiąże z honorem. Do tak zwanego dziewictwa przywiązują się ogromną wagą. Panny aż do wyjścia za mąż zaciekle bronią cnoty. Za przykład może posłużyć kobieta hiszpańska. Nad jej cnotą czuwały zazwyczaj rodzice, bracia i kościół katolicki. W bardzo interesującej książce pt. „Hiszpańskie czary” Michel del Castillo następująco opisuje los kobiet:

dziesięcioletnia Angela Vicario. Piękna dziewczyna dorastała w żelaznym rygorze narzuconym przez matkę. Miała dwóch braci bliźniaków i dwie starsze siostry, które późno wyszły za mąż.

„Braci wychowano po to, żeby byli mężczyznami. One zostały wychowane po to, żeby wyjść za mąż. Potrafiły haftować na bębnie, szyć na maszynie, robić koronki klocekowe, pracować prasować, wyrabiać sztuczne kwiaty i fantazyjne desery, kaligrafować zawładowania o zrzeczynach, a w odróżnieniu od ówczesnych dziewcząt, które zaniedbały kult śmierci, wszystkie były mistrzyniami w starej sztuce czuwania przy chorych, niesienia pomocy umierającym i owijania zmarłych w całun”.

Angela Vicario nie spotykała się z kochliwym Santiago Nasarem. Nigdy nie widzano ich razem. Należeli bowiem do odrębnych światów. Tym bardziej więc nikomu przez myśl nie przeszło, że młoda panna nie jest dziewicą.

im życie. Santiago Nasar odpokutował znieprawę, bracia Vicario potwierdzili swą kondycję prawdziwych mężczyzn, a uwiedzona siostra znów była w posiadaniu swej utraconej czci. Jedynym, który stracił wszystko, był Bayardo San Roman”.

Na tym samym kontynencie, w peruwiańskim departamencie Loreto, w mieście Iquitos nad rzeką Itaya, kapitan Pantaleon Pantoja musiał zorganizować ruchomy dom publiczny dla wojsk lądowych i floty amazońskiej. W otoczeniu pięknych loretańskich żołnierzy nie mogli żyć jak cnotliwe panny. Zdarzały się przypadki pederastii i zoofilii. Pewnego kaprała przyłapano nawet w trakcie współżycia z małpą.

Służba Wizytanek przy Garnizonach, Posterunkach Granicznych i innych obiektach funkcjonowała znakomicie. Jawno i publicznie loretańskie dziewczyny obsługiwały wyposażonych żołnierzy i oficerów. Ale wszystko skończyło się tragicznie. Na konwój złożony z sześciu prostytutek dokonano bandyckiego napadu seksualnego. Siedmiu piratów zaważnęło statkiem „Ewa” i zgwałciło wizytantki. Przy próbie odbicia własności wojskowej zginęła piękna Olga Arellano Rosaura, alias Brazylijka. Pogrzeb odbył się z udziałem kompanii honorowej... Nie więc dziwnego, że wybuchł skandal i musiano zlikwidować rozkoszną Służbę Wizytanek.

Podczas lektury groteskowej powieści Mario Vargas Llosy „Pantaleon i wizytantki” nasuwa się smutna refleksja, że mężczyznom trudno wytrwać w czystości i wierności. Wszędzie zresztą domy publiczne organizowano tylko dla nich. Prostytucja męska nigdy nie była zjawiskiem masowym. Potwierdza to chyba też, że kobietom łatwiej zrezygnować z kontaktów heteroseksualnych. Często zadowalają się miłością duchową i macierzyństwem.

Prawie każda kobieta pragnie zostać matką. Bardzo chce, żeby jej dziecko było owocem miłości. Jeden z najpiękniejszych wierszy na ten temat napisał Krzysztof Kamil Baczyński.

„Maria czekała cicho. I zdało się, płynął świat ogromny w oddechu nieba jak otchłanie, co wiało wielkim oknem na stół, na postanie białe i nie dotknięte. Czekala. W milczeniu na piersi ręce kładła i wtedy się pienil krwi jej rozgrzany napój i owoce mleczne pęczniały jej pod dłonią, i czuła, jak bije bolesna piastka serca. I czuła, że żyje tódzka w niej maleńka, listeczkami dwoma obejmująca miłość całą, jaką ona i on zamknęli w sobie. I gdy rękę niżej obsunęła, poczuła jak ją szorstko liże płomienny język ciszy. Brzuch miała jak kropkę ogromną, w rozłożystą misę biodr zamknięty. W takiej ciszy słyszała, jak na godzin stopnie pnie się w niej ten roślinny puch, twardnieje w orzech — to było dziecko male, które wkołysali ciepłym ciałem swych pomrukiem jak szelestem morza w jej pełnię i dojrzałość, która równa ziemi ogarnęła i rosła rączkami drobniemi, zarysem ust różowych, roślinką maleńką, którą czuła pod lekko wyciągniętą ręką i która dziś się spełni i weździe człowiekiem nad przymrużoną lekko ziemią zlej powieki, żeby się stać czym? kwiatem, powłoką czy lżą?”

Jeśli urodzi się upragnione dziecko, kobieta jemu poświęca większość swych uczuć i trosk. Natomiast mężczyzna i życie seksualne schodzą na drugi plan. Wiele żon zajętych dziećmi zaniedbuje erotycznie mężów. Popędzają jednak poważny błąd, który nieraz trudno naprawić.

Kobietom łatwiej zrezygnować z kontaktów heteroseksualnych niż mężczyznom.

Seks dla mężczyzn i kobiet

MIROSLAWA SARBINSKA

(90 proc.), mniej pochwy (60 proc.) i jeszcze mniej przeżyci Grafenberga (górną ścianę pochwy) — 33 proc., piersi — 30 proc., wyobraźni — 25 proc., ust — 20 proc., okolic odbytu — 9 proc. Natomiast wśród mężczyzn najczęściej wyzwalają orgazm pobudzenie członka (98 proc. populacji), a w mniejszym zakresie okolic odbytu — 26 proc., wyobraźni — 21 proc., ust — 20 proc., piersi — 7 procent. Zdolność przeżywania orgazmu u mężczyzn jest wrodzona, zaś u kobiet wyuczona. Przy czym starsze kobiety (35—45 lat) łatwiej pobudzić niż młode.

Polski specjalista, dr hab. Lechosław Gapik, stanowczo twierdzi, że kobieta najłatwiej osiąga pełną satysfakcję seksualną poprzez... masturbację. Na drugim miejscu jest... miłość lesbijska, a dopiero dużo dalej stosunek z mężczyzną. Podczas automasturbacji, czyli onanizmu, kobieta może się skutecznie stymulować niż w trakcie stosunku płciowego. Dlatego o wiele łatwiej zrezygnować jej z kontaktów heteroseksualnych niż mężczyźnie.

Mężczyzna zawsze dąży do pełnego rozładowania seksualnego. Największą przyjemność sprawia mu wytrysk nasienia w pochwie. Natomiast kobieta może zadowolić się pieścizkami, czułością, serdecznością, poczuć bezpieczeństwa. Tylko niektóre kobiety pragną gry erotycznej do końca, muszą iść „na całość”.

Lechosław Gapik podkreśla, że kobieta lepiej potrafi zaspokoić seksualnie drugą kobietę niż mężczyznę. Szacuje on, że co najmniej jedna czwarta kobiet, a może nawet jedna trzecia, miała jakieś kontakty fizyczne z inną kobietą bądź kobietami. Jego zdaniem, lesbijki są wszędzie: w małżeństwach, sklepach, poradniach... Przy czym skłonność homoseksualne częściej mają kobiety bardzo ładne, ponieważ fascynują się pięknem ciała kochanego. Miłość lesbijska występuje zwykle między urodziwymi partnerkami.

Nie wierzę jednak, żeby tak dużo kobiet miało cechy homoseksualne. Nie spotkałam dotąd żadnej lesbijki, choć uchodzę za ładną kobietę. Nie przekonuje mnie też twierdzenie, że kobieta potrafi kobietę skuteczniej niż mężczyznę doprowadzić do przeżycia pełnej satysfakcji seksualnej. Gdyby rzeczywiście tak było, to miłość lesbijska byłaby zjawiskiem powszechnym i łatwo zauważalnym.

Natomiast podzielam pogląd, że w kontaktach erotycznych z mężczyzną wielu kobietom wystarczą same pieścizoty. Kobiety bowiem przede wszystkim pragną wzajemności uczuciowej, psychiczno-erotycznej. Jeśli nie zakochają się w wzajemnością, to czują się niezadowolone i niezapokojone emocjonalnie. Niezdolność do wzajemności zainteresowania psychiczno-seksualnego u męż-

„Mężczyzna jest niebezpiecznym wrogiem, którego trzeba się wystrzegać, Błada tym, które mu ulegną! Celem życia im nie starczy na pokutę. Zostaną starymi pannami. Nikt nie poślubi kobiety pohańbionej. Uwiedziona dziewczyna jest obrzucana obelgami nawet przez tego, któremu się oddała. Taka sytuacja wymaga od kobiety subtelnych talentów. Musi uważyć, nic w zamian nie dając. Z patetyczną zawziętością poluje na męża. Znalazienie małżonka oznacza wyzwolenie. Widmo staropaniństwa depta jej po piętach... Z upływem czasu lęk przed staropaniństwem zamienia się w obsesję. Bo być starą panną to znaczy być niczym. A więc pasek, spacer, msza, każde wyjście z domu jest okazją, której nie należy zmarnować. Oczy szukają porozumiewawczego spojrzenia, na ustach drży półśmiatek, serce bije w piersi jak oszałełe”.

Wielki triumf przeżywa Hiszpanka w dzień wesela. Ale nie przywiązuje dużego znaczenia do seksu. Rozkwiła później w macierzyństwie i przyzwyczaja się do oziębłości. Wszystkie radości przenosi na dzieci. Macierzyństwo ją całkowicie satysfakcjonuje. A potem czeka na kolejny triumf w postaci wdowieństwa. I wtedy dopiero nabiera znaczenia, gdy zostaje wdową. Ubiiera się cała na czarno, zamyka w domu i rozpacza.

„Może dlatego tak bardzo płacze, że chce odpokutować swoje zadowolenie. Wdowieństwo zapewnia jej wszystkie przywileje małżeństwa uwalniając od jego niewygód. To już prawie szczęście. W Hiszpanii jest dużo wdów. Prawie wszystkie mają miłą radość przygnębienia. Rywał nie żyje. Pokój jego duszy! Wreszcie można zakosztować spokoju”.

Michel del Castillo uważa, że Hiszpanki zasługują na lepszy los niż przypadł im w udziale. Powoli zresztą już się wyzwalają. W większych miastach podejmują pracę zawodową, zdobywają pewną niezależność. Na ulicach widać coraz więcej starszannie ubranych, umalowanych i ruchliwych jak młodzi młodych kobiet. A dawniej Hiszpanki się nie spieszyły. Miały czas na spacer, chodzenie do kościoła.

Podobny los do Hiszpanek mają kobiety latynoamerykańskie. W tamtych krajach łowy miłosne są również sprawą honoru. Na straży dziewictwa panny stoją całe rodziny. Za lekomyślne uwiedzenie można zapłacić nawet życiem. Taki tragiczny wypadek opisał Gabriel Garcia Marquez w opowiadaniu „Kronika zapowiedzianej śmierci”.

Santiago Nasar miał 21 lat. Był człowiekiem dobrze wychowanym, wesołym i spokojnym, lecz bardzo kochliwym. Zrywał pączki wszystkim napotkanym pannom, które zaczynały rozkwitać. Mówiono o nim, że jest krogulcem na kureczki. W tym samym miasteczku żyła dwu-

Pewnego razu przybył do miasteczka blisko trzydziestoletni Bayardo San Roman. Był czarującym mężczyzną, wyglądającym na pedala. Miał złota- we oczy, skórę sprężoną saletrzanym powietrzem i wąskie biodra jak u początkującego toreadora. Niemal od razu zakochał się w pięknej Angeli, która odniosła wrażenie, że jest wyniosły i zarozumiały. Wydała jej się, że to Polak.

Angela Vicario nie chciała wyjść za Bayarda San Romana. Był dla niej za bardzo męski. Ale nie miała wiele do powiedzenia. Rodzice z powagą i radością przyjęli oświadczyny. Oddali najmłodszą córkę atrakcyjnemu i bogatemu mężczyźnie. Wtedy przerażona i ogłupiała dziewczyna postanowiła wyznać matce całą prawdę. Lecz odwołała ją od tego dwie jedyne powierniczki, które dały do zrozumienia, że mają już doświadczenie w oszukiwaniu mężczyzn.

„Zapewniły ją, że niemal wszystkie kobiety tracą dziewictwo w przypadkowych przypadkach miłosnych. Uparcie utrzymywały, że nawet najtrudniej do wymanewrowania podawali się w końcu, pod warunkiem, że nikt się o tym nie dowie. Przekonały ją ostatecznie o tym, że mężczyźni w większości dożywiali nocy poślubnej już tak porządnie wystąszeni, że nie byli w stanie zrobić czegośkolwiek bez pomocy żony, do tego stopnia, że w godzinę prawdy nie byli już świadomi swych czynów”.

W decydującym momencie Bayardo San Roman, choć podczas wesela pił wódkę z butelki, nie dał się nabrać na rajfurskie fortele. Jeszcze tej samej nocy oddał swą żonę jej rodzicom. Ciężko pobita przez matkę Angela powiedziała, że sprawcą zhańbienia jest Santiago Nasar.

W tej sytuacji starsi bracia Angeli, aby utrzymać honor domu, postanowili zabić Santiago Nasara. Spadł na nich straszliwy obowiązek obyczajowy, który mieli wypełnić. Obaj mieli po 24 lata. Nie ukrywali swego zamiaru. W miasteczku wiedzieli, że przygotowywali się do zabójstwa. Późniejsza sekcja zwłok wykazała, że spośród wielu zadanych przez nich ran siedem było śmiertelnych.

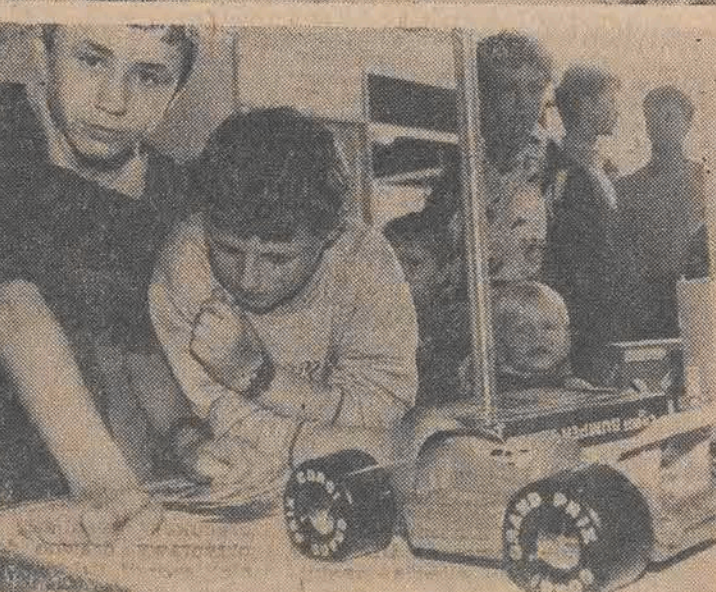
Pedro i Pablo Vicario najprawdopodobniej zabili niewinnego człowieka. W śledztwie nie znaleziono przeciwko niemu żadnych dowodów. W obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa reagował z zakłopotaniem osoby niewinnej. Angela Vicario obstawała jednak przy swoim. Nawet w dwadzieścia trzy lata po dramacie podtrzymywała pierwotną wersję oskarżenia. A co myśleli o tym inni?

„Większość ludzi uważała, że ofiarą padł tylko jeden człowiek: Bayardo San Roman. Sądzono, że inni bohaterowie tragedii wypelnili z godnością, a nawet z pewną wzniosłością, tę część łaski, której udzieliło

GRZEGORZ GALASIŃSKI PREZENTUJE:



Czym się bawić?





ROMAN
SENSKI

Ojczyzna

zatrzymała się między litanją
do pierwszego płatka jabłoni
a rozczochranym świstem zadymek

zamykana ciepłem kuchni — tych wielkich
gdzie echo gotowanej wody rozbija się
o różowe kafelki
i małych — dzielonych parawanem
z pokoiem niemowlęcia
w których mocz miesza się z zapachem
grochówki

ojczyzna — to obok szerokich okien na ogrody
także ścianie i szatkowanie problemów
między posiłkami a pracą

też — szukanie na kacu cienia drzew
odnajdywanie przed wypłatą
monety z kolejnym królem
i spóźniona randka z własną żoną

Półka z książkami

„JAŁOWA ZIEMIA”

Wydawnictwo Literackie od jakiegoś czasu wy-
daje poezję w wersji dwujęzycznej: oryginalnej i
w przekładzie na język polski. Właśnie ukazała
się „Jałowa ziemia” T.S. Eliota w przekładzie
Czesława Miłosza. Nie jest to lektura łatwa, jak
niełatwa była filozofia samego Eliota, który upa-
trywał wyzwolenie się z wewnętrznej pustki po-
przez drażnienie tradycji pozostawionej nam, przez
największych myślicieli minionych epok.

T.S. Eliot: Jałowa ziemia. WL 1989. Str. 44. Cena
700 zł.

POWRÓT JORGE AMADO

W latach 50. był chyba najpopularniejszym u
nas Brazylijczykiem. Wydawano jego powieści, w
gazetach drukowano je w odcinkach. Potem gwa-
rza Amado zbladła, pojawiły się inne nazwiska.
Obecnie Wydawnictwo Literackie wydało jego
„Teresę Batistę wojowniczą”, opasłą
księgą traktującą o życiu dziewczyny, która los
doświadcza ciężko i okrutnie, ale ona z każdej
próby wychodzi z godnością. Książka na wiele
wieczorów, jak brazylijskie seriale emitowane
przez naszą tv.

Przekład Elżbiety Reis.

Jorge Amado: Teresa Batista wojowniczą zmę-
czona. WL 1989. Str. 528. Cena 1.950 zł.

TAJEMNICE KART

Jest to okrutna namietność, a jak twierdzą nie-
którzy, zaraza, która opanowała kulę ziemską.
Andrzej Hamerliński-Dzieryński zebrał i opisał
dzieje tej namietności na ziemiach polskich, szpi-
gując całość zabawnymi historykami, indeksem
gier i słownictwem nazw i zwrotów karcianych.
Słowem zabawa dla jednego, a nauka dla innych.
Andrzej Hamerliński-Dzieryński: O kartach,
karciarzach, grach pocztowych i grach szulerskich.
WL 1989. Str. 424. Cena 1.200 zł.

E. I.



Chleb

HENRYK PUSTKOWSKI

Na stronie 192 pod miniaturką
poetycką „Las pod Strzałkami” w
tomie „Chleb” J.H. Wiśniewskiego
znajdujemy charakterystyczną i
niestety, pojawiającą się dziś je-
szcze zbyt często notę — „zapis”
cenzury z powoływaniem się na
odpowiedni Ustęp. Jeśli mnie nie
zawiedli wydawcy, była tam po-
mieszczona dedykacja Lechowi Wa-
lesie. Oto jak życie wyprzedza nie
tylko poezję, ale sam proces wyda-
wniczy. Piszę o tym z innej zresz-
tą przyczyny. J.H. Wiśniewski
sporo swych tekstów dedykuje o-
sobom mu bliskim; i tym z kregów
prywatnych, i historycznych (Pi-
łsudski), i politycznych. Czyny
to, jak sądzę, z przeświadczenia, iż
poezja mimo swej uniwersalności
jest przecież zarazem „rozmowa”.
Obok nieokreślonego, ale żywio-
wego „wirtualnego odbiorcy” ma też
konkretnego współrozmówcę, współ-

twórcę, bądź współuczestnika par-
tycyipującego w systemie wartości
powołanych do życia przez poetę.
Tę cechę — połączenie uniwersali-
zmu z autentyzmem poetyckich
przesłanek — rozpoznajemy już w
najwcześniejszych wierszach autora
„Chleba”. Poeta zawsze „doświad-
czał” życia i życie też go doświad-
czało. Świadectwo tych przeżyć
jest serwowane dyskretnie — bez
zbytniego ekslibiszizmu liryczne-
go — ale dramatycznie: w suro-
wej, ascetycznej i trochę „turpi-
stycznej” poetyce. Wydaje mi się,
że ten element poetyckiego idole-
ktu może stanowić o swoistym na-
cechowaniu poetyki J.H. Wiśniew-
skiego. Nie unika wszakże Wiśniew-
ski charakterystycznej dla poka-
lenia poetów lat 60. „choroby po-
włótek”. Literacko sprawne, wy-
smakowane jego stylizacje mogą z
powodzeniem konkurować z kan-

nem stylistycznym, jaki wytworzył
się w kręgu formalizmu. Ale w
końcu — mimo iż tworzy uczone
głosy, kulturowe komentarze — li-
sty (zresztą z temporalnymi pod-
tekstami) — J.H. Wiśniewski na-
leży do grupy poetów „samoi-
stnych” — nie rozpoznanych do
końca przez krytykę outsiderów
chodzących własnymi ścieżkami.
Jedno jest też pewne: że tytułowy
wiersz „Chleb” można także trak-
tować metaforycznie. Takim chle-
bem powszednim, darem najcen-
niejszym jest dla niego poezja.
Został jej wierny i nie przestał w
nią wierzyć nawet wtedy, kiedy z
wyboru wybrał milczenie w tzw.
oficjalnym obiegu literackim. Do-
brze się stało, że za sprawą Wyda-
wnictwa Łódzkiego do „komunika-
cyjnego obiegu” wraca poeta au-
tentyczny, po — Norwidowski o-
sądzający świat nie ograniczając
się jedynie do jego (świata) opisa-
nia.

Józef Henryk Wiśniewski.
„Chleb”. WL, Łódź 1989, s. 210 ce-
na 360 zł.

Czas na decyzje!

Dla kultury nadchodzą czasy, w których prefe-
rencjami i wsparciem objęte będą instytucje arty-
styczne legitymujące się najcenniejszym dorob-
kiem, także artystycznym. Do nich należą bez
wątpienia placówki muzealne w Łodzi, niektóre
bardziej znane poza granicami kraju aniżeli w
miejscu swojego istnienia. I nie tylko. Zilustro-
wał to swego czasu jeden z dyrektorów łódzkie-
go muzeum jak to w Paryżu, dyrektor tamtejs-
zego Centrum Pompidou przedstawiał go... pol-
skiemu wiceministrowi kultury i sztuki!

Znajomość naszych muzeów poza granicami
kraju to rezultat licznych ekspozycji organizowa-
nych w różnych krajach, szczególnie tam gdzie
ceni się bardzo wysoko łódzkie zbiory, a ich ran-
gę wyznaczają sprowadzane, na zasadzie wzajem-
ności, wystawy prezentowane u nas. W roku 1986
nasze muzeum zorganizowały poza granicami kraju
16 wystaw, zaś 9 zagranicznych sprowadziło za
granicę. W roku 1987 — 5 wystaw urządzono za
granicą, a 15 w kraju; w roku ubiegłym nato-
miast — 11 za granicą i 7 w kraju. Ten rok za-
powiada się równie interesująco pod tym wzglę-
dem.

Gorzej przedstawia się sytuacja z możliwościami
wystawienniczymi we własnych siedzibach —
trudne warunki lokalowe, brak powierzchni, za-
równo ekspozycyjnej jak i magazynowej to przy-
czyny, dla których ledwo drobne części posiada-
nych zbiorów mogą być udostępnione zwiedzają-
cym. Wystarczy powiedzieć, że w Muzeum Ar-
cheologicznym i Etnograficznym, na 155.940 eks-
ponatów, zaledwie 6.122 (tj. 4 proc.) znajduje się
w ekspozycji. W Muzeum Sztuki, na 10.958 eks-
ponatów w ekspozycji znajduje się 490 (4,5 proc.).
Podobnie ma się rzecz w Centralnym Muzeum
Włókiennictwa — na 8.796 eksponatów 448 zna-
duje się w ekspozycji, a w Muzeum Historii Mi-
asta Łodzi — na 54.441 muzealiów w ekspozycji
znajduje się 775 eksponatów, czyli ledwo 1,5 proc.
Nie oznacza to wcale, iż jest to równoważące
z niewielką ilością organizowanych ekspozycji w
ogóle. Przeciwnie, pod tym względem łódzkie pla-
cówki muzealne można zaliczyć do nieszczęśliwie
przeżycych. Poza stałymi wystawami ze zbiorów wła-
snych (prezentującymi co prawda niewielki pro-
cent zbiorów — ok. 4), ważną formę popular-
zacji stanowią wystawy czasowe. W 1986 roku
łódzkie muzea zorganizowały 60 wystaw czaso-
wych we własnych siedzibach (zawdzięło je 307.610
osób) i 29 wystaw objazdowych w Polsce (z frek-
wencją 63.174 osób). W roku 1987 wystaw czaso-
wych zorganizowano w pomieszczeniach własnych
68 (które odwiedziło 362 tys. osób) oraz 38 wystaw
objazdowych. I wreszcie w roku ub. urządzono
56 wystaw (425.627 osób odwiedzających) i 50 wy-
staw objazdowych (dla 196.265 odwiedzających).
Jednakże z warunków w jakich znajdują się

łódzkie muzea nie tylko ograniczają możliwości
udostępniania, nierzadko najwybitniejszych dzieł,
szerokim rzeszom wielbicieli sztuki, lecz co naj-
ważniejsze — zagrażają samymu dziełom, prze-
chowywanym w bardzo złych warunkach. W ta-
kim np. Muzeum Sztuki uczyniono wszystko, aby
zapewnić eksponatom odpowiednią wilgotność i
temperaturę, lecz pomieszczenia piwniczne nie
nadają się do celów magazynowych. Jak utrzy-
mują specjaliści, nadmierne zagażowanie obiektów
sprzyja rozwojowi bakterii niszczących dzieła
sztuki, nie mówiąc już o utrudnieniu w pracach
i nadzorze nad muzealiami. W podobnej sytuacji
znajduje się Muzeum Archeologiczne i Etnogra-
ficzne, które właściwie wykorzystano już moż-
liwości magazynowe do maksimum i dalsze groma-
dzenie eksponatów może spowodować dramatyczną
wręcz sytuację dla zbiorów, zbiorów bardziej ce-
nionych poza granicami niż w Łodzi. Podobnie
jak bardziej ceni się w świecie zgromadzoną w
Muzeum Sztuki kolekcję.

Takim charakterystycznym przykładem sytuacji,
w jakiej znalazło się np. Muzeum Sztuki, była
wystawa naszych zbiorów zorganizowana w Cen-
trum Pompidou w Paryżu (nb. opisywana entu-
zjastycznie przez światową krytykę, za to naj-
mniej przez polską), w wyniku której rewanżo-
wa ekspozycja „4 razy Paryż” nie mogła się od-
być w Łodzi, lecz w warszawskiej „Zachęcie”, bo-
wien warunki ekspozycyjne łódzkiego Muzeum
na to nie pozwalały.

Owszem, pozwoliłoby, gdyby władze miasta do-
trzymały swoich zobowiązań z początku lat 80.
Wtedy to bowiem uroczyste i solennie przyrzekły
oddać na potrzeby Muzeum Sztuki gmach poła-
bryczny, przy zbiegu ulic PKWN i Mickiewicza.
Muzeum zdążyło nawet w tym czasie zorganizo-
wać tam pierwszą inauguracyjną wystawę, dowo-
dząc tym samym wielkiej przydatności obiektu
na cele wystawiennicze. Niestety, na obietnicach
się skończyło, a obiekt udostępniono... Miejskie-
mu Przedsiębiorstwu Komunikacji. Jak obiecywa-
no — do czasu wybudowania zajezdni. Zajezdnie
wybudowano, a w starym obiekcie, a raczej w
niektórych jego pomieszczeniach, MPK nadal
funkcjonuje. W zamian za niespełnienie obietnicy
Muzeum miało otrzymać tzw. Dom Buta, tyle że
po rozeznaniu sprawy (no i zainwestowaniu znacz-
nych środków) okazało się to niemożliwe...

Całą tą sprawą zajmowała się w marcu Rada
Narodowa Miasta Łodzi, podjęła odpowiednią
uchwałę, a jakże, lecz końca sprawy nie widać.
Czas najwyższy, aby obietnicy i gadulstwo wokół
pilnych spraw zastąpić właściwymi i rozumnymi
decyzjami.

MARIAN ZDROJEWSKI

PESTKI DYNI

POLSKIE DROGI

PARYŻ

LONDYN

MOSKWA

RZYM

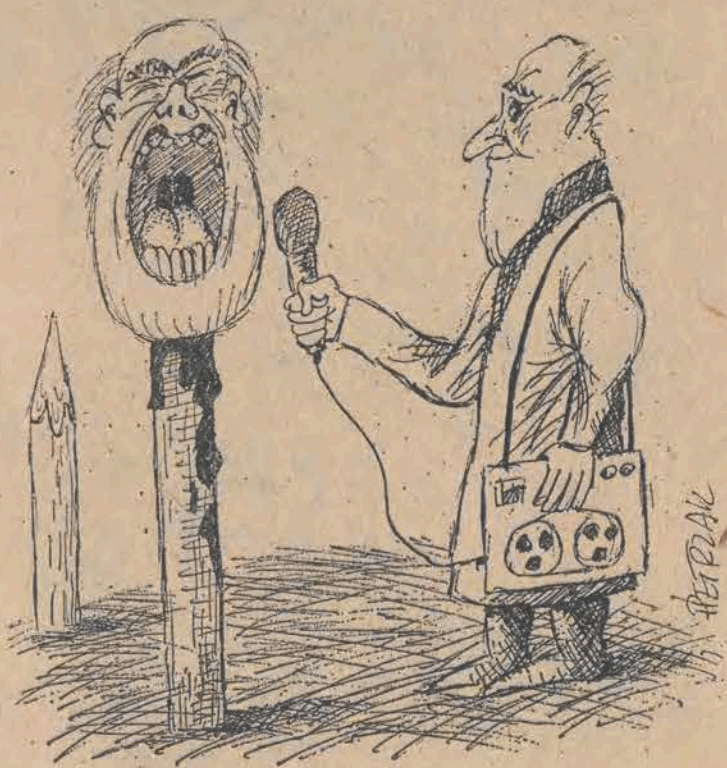
WASZYNGTON

BON

PAN BOG

ANDRZEJ GRUN

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata



Rys. Dariusz Pietrzak



POD TRAMWAJ GO!

„Pod presją okupanta hitlero-
wskiego całe życie muzyczne
polskiej stolicy chroniło się po
kawiarniach. Były one jedynym
azylem dla wolnej muzyki, z
czego korzystali nawet najlepsi
artyści, traktując to jako okazję
do nieprzerwanego czynnego
kontaktu ze sztuką — powiedział
Witold Lutosławski, jeden z naj-
wybitniejszych kompozytorów
naszych czasów, w wywiadzie
dla „Luxemburger Wort”, które-
go fragmenty cytujemy za „For-
um”. — Na ówczesnym placu
Saskim, w miejscu, gdzie obecnie
znajduje się hotel „Victoria”, z
dużym powodzeniem prospero-
wała kawiarnia SIM (skrót od
Sztuka i Moda). Z Andrzejem
Panufnikiem, polskim kompozy-
torem mieszkającym obecnie w
Wielkiej Brytanii, tworzyliśmy
duet fortepianowy... W czasach
faszystowskiej pogardy dla sztuki
żywy kontakt z nią był dla
nas, profesjonalistów, ale również

dla publiczności, jakby balsa-
mem na wszystkie okropności
tamtych lat.”

W odpowiedzi na pytanie
związane z zakazem wykonywa-
nia „I Symfonii” w Polsce (jako
utworu „formalistycznego”) Wi-
told Lutosławski powiedział:
„Nigdy nie rozumiałem tego po-
jęcia. W moim przekonaniu by-
ło to typowe określenie „urzęd-
ników od sztuki”, pomocne w
prześladowaniu artystów posia-
dających indywidualność czy
tworzących niekonformistycznie
wobec obowiązującego wówczas
w Polsce realizmu socjalistycz-
nego. Faktem jest, że moja sym-
fonia została uznana za formal-
istyczną i przez dziesięć lat nie
była w kraju wykonywana. Po
ostatniej prezentacji tego dzieła
w polskiej Filharmonii Nardo-
wej w 1949 roku, w pokoju dy-
rygenta w obecności kilkun-
stu zebranych tam osób ówczes-
ny minister kultury miał się wy-
razić, że takiego kompozytora
jak ja należałoby wrzucić pod
tramwaj. Co ciekawe, powiedział
to nie w formie żartu, ale był
autentycznie obrażony! Nie u-
krywam prawdziwości tego zda-
żenia — choć dziś już brzmiące-
go jak anegdota — bowiem u-
ważam je za charakterystyczny
przykład sytuacji, w jakiej zna-
dowała się wówczas polska twór-
czość artystyczna...”

OSTATNIA PRÓBA

Nie tylko u nas odczuwamy
kłopoty z nieprzystosowanymi do
życia społecznego małolatami.
„Duński urząd sprawujący opie-
kę nad małoletnimi, zamierza
wysłać pięciu młodocianych prze-
stępców w wieku 15-17 lat na
Saharę, gdzie mają przez 6 ty-
godni walczyć o przetrwanie w
skrajnie trudnych warunkach” —
pisze „Frankfurter Rundschau”.
„Próbowaliśmy już wszelkich
innych metod rehabilitacji, ale
bez skutku” — mówi Erik Juul,
szef urzędu ds. socjalnych w O-
densce na wyspie Filnen. Tre-
ning na pustyni ma być ostatnią
próbą nakłonienia młodocianych
do przystosowania się do reguł
współżycia społecznego.

„Chcemy zobaczyć, jak ta gra-
na będzie sobie dawać radę w
sytuacji, od której nie będzie
mogła uciec. No i pragnęlibyśmy
skierować ich niszczycielską e-
nergię na dokonanie czegoś kon-
struktywnego” — wyjaśnia Juul.
Młodocianym, którzy wielokrot-
nie mijali się z prawem, ma to-
warzyszyć trzech wychowaw-
ców.”

SKANDAL

19-letnia Lara Cardella, mies-
zkanka niewielkiej miejscowości

Liceto na Sycylii jest autorką
bestselleru wyróżnionego Naro-
dową Nagrodą dla Młodych Pi-
sarzy. Niewielka, licząca 121
stron książka nosi zabawny ty-
tuł: „Volevo i Pantaloni” (Chcę
nosić spodnie). Bohaterką i za-
razem narratorką jest 16-letnia
Annetta, wychowywana w tra-
dycji surowej obyczajowości, po-
tępiającej wszelką swobodę
wśród młodzieży obu płci. Za jej
przejaw uważane jest nawet no-
szenie spodni przez młode dziew-
czyny. Książka zawiera doskona-
le podpatrzone śmieszności oby-
czajowe oraz hipokryzję i pru-
derię, zwłaszcza starszego poka-
lenia.

Młoda autorka, która dzięki
książce stała się osobliwością
miasteczka, drogo zapłaciła za
swą odwagę nazywaną rzeczą
po imieniu. Straciła wielu przy-
jaciół, jej siostra zmuszona zo-
stała do zmiany szkoły, rodzina
podlega bojkotowi sąsiadów. Jest
jednak pełna optymizmu, wierzy,
że potrafi przekonać rodziców,
zaś zainteresowanie książką,
która wkrótce zaadaptowana zo-
stanie na film, zyska jej nowych
przyjaciół.



PREMIERA W „NOWYM”

Milosne kłopoty

Miłość, jak wiadomo, niejedno ma imię, co wychodzi na korzyść autorom, oprócz bowiem rozdzierających tragedii miłosnych mogą pisać na jej temat rzeczy zgoła frywolne i rozśmieszające. A że czasami mamy nie do śmiechu, tym chętniej korzystamy z okazji, żeby się ubawić w teatrze, a to nie zdarza się zbyt często, jako iż perypetie miłosnych trójkątów i czworokątów powielają zażwyczaj kilka mocno ograniczonych schematów.

Z pewną nieufnością szedłem więc do „Nowego”, na grywalny już w Polsce sztukę amerykańskiego dramatopiszcza, powstałą ćwierć wieku temu: „Sie Kochamy”. Rzecz jednak zaczęła się nie najbanalniej — od samobójczej próby ewidentnego życiowego nieudacznika, od której usiłuje go odwieść napotkany dawny kolega szkolny, tryskający radością i wigorem człowieka sukcesu.

Wprawdzie pierwsze kwestie wypowiediane przez bohaterów nie zapowiadają igrzyski intelektualnej na miarę sztuk Mrożka, powinno nam jednak wystarczyć, że obaj panowie obnażają swoje piramidalne kabotyństwo, licytując się wzajemnie pra-

wdziwami lub wydumanymi udrękami trudnego dzieciństwa.

Wydaje mi się zresztą, iż JACEK PAWLAK jako niefortunny Harry otrzymał wdzięczniejsze, bo bardziej charakterystyczne, zadanie aktorskie — stworzenia postaci, która rozwija cały swój spryt życiowy, żeby przepędzić dzień za dniem bez podejmowania jakichkolwiek wysiłków. Trudniej chyba wykreślić komizm z bardziej tuzinkowej postaci rzekomego self-made mana, Milty, jednak PIOTR KRUKOWSKI, od czasu, kiedy uprawia niemal wyłącznie komedie emploty, osiągnął w tym nieczęstą, a godną uwagi sceniczną sprawność.

W intrydze uknutej przez przyjaciół z podpuszczenia Milty bierze też zrazu nieświadomy i dość bierny udział żona Milty Ellen, której ten chciałby się pozbyć, a przy sposobności wyleczyć Harry'ego z jego depresji. Te osobkie, nieco przemądrzała, a jednocześnie po kobiecemu spragniona miłości, buchalteryjnie skrupulatna w obliczaniu bilansu seksualnych zbliżeń, a przy tym sentymentalna,

z powodzeniem przedstawiła IWONA KATARZYNA PAWLAK.

Intryga namotana została całkiem zgrabnie w akcie pierwszym i można było się obawiać, że w drugim już nieczym oryginalnym autor nas nie zaskoczy, jak tylko powrotem do sytuacji wyjściowej. Owszem, to nastąpiło z powodu kolejnych rozczarowań erotycznych trójcy bohaterów, ale jednak kilka zabawnych, wręcz farsowych sytuacji ratowało przebieg akcji. Powiem tylko, że jak w życiu, gamonia i niedoradę trudno nieraz wyeliminować z gry, gdy nie afizkuje się ze swym sprytem.

Akcja toczyła się na ogół żywo, z wyjątkiem kilku scen aktu drugiego, stanowiących powtórkę sytuacji lub kwestii wcześniejszych, scenografię zaprojektowano najprościej z możliwych, a musicallowe wtręty okazały się sympatyczne, choć chyba nie były konieczne. Sądzę, że przedstawienie powinno cieszyć się powodzeniem, na które zasługują, grywalny bowiem zazwyczaj (wyjąwszy szacownych klasyków) komedie znacznie mniej zabawne.

A o tym, że jamnik nie był tylko chorobliwym przywidzeniem Harry'ego mogliśmy się naocześnie przekonać i miało to swój smaczek.

JERZY KWIECINSKI

Murray Schisgal: „Sie Kochamy” (Luv). Przekład — Adam Tarn, Reżyseria — Jerzy Hutek, scenografia — Marek Braun, muzyka — Janusz M. Grzelazka.



Na zdjęciu: Piotr Krukowski i Jacek Pawlak. Foto: Aleksander Błoński



Foto: Grzegorz Galasiński

Staraniem Ambasady Republiki Indonezji w Polsce, oraz Muzeum Azji i Pacyfiku w Warszawie, wystąpił w Łodzi, pomiędzy Krakowem a Salą Kongresową PKiN indonezyjski zespół pieśni i tańca „Sangrina Bunda”.

Bajecznie kolorowy zespół, perfekcyjnie wykonujący trudne tańce dalekiego Wschodu, oglądała zaskakująco licznie zebrana publiczność, wypełniająca szczerze salę kinowo-widowiskową Łódzkiego Domu Kultury. Okazuje się, że egzotyczny folklor ma wielu zwolenników, a gorące reakcje widzów dowiodły, że nawet zagorzałych entuzjastów „Sangrina Bunda” jest w Polsce pierwszy od 25 lat zespołem z tego dalekiego archipelagu. Możliwość podziwiania wysokiego kunsztu artystów indonezyjskich zawiązań ambasadorki tego kraju, Ambarowu Tamal, który, wraz z małżonką, był obecny na sali, a nawet wygłosił stosowne przemówienie o przyjaźni polsko-indonezyjskiej.

Goście z Indonezji

Zespół, składający się z 20 tancerzy, śpiewaków i muzyków, którym kieruje piosenkarka Elly Kasim, został założony w 1974 roku przez panią Malikową, żonę Adama Malika, byłego ministra spraw zagranicznych Indonezji, a także pierwszego ambasadora tego kraju w Polsce. Występy zespołu oglądali już widzowie wszystkich kontynentów. Tym razem, bezpośrednio przed przyjazdem do Polski występował w Austrii i Czechosłowacji, od nas jedzie do Szwajcarii i Holandii.

Okłaskiwaliśmy tańce z wysp: Bali, zachodniej Sumatry i Jawy, tańce z wachlarzami, talerzami, tańce obrzędowe i charakterystyczne. Słuchaliśmy piosenek w wykonaniu Elly Kasim, jednej z najpopularniejszych piosenkarek w Indonezji. Przeszło dwugodzinny koncert dostarczył wielu rzadkich wrażeń estetycznych, wzbudził podziw, a uroda tancerki nie pozostawiła obojętnym żadnego — jestem pewien — mężczyzny obecnego na widowni, niezależnie od wieku i przynależności partyjnej. Nawet przez chwile rozważałem, czy nie wyemigrować do Indonezji. Poruczyłbym jednak — te myśli na widok efektownej blondynki, mówiącej po polsku. Mimo to, występ zespołu „Sangrina Bunda” długo jeszcze będzie pamiętany. Jestem pewien, że nie jako jedyny.

MAREK KOPROWSKI



„Saksofon śpiewa...”

Rozmowa z DAVIDEM ALANEM PITUCHEM, saksofonistą — wirtuozem, założycielem pierwszej w Polsce klasy saksofonowej w Akademii Muzycznej w Warszawie.

— Przyjechał pan ze Stanów Zjednoczonych do Polski w roku 1978. Co było powodem?

— Przybyłem w ramach programu wymiany Fulbrighta, by w Instytucie Muzykologii UW prowadzić badania dotyczące kultury muzycznej Polski. Z wykształcenia jestem bowiem nie tylko saksofonistą (z dyplomem Baldwin-Wallace College Conservatory) lecz także muzykologiem. Muzykologię ukończyłem na Uniwersytecie Colorado w Boulder.

— Wkrótce po przyjeździe dał się pan poznać jako wirtuoz saksofonu — instrumentu u nas raczej w muzyce artystycznej pomijanego. Dawał pan recitale (pamiętam, że także w Łodzi), dokonywał liczących nagród radiowych, Polskie Nagrania wydały pańską płytę. Od kogo wyszła inicjatywa utworzenia w warszawskiej Akademii Muzycznej klasy saksofonu?

— Namówili mnie do tego, będąc przy okazji, że być może zgodzę się na to w Polsce, ostatecznie, gdyż tu się ożeniłem. Uznano, że w kraju sytuacja dojrzała do specjalistycznego kształcenia saksofonistów w grze solistycznej. Wcześniej solo się walczyło nie występowało, natomiast muzycy angażowani okazjonalnie do orkiestr, np. w wypadku wykonania „Bolera” Ravela, byli najczęściej z wykształcenia klawiszistami. Pomógł tu — rzecz jasna — szczególna dziedzinie, jaką jest jazz.

— Zapotrzebowanie na solistów-saksofonistów w tzw. muzyce klasycznej wynika m.in. z chęci ożywienia „martwych” zasobów repertuarowych. Wspomnę choćby o Koncertach na saksofon i orkiestrę Andrzeja Panufnika...

— Wymieniony przez pana utwór jest pierwszym polskim koncertem saksofonowym: prawykonalne

miało odbyć się w 1939 roku. Tak się akurat składa, że niedawno to właśnie dzieło nagrałem na płytę w Monachium wraz z zespołem Jerzego Maksymiuka. W ostatnich latach w Polsce powstały nowe koncerty. Mnie nawet zadedykowali ostatnio swe kompozycje Maria Ptaszyńska i Edward Sieliński. Oczywiście w literaturze światowej tego typu utworów nagromadziło się bardzo dużo — ponad 200 koncertów i z górą 15 tysięcy innych utworów solowych oraz kameralnych z udziałem saksofonu. Faktycznie, jest więc co grać.

— Pańska specjalistyczna klasa funkcjonuje dziesiąty rok. Ilu wypuściła absolwentów?

— Ponieważ warszawska Akademia Muzyczna przewiduje co roku tylko 1 miejsce dla saksofonisty, dotąd ukończyło studia 7 muzyków. Najprężniej działającym solistą okazuje się, na razie, Krzysztof Herder. Ale są i inni, bardzo utalentowani.

— Niektórych poznaliśmy w Łodzi w trakcie ubiegłorocznej, grudniowej sesji „Musica Moderna”. Wykonano wtedy również kompozycje młodych twórców łódzkich. Proszę powiedzieć, co według pana jest głównym atrybutem muzyki saksofonowej?

— Chyba specyficzny emocjonalizm, związane z instrumentem bogactwo ekspresji. Niektórzy porównują jej ekspresję do możliwości zawartych w głosie ludzkim. Można by więc zaryzykować określenie, że saksofon, niczym głos, — względnie zbliżone do niego charakterem skrzypce — „śpiewa”.

— Co natomiast różni saksofonistę klasycznego od jazzowego?

— Przy wspólnych elementach techniki — głównie sposób kształ-

towania dźwięku, artykulacja, stosunek do rytmu, no i... repertuar.

— Wiem, że poprzedni sezon spędził pan w Ameryce.

— Przez cały rok akademicki przebywałem z żoną w Bostonie. Grałem w tamtejszym filharmoniku i uczyłem w konserwatorium, co stanowiło poniekąd sprawdzian wypracowanej w Polsce metody dydaktycznej. Efekt był pozytywny. Prowadziłem potem kurs mistrzowski w Skandynawii, wielekroć też występowałem jako solista. Obecnie przygotowuję się do kolejnych koncertów. Będę miał m.in. tournée po USA, zaś we Francji, na sesji naukowej z okazji 150-lecia wynalezienia saksofonu, występy muzyczne i referat.

— Nie myśli pan o powrocie do Ameryki?

— Przysięgam, że zaczynam o tym myśleć. W Polsce zrealizowałem już to, co zamierzałem (ostatnio przyjechałem do Łodzi z Korektą programu nauczania gry na saksofonie w średnich szkołach muzycznych) i mam przewidziane, że moja praca będzie kontynuowana. Choć ogólnie, pod względem artystycznym, w Europie czuję się lepiej niż w Stanach — tutaj rynek muzyczny nie jest tak komercyjalizowany. Bardzo też jestem związany emocjonalnie z Międzynarodowym Festiwalem Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”. Po wyjeździe byłoby mi tej wspólnie imprezy brak.

— A jakie jest zdanie małżonki?

— Żona interesuje się Ameryką i chciałaby ją bliżej poznać. Rozumiem to.

Rozmawiał: JANUSZ JANYST



Kronika

IZABELA CYWINSKA, nowy minister kultury i sztuki, utrzymuje, że nie będzie żadnej polityki, lecz zdrowy rozsądek. Kultura jest jedna i nie można jej dzielić na zależną i niezależną. Środowiska twórcze będą funkcjonowały według własnego uznania. Kultura odczuwa kryzys najdotkliwiej, jej pracownicy zarabiają 60, a nawet 80 tys. zł. A przecież jest dochodowa: pieniądze z drastycznych podatków od książek dokłada się do hut. Do pierwszych zmian należą: likwidacja imprez propagandowych, wstrzymanie rozdań inwestycji i szukanie nowych źródeł dochodu. Ministerstwo ma przede wszystkim nie przeszkadzać inicjatywom, a wyszukiwać i wspierać te najcenniejsze artystyczne.

W AULI LEOPOLDYŃSKIEJ Uniwersytetu Wrocławskiego odbyła się w ub. piątek inauguracja roku kulturalnego 1989. Inauguracji towarzyszyła dwudniowa sesja naukowa, zorganizowana w zamyśle Książki koło Wabrzecha, której głównym tematem był „Regionalizm Polski”.

NA 21 WRZEŚNIA zwołano kolejne posiedzenie Komisji Kultury Rady Narodowej Miasta Łodzi. Komisja dokona lustracji miejskich i gminnych ośrodków kultury w Strykowie, Zgierz, Ozorkowie i Głownie.

PRZYZNANIEM NAGROD zakończyła się I Okręgowa Wystawa Malarstwa i Grafiki członków ZPAMIG w Galerii Ośrodka Propagandy Sztuki, w parku im. H. Sienkiewicza w Łodzi. W wystawie wzięło udział 38 twórców, którzy zaprezentowali 88 prac. W dniu zamknięcia wystawy jury przyznało nagrody, ufundowane przez Wydział Kultury i Sztuki UM, PP „Sztuka Polska” w Łodzi i Pracownię Sztuk Plastycznych. W dziedzinie malarstwa nagrody otrzymali: Zygmunt Kędzia, za obraz „Schody” i Tadeusz Wolanski za „Obraz olejny bez powodu”. W dziedzinie grafiki i rysunku nagrodę otrzymał Andrzej Nawrot za pracę pt. „Struktura I”. Ponadto przyznano wyróżnienia honorowe: w malarstwie — Janowi Trojanowi za pracę „Bez tytułu”, zaś w dziedzinie grafiki i rysunku — Andrzejowi Nowickiemu za „Autoportret”, Jolancie Pachuckiej-Wagner za zestaw prac oraz Tadeuszowi Wolanskiemu za „Wizerunek rzeczy pełnej”. Gratulujemy.

ŁÓDZKI ODDZIAŁ ZLP — pragnąc uczcić pamięć Marii Rodziewiczówny, a szczególnie jej tragiczne związki z Łodzią, w której przeżywała w okresie okupacji hitlerowskiej w obozie przesiedleńców, przy ul. Łkowej przez ponad rok — podjął inicjatywę budowy pomnika znakomitej pisarki. Powstał Społeczny Komitet Budowy. Zaum jednak komitet będzie posiadał własne konto wszyscy zainteresowani mogą wpłacać datki na ten godny poparcia cel w sekretariacie OL ZLP, al. Mickiewicza 15. Przyjmowany jest także złom metali kolorowych przeznaczonych na pomnik.

ŁÓDZKIE INSTYTUCJE ARTYSTYCZNE — inaugurowały nowy sezon 1989-1990. Sezon operowy w Teatrze Wielkim poprzedził, jak co roku seria ciekawych recitali młodych adeptów sztuki operowej w foyer Teatru (o których pisaaliśmy). Teatr Nowy — który będzie obchodził jubileusz 40-lecia powstania — rozpoczął sezon w Dużej Sali „Dożywociem” Aleksandra Fredry w reżyserii Ludwika Benoit, zaś w Małej — komedią Murraya Schisgala „Sie Kochamy” w reżyserii Jerzego Hutka. Teatr Studyjny zapowiada na wrzesień wznowienie utworu Aleksandra Wajsa pt. „Mój wiek” w reżyserii Marka Mokrowieckiego, Emilia Zegadłowicza „Pokój dziecienny” w reżyserii Pawła Nowickiego i „Rycerzy” Arystofanasa w reżyserii Marka Mokrowieckiego. Inaugurację sezonu w tym teatrze poprzedzi otwarcie nowej, interesującej wystawy w Galerii Teatru Studyjnego — ciekawe grafiki prezentuje tym razem Jan Paszkiewicz. Nowy sezon zainaugurowała także Filharmonia. W sali Liceum Muzycznego nasi filharmonicy, pod batutą Andrzeja Straszynskiego, zaprezentowali atrakcyjny program, na który złożyły się utwory F. Liszta, S. Rachmaninowa i J. Brahmsa. Solistą był Benedetto Lupo z Włoch, laureat Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. van Cliburna.

TRWA MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYKI WSPÓŁCZESNEJ „Warszawska Jesień”. Program festiwalu przewiduje 70 polskich praktykowań i 5 światowych premier. Festiwal rozpoczął „Cosmos I” Stefana Kisielewskiego, w wykonaniu FN pod dyr. Tadeusza Strugala.

W ŁÓDZI zmarł nagłe Zbigniew Rebdza — młody, utalentowany reżyser filmowy, autor „Powrotu Wabiszczura” wg. Andrzeja Makowieckiego. Rozmowę ze Zbigniewem Rebdzą zamieściliśmy niedawno, przy okazji przedpremierowego pokazu „Powrotu Wabiszczura”. Na pytanie, co do dalszych planów, Zbigniew Rebdza odpowiedział: „Planów mam bardzo wiele, ale nie chcę zapowiadać”. A jednak. Jego śmierć to duża strata dla polskiej kultury filmowej.

ZAPROSILI NAS: Wojewódzki Komitet Organizacyjny Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Amatorskich OFTA 89 na Centralne Pokazy Teatrów Dziecięcych Żywego Planu i prezentację przedstawień w salach ŁDK; Ambasada RFN, BWA w Łodzi i Muzeum Narodowe we Wrocławiu na wystawę w salonie Sztuki Współczesnej, w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 88, w którym prezentowane są drzeworyty Bruna Schmalke (RFN) 1888-1963; PP „Sztuka Polska” do salonu Sztuki Współczesnej 31, na wystawę Anny Cichockiej — „Patchwork”, wystawę monotypii Mikołaja Grzałkowskiego i malarstwa Dariusza Mikołajczyka; Muzeum Historii Miasta Łodzi, na wystawę „Andrzej Bartczak. Książki”. Dziękujemy.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

ZA DOLARY... TANIEJ

Pisaliśmy już na tych łamach o tym, że rodzima produkcja filmów telewizyjnych — donosi „Antena” — jest o wiele droższa niż import filmów z zagranicy. Czy znaczy to jednak, że wprowadzane przez telewizję filmy i seriale są tanie? Warto wiedzieć, że każdy z odcinków „Wichrów wojny” (18 odcinków), kosztował naszą telewizję 1150 dolarów za godzinę, „Księżniczka Daisy” (2 odcinki) — 1200 dolarów, seriale francuskie — „Katarzyna” — ok. 1000 dolarów. Zdecydowanie najtańsze są brazylijskie „tasiemce” (np. „Panna dziewczęca” — 800 dolarów za godzinę). O wiele drożej płacimy za filmy kinowe, zwłaszcza te, które nie miały u nas premiery na dużym ekranie — ok. 6 tys. dolarów (po wyświetleniu w kinach — ok. 2,5 tys. dol.).

Przy tej okazji warto odnotować jeszcze jedno zjawisko — koloryzowanie starych filmów, które wzbudziło w naszym środowisku filmowym wiele emocji i oficjalny protest. Stało się to po emisji w naszej telewizji kilku klasycznych filmów, pokazywanych m.in. w ramach cyklu autorskiego z Humphreym Bogartem, właśnie „wzbogaconych” o kolor. Trudno dziś powiedzieć,

jak do tego „wzbogacania” odnosi się telewizja (nb. komisja Kongresu USA obraduje nad tym tematem już dwa lata i nie zdolała jeszcze wypracować jednoznacznej stanowiska), faktem jest, że pomysły koloryzowania wziął się od Teda Turnera z Atlanty, który kupił dla swojej wielkiej stacji, obsługującej ponad 10 tys. systemów telewizji kablowej 3.600 filmów z wielkiej epoki Hollywood i „wzbogacił” o kolor gdyż — ponoć — dzisiaj si widzowie nudzą się przy oglądaniu obrazów czarno-białych. Koloryzowanie jest zabiegiem prostym, dokonywanym przez komputer, zaprogramowany przez specjalistów od kolorów.

TEATR 77 APELUJE

Jedną z bardziej znanych i znaczących scen Łodzi — Teatr 77, wspólnie z Młodzieżową Agencją Wydawniczą, zamierza wydać w przyszłym roku monografię teatru. Ma ona zawierać omówienie historii teatru, obszerny wybór zdjęć, dokumentację wydawniczą, w tym również nie istniejących już dzisiaj Łódzkich Spotkań Teatralnych — najważniejszej przed laty imprezy będącej przeglądem dokonań teatrów studenckich.

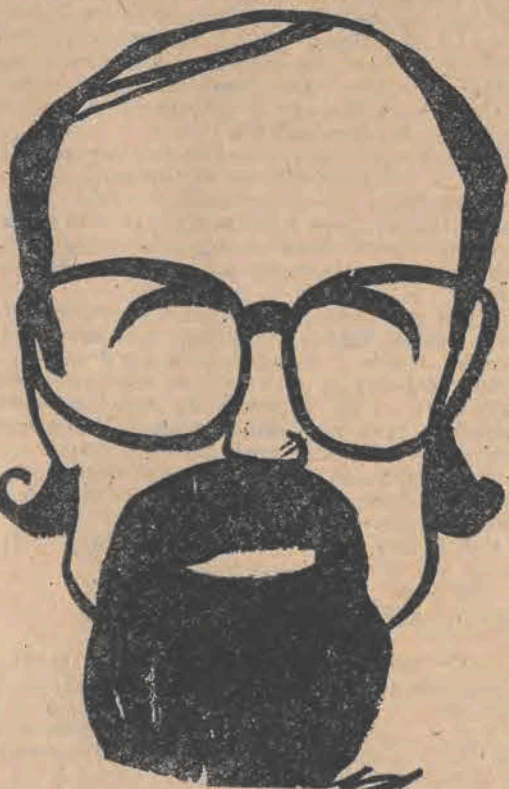
Teatr 77 — pragnąc zwrócić uwagę swoich widzów i potencjalnych czytelników na monografię jednej z najbardziej znanych w Polsce scen, niegdyś studenckiej, dziś profesjonalnej — apeluje do wszystkich zainteresowanych książką osób, organizacji i instytucji — a zwłaszcza do studentów filologii polskiej, kulturoznawstwa i teatrologii do pracowników naukowych, dziennikarzy, redakcji czasopism, bibliotek, klubów studenckich, jak również do władz i członków związków i stowarzyszeń twórczych oraz do wszystkich przyjaciół i sympatyków teatru — o nadsyłanie krótkich zgłoszeń z podaniem ilości zamawianych egzemplarzy. Cena książki ma wynieść w przybliżeniu ok. 1800 — 2200 zł.

Teatr 77 ma zbyt bogatą i znaczącą przeszłość, aby jego dokonania nie zainteresowali się wszyscy ci, którym leży na sercu dobro teatru, a co dopiero tej sceny. Pragniemy się zaliczyć do pierwszych czytelników monografii i liczymy na duży odzew.

Zamówienia można składać telefonicznie bądź osobiście (względnie na kartce pocztowej) w siedzibie teatru: 90-403 Łódź, ul. Zachodnia 56.

Galeria pisarzy

RYSZARD BINKOWSKI



Rys. Sławomir Arabski

Człowiek, który stał się grabarzem kultu Józefa Stalina mówi o tym, jak Stalin dopomógł mu w karierze partyjnej. Zanim bowiem wygłosił swój słynny referat na XX Zjeździe KPZR był przecież jednym z „ludzi Stalina”.

Znany radziecki politolog prof. Fiodor Burtacki, częsty świadek pracy, rozmów i podróży Nikity Chruszczowa, napisał iż Chruszczow doszedł do władzy nieprzypadkowo. Był wyrazi- cielem tego nurtu w partii, który w innych warunkach i oczywiście w inny sposób przed- stawiali tacy pod wieloma względami niepodo- bni do siebie działacze, jak Feliks Dzierżyński, Nikołaj Bucharin, Aleksiej Rykow, Jan Rud- zutak czy Siergiej Kłrow. Mimo stalinowskich represji nurt ten nigdy nie obumarał. Przyjście Nikity Chruszczowa było zatem prawidłowością historyczną.

To nie był falsyfikat.

Jakiś przypadek zadecydował jednak, iż his- toria dokonania wyboru jego własnie osoby? Wszak przedstawiano go przez długi czas jako człowieka całkowicie posłusznego, pozbawione- go szczególnych ambicji, który na daczę Józefa Stalina udawał ukraińskiego przygłupa i w ko- szuli kozackiej tańczył hopaka. Dosłownie na- zajutrz po śmierci Józefa Stalina on jednak jako pierwszy odważył się podnieść rękę na wszechwładnego Ławrientija Beria. Na pamięt- nym posiedzeniu Prezydium KC KPZR, gdy Gleorgij Malenkow nie mógł wydobyc z siebie głosu, to właśnie Chruszczow powiedział:

— Na porządku dnia jedna sprawa. O anty- partyjnej, rozbijającej działalności agenta im- perializmu Beria.

Używając słów tych samych, które Ławrientij Beria kierował przeciwko dawnym współto- warzysiom Lenina, Nikita Chruszczow postawił wniosek o usunięcie „tego gada” z KC i od- danie pod sąd wojenny.

Wówczas poparli go wszyscy członkowie Prezydium. Kiedy jednak zamierzał ogłosić referat o zbrodniach Józefa Stalina na XX Zjeździe KPZR, przeciwni byli Władimir Molotow, Michaił Susłow, a szczególnie Kli- mient Woroszyłowa.

Za czasów Michaila Susłowa i Leonida Breżniewa pojawiły się na Zachodzie „Pamiętniki Nikity Chruszczowa”. W Związku Ra- dzieckim mówiono, że chodzi o falsyfikat, spreparowany przez CIA. Przed rokiem za- grzebski dziennik opublikował wywiad z Sier- giejem Chruszczowem, konstruktorem rakiet, synem Nikity.

— Zaden falsyfikat i żadna CIA. Po swym odejściu ojciec wycofał się na daczę pod Mos- kwą. Był oczywiście przybity, położył się ogródkowi i rodzinie... Przyjaciele namawiali go, aby napisał coś, co by po nim pozostało, by zebrał w całość najważniejsze wspomnienia. Długo ogarniał go wątpliwość, ale w końcu zgodził się. Nie pisał, gdyż nie umożliwiono mu dostępu do dokumentacji, ale wspomnienia dyktował bezpośrednio na magnetofon lub ste- nografem.

Od lipca 1989 r. drukuje je w skróconej wersji tygodnik „Ogoniok”. Poszerzony wariant „Wspomnień” przygotowuje miesięcznik „Zna- mia”. Pełny, szczegółowy tekst nagrań Nikity Chruszczowa, znajdujące się na łamach specja- listycznego pisma „Woprosy Istorii” wraz z ko- mentarzami uczonych, którzy w oparciu o źró- dła poprawia pewne nieścisłości w dyktowanych „z głosu” rozdziałach pamiętnika, dotyczących odległych lat.

Nikita Chruszczow dyktował swój pamiętnik od 1968 roku aż do śmierci w 1971 roku, w wieku 74–77 lat. Zdumiewa jego pamięć naz- wisk, dat i faktów. Wyjątkowo ciekawe są partie, mówiące w jakich okolicznościach zwró- cił na niego uwagę Józef Stalin.

Nikita Chruszczow pochodził ze wsi, z kurskiej guberni.

Ojciec jego był górnikiem i Nikita, w wieku 14 lat, zaczął pracować jako tokarz, kowal i ślusarz w kopalniach i fabrykach Zagłębia Donieckiego. Do partii wstąpił w 1918 roku. Brał udział w wojnie domowej, jak wiele setek tysięcy rówieśników. Potem pracował na Ukrainie nie wyróżniając się niczym szczególnym. Został słuchaczem fakultetu robotniczego w Donieckim Instytucie Przemysłowym następnie od 1929 roku studiował w Akademii Przemysłu w Moskwie.

Jak to się zatem stało, że w trzy lata póź- niej był zapraszany na prywatne obiady do Józefa Stalina, został zastępcą Łazara Kaga- nowicza a wkrótce I sekretarzem moskiewskie- go miejskiego komitetu partii?

Sam Nikita Chruszczow tak to wyjaśnia: — Stalin dowiedział się o mnie kiedy uczy- łem się w Akademii Przemysłu. Dominowali w niej prawnicy. W tym właśnie czasie roz- gramiono prawicowców w Moskwie i Gorkim, wtedy poszli na Akademię Przemysłu. Była to wulgarnia prawniczość.

Sekretarzem organizacji partyjnej w uczelni był Chachariew, członek partii ze stażem przed- rewolucyjnym. Nikita Chruszczow wymienia także innych działaczy, m.in. zaprzyjaźnionych z Władimirem Molotowem. Była wśród nich, wyśmienita pod namiętnym nazwiskiem żona Józefa Stalina, Nadieżda Aliłujewa.

Na XVI Zjazd organizacja partyjna Akademii Przemysłu wysunęła jako delegata Józefa Stalina, aby za jego plecami „przebiegać” prawicowców z Akademii kandydowali także Ni- kołaj Bucharin oraz Aleksiej Rykow. Nikita Chruszczow działał aktywnie w organizacji partyjnej. Jak wielu innych słuchaczy skiero- wano go przed Zjazdem na spotkanie agita- cyjne w teren, do Samary, do kołchozu im. Józefa Stalina, zamieszkałego przez Czuiwów. Kolchoz znajdował się pod patronatem Aka- demii. Wiozł siewniki kombajny i inne prezen- ty. W drodze czytał broszurę, z której dowie- dział się, czym jest kombajn. W kolchozie zastał sytuację ponura.

— Ludzie snuli się jak muchy jesienią. Byli głodni. Coś podobnego widziałem pierwszy raz w życiu.

Kiedy wrócił z Samary zadzwonił do niego Lew Mechlis. Do niedawna pracownik sekre- tariatu Józefa Stalina i jego „chłopiec na po- sylki”. Obecnie redaktor naczelny „Prawdy”. Była późna pora, lecz Lew Mechlis zapytał,

czy Nikita Chruszczow może do niego przyje- chać.

Nikita Chruszczow nie znał Mechlisa, ale od- rzekł: „Może”. Przysłano po niego samochód. W redakcji Lew Mechlis pokazał mu artykuł o sytuacji w Akademii i zapytał czy to praw- da, iż prawnicy pod szyldem Józefa Stalina próbują przeformować na zjazd swych liderów.

Oto podany przez Chruszczowa dialog: — Nie było mnie w tym czasie.

On na to, iż wie, że mnie nie było.

— Ale znać sytuację. Zgadza się z jej oceną? Potwierdzać?

Ja odpowiadam.

— Było dokładnie tak.

— I możecie się pod tym podpisać?

— Przecież nie ja to napisałem.

— Nie wydrukujemy Waszego podpisu. To dla mnie.

Oczywiście, wydrukowano. Lew Mechlis do- skonałe wiedział, że Nikita Chruszczow, młody komunista, ślepo wierzący Józefowi Stalinowi, popiera jego linię. Zresztą nie tylko on. Niki- ta Chruszczow był przedtem delegatem Ukrai- ny na XV Zjeździe partii. Tak mówi o panu- jącej w czasie obrad atmosferze:

W świetle nowych faktów — Kreml i jego kulisy.

Jak Nikita Chruszczow został „człowiekiem Stalina”

RYSZARD BADOWSKI

— Stalin, Bucharin i Rykow opowiedzieli się za linią KC, to jest po stronie Stalina (...). Nie pamiętam skąd przybyła delegacja, która przekazała do Prezydium zjazdu stalową miotłę. Przewodniczył Rykow.

Rykow wziął tę miotłę i, jękając się, powie- dział:

— Przekazuje tę miotłę towarzyszowi Stali- nowi, niech wymiecie naszych wrogów.

Wówczas przyjęto jego słowa zgodnymi o- klaskami, śmiechem, sam Rykow także śmiał się, uśmiechał.

Później, kiedy Rykow stał się ofiarą tej miotły, przypomniałem sobie jego słowa. Wó- wczas, jak widać, Rykow wierzył Stalinowi i uważał, że ta miotła będzie skierowana prze- ciwko partyjnym odszczepieńcom, przeciwno- opozycji, skracającej z generalnej linii.

Polakom czytelnikom należy się w tym miejscu przypomnienie. Aleksiej Rykow, który po śmierci Lenina był przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych ZSRR, w czasie studiów Nikity Chruszczowa w Akademii Przemysłu został wraz z Nikołajem Bucharinem usunięty z Biura Politycznego KC i rządu, w 1929 roku zmuszony do samokrytyki, w 1937 roku usu- nięty z partii, oskarżony o udział w grupie spiskowej, skazany na śmierć i stracony.

Na XVI Zjeździe WKP(b) rozszedł się dro- gi Stalina i jego dotychczasowych sojuszników w walce z Lewem Trockim — Nikołaja Bucharina i Aleksieja Rykova. Na XVII Zjeź- dzie „Bucharin, Rykow, Tomski wstąpił z mo- wami pełnymi skruchy, wychwalał partię, wyznosząc pod niebiosa jej zwycięstwa” („Krótki kurs Historii WKP(b)”). W prologu tych rozow- rek brał udział partyjny pionek — Nikita Chruszczow, którego bezwzględnie wykorzystali cyniczni polityczni karierowicze, Lew Mechlis.

Skąd Józef Stalin wiedział?

Prawicę w Akademii Przemysłowej rozbito. Wkrótce Nikite Chruszczowa wybrano sekreta- rzem organizacji partyjnej uczelni. Było to ciągle jeszcze za mało, aby zwrócić na niego uwagę Józef Stalin. Chociaż Chruszczow mówi:

— Dzięki mojej działalności w Akademii Przemysłowej, przypuszczam, dowiedział się o mnie Stalin, któremu za imponowało, że nasza organizacja partyjna udzieliła mu poparcia.

Wkrótce Józef Stalin przyjął delegację Aka- demii z okazji promocji jej pierwszych absol- wentów w 1930 roku. Nikita Chruszczow był członkiem delegacji.

— Byliśmy wszyscy po stronie Stalina — mówi. — Jego słowa wywarły na mnie pozy- tywne wrażenie. Oto człowiek, który wie o co chodzi i prawidłowo nakierowuje nasz rozum, naszą energię ku rozwiązaniu zadań uprzym- słowienia kraju i stworzenia na tym funda- mencie nienaruszalności granic naszej Ojczy- zny. Na tym opierać się będzie także dobrobyt narodu.

W czasie tego spotkania Józef Stalin nie nawizwał bezpośrednio rozmowy z Chruszczo- wem. Nagle jednak Nikita Chruszczow otrzy- mał od Łazara Kaganowicza, wówczas I se- kretarza komitetu moskiewskiego partii propo- zycję objęcia funkcji II sekretarza. Była to zaskakująca niespodzianka.

— Kiedy już zaczęłam spotykać się ze Sta- linem — wyznaje Nikita Chruszczow — nie mogłem początkowo zrozumieć, skąd Stalin zna fakty z mojej działalności w Akademii Przemysłu. Milczałem, gdyż nie wiedziałem czy mam się cieszyć, czy też najeżać z tego po- wodu.

Wkrótce zrozumiał. Źródłem informacji była żona Józefa Stalina, Nadieżda Aliłujewa, ko- leżanka Nikity Chruszczowa ze studiów.

— Uczestniczyłam czynnie w naszym życiu partyjnym, a po powrocie do domu zapewne mówiła o tym szczegółowo mężowi. Zapewne także o sekretarzu organizacji partyjnej. O tym, że jest żoną Stalina, przez dłuższy czas nie wiedziałem. Zachowywała się bowiem bar- dzo skromnie.

Chruszczow skojarzył: to Józef Stalin pole- cił go Łazarowi Kaganowiczowi.

Obiady u Józefa Stalina

Łazar Kaganowicz, który łączył funkcje I sekretarza moskiewskiej miejskiej organizacji partyjnej z obowiązkami sekretarza KC WKP(b), oddał praktycznie ster kierowania partią w stolicy w ręce Nikity Chruszczowa. W 1935 roku Nikita Chruszczow został oficjal- nie I sekretarzem komitetu moskiewskiego

WKP(b). Poznał wówczas bliżej Nikołaja Bu- ganina, z którym los sprzegł go na wiele lat.

Nikołaj Bułganin był w latach 1931–37 me- rem Moskwy. Potem stał się premierem Ro- syjskiej Federacji, następnie wicepremierem ZSRR. Po śmierci Józefa Stalina popierał Ni- kite Chruszczowa, został premierem Związku Radzieckiego, przez jakiś czas sprawował z Ni- kitą Chruszczowem dwuwładzę. Razem z nim podróżował poza granice kraju. Z tego okresu pochodzi anegdota o przyjęciu u premiera Wielkiej Brytanii, w którym uczestniczyli „prezydent Stanów Zjednoczonych z żoną, pre- zydent Francji z kochanką i Bułganin z Chruszczowem”. W 1958 roku Nikołaj Bułganin zosta- ła usunięty z władz partii i rządu za działal- ność frakcyjną.

Nikita Chruszczow ujawnia w swych wspom- nieniach, że właściwie nigdy nie lubił Nikołaja Bułganina, który początkowo go ignorował i wywyższał się nad niego.

Łazar Kaganowicz powiedział mu kiedyś:

— Przeceniać go, a nie doceniać siebie.

Nikita Chruszczow dodaje do tych słów:

— Kiedyśmy razem pozili, popracowali, spo- strzegłem, że Bułganin jest człowiekiem po-

wierzchnym, lekkoduchem. Nie potrafił za- głębić się w sprawy gospodarcze, a jeśli cho- dzi o politykę, był wręcz apolityczny. Nigdy nie żył burzliwym życiem politycznym.

(Przed miłanowaniem na stanowisko prze- wodniczącego Moskiewskiej Rady Miejskiej Nikołaj Bułganin był dyrektorem Moskiewskich Zakładów Elektrycznych).

Łazar Kaganowicz nazywał Nikołaja Bułga- nina dość pogardliwie: księgowy. Mer Mos- kwy ukończył bowiem szkołę handlową Józef Stalin zaczął zapraszać na obiady Nikołaja Bułganina i Nikite Chruszczowa jako „ojców miasta”. Był to okres wielkiej przebudowy Moskwy. Były to obiady, jak mówi Nikita Chruszczow, „domowe”, „rodzinne”. Wspomina o nich tak:

— Udział w obiadach domowych u Stalina był szczególnie przyjemny, kiedy była Nadie- żda Siergiejewna (chodzi o Aliłujewę, żonę Stalina — R.B.). Podobała mi się ich rodzina. U Stalina spotykałem często starego Aliłuje- wa, jego żonę — również starszkę. Zaprasza- ny był także Redens ze swoją żoną — starszą siostrą Nadieжды Siergiejewny.

Tu znów przynajmniej Szwagrem Józefa Sta- lina był polski komunista, Stanisław Redens, o trzynastu lat młodszy od niego, syn robot- nika z Mińska Mazowieckiego, członek Cen- tralnej Komisji Kontroli WKP(b), uczestnik XV (1927), XVI (1930) i XVII (1934) zjazdów partii. Aresztowany w 1938 roku. Stracony.

Nikita Chruszczow zapamiętał go „w mundurze pułkownika artylerii lub wojsk pancernych”. Stanisław Redens, ciekawia, był jednak komi- sarzem bezpieczeństwa państwowego.

— Były to niewymuszone obiady rodzinne, z żartami i różniami. Stalin w czasie tych obiadów był bardzo ludzki, a mnie to impono- wało. Miałem coraz większy szacunek do Stalina jako do działacza politycznego, równego któremu nie było w jego otoczeniu, i jako do prostego człowieka.

Mylłem się wtedy. Teraz widzę, że nie wszystko rozumiałem. Stalin był rzeczywiście wielki, także teraz to potwierdzam, przewi- szał wszystkich o wiele głębiej. Był jednak jednocześnie artystą i jezuitą. Umiął grać, potrafił przedstawić siebie w określonym świetle.

Uderza szczerość tych wspomnień. W in- nych ich partiach Chruszczow mówi, jak Sta- lin potrafił pozyskiwać sympatie otoczenia. W czasie XIV Konferencji Partyjnej, gdy Nikita Chruszczow zobaczył Józefa Stalina po raz pierwszy (był to w kwietniu 1925 roku) — po- zował do wspólnej pamiątkowej fotografii ge- neralnego sekretarza z delegacją robotników Donbasu. Fotograf dość beceremonialnie us- tawił uczestników zdjęcia. Nagle padła repli- ka Józefa Stalina:

— Towarzysze Pietrow lubi dowodzić, a u nas dowodzić nie wolno, nie wolno dowodzić. Nikita Chruszczow dodaje:

— Ten „incydent” wywarł na nas korzystne wrażenie. Wydało nam się, że Stalin jest prawdziwym demokratą, że ta uwaga nie padła przypadkowo (...). Potem w czasie konferencji wystąpienia Stalina, jego repliki także prze- mawiały na jego korzyść. Ogarniał mnie coraz większy szacunek do jego osoby.

Nikita Chruszczow był wówczas powiatowym działaczem partyjnym z Ukrainy i nie marzyło mu się w najbliższych snach, że znajdzie się w bliskim otoczeniu Józefa Stalina. Jeszcze w latach 1926–27 Józef Stalin „grał w demokra- cję”. Można się było polączyć z nim telefoni- cznie, był dostępny dla działaczy partyjnych niższego szczebla.

Smierć Nadieжды Aliłujewej.

Nikita Chruszczow przedstawia nieco inaczej, niż dotychczasowa literatura na ten temat, okoliczności śmierci Nadieжды Aliłujewej. Jan Babiński, w oparciu o dotychczas znane źródła radzieckie, pisał w „Odgłosach”, iż przyczyną decyzji samobójczej Nadieжды stała się chamska odzywka Józefa Stalina do żony w czasie ban- kietu z okazji XV rocznicy Rewolucji Paź- dziernikowej. Kiedy zwrócił się do niej „Hej, ty!”, zmuszając do picia alkoholu, wyszła wzbu- rzona z sali bankietowej i w nocy popełniła samobójstwo.

Nikita Chruszczow kreśli inną atmosferę tego dnia i nocy. Józef Stalin był na trybunie na Placu Czerwonym, Nadieżda stała obok Nikity Chruszczowa na stopniach Mauzoleum Włodzi- miera Lenina.

Nikita Chruszczow:

— Rozmawialiśmy. Było zimno, a Stalin stał na Mauzoleum w szyneli. Haftki przy kol- nierziku miał rozpięte, poty odchylone. Dmu- chał wiatr.

Spojrzała na to i mówi:

— Mój nie wziął szalik, przezięb się i znów będzie chorował.

Następnego dnia jak piorun z jasnego nieba spadła na Chruszczowa wiadomość, że Nade- żda Aliłujewa nie żyje. „Jak to, przecież wczor- aj z nią rozmawiałem, wyglądała kwitnąco, pie- kna kobieta”. Dopiero w dzień lub dwa dni później dowiedział się od Łazara Kaganowicza na zebraniu aktywu partyjnego Moskwy, iż było to samobójstwo.

Łazar Kaganowicz:

— Przekazuje polecenie Stalina. Stalin kazał powiedzieć, że Aliłujewa nie zmarła, ale się zastrzeliła.

Nikita Chruszczow:

— To wszystko, co miał do powiedzenia. Przyczyn nam, oczywiście, nie poiano. Za- strzeliła się i tyle.

Dalej następuje taki fragment wspomnień:

— Dopiero po śmierci Stalina dowiedziałem się o przyczynie samobójstwa Nadieжды Siergie- jewny. Sł dokumenty. Zapytaliśmy Władisła- wa, szefa ochrony Stalina, jakie przyczyny skła- niły Nadieжду Siergiejewną do samobójstwa?

Powiedział, że po demonstracji jak zawsze, wszyscy poszli na obiad do Woroszyłowa. Miał na Kremlu duże mieszkanie. Byłem tam również kilka razy na obiadach (...). Wtedy demonstracja się przeciągnęła. Zjedli obiad, wypili to, co wypadło i jak wypadło w takich okoliczno- ściach. Nadieżda Siergiejewna z nimi nie było.

Wszyscy się rozeszli. Wyszła także Stalin. Ale nie pojechał do domu. Zrobiło się późno, Nadieżda Siergiejewna zaczęła się niepokoić, nie wiedziała gdzie jest Stalin, szukała no więcej przez telefon. Przede wszystkimi zadzo- niła na daczę. Mieszkali wówczas w Zubatowie (...).

Na dzwonek zgłosił się dyżurny.

Nadieżda Siergiejewna zapytała:

— Gdzie towarzysze Stalin?

— Towarzysze Stalin jest tutaj.

— Kto jest z nim.

Dyżurny odrzekł:

— Żona Gustewa.

Kiedy nad ranem Stalin przyjechał do do- mu, jego żona nie żyła.

Tak więc prawda historyczna wychodzi na jaw z jeszcze większą niż dotąd bezwzględno- ścią. Nie chamsstwo Józefa Stalina na bankie- cie, ale zdrada małżeńska była przyczyną śmierci jego drugiej żony.

Dalej Nikita Chruszczow:

— Gustiew był wojskowym, znajdował się wśród gości Woroszyłowa na obiedzie. Kiedy Stalin opuścił Kreml, zabrał ze sobą żonę Gustewa. Nie widziałem jej nigdy, ale Mikołaj mówił, że była piękną kobietą.

Dacza Anastasja Mikołajowa sasiadowała z daczą Józefa Stalina. Romans Stalina z Gustewa zna- ny był, jak z tego wynika, większej liczbie osób z jego otoczenia.

Władisław uważał, że wszystkiemu winien był prostoduszny dyżurny.

— Kiedy opowiadał nam tę historię, tak to skomentował:

— Diabli nadali. Niedowiadczoney głuniec. Zapytała wprost, a on jej wprost odpowiedział.

Nikita Chruszczow: „Elementy miotki które krążyły po Moskwie, że Józef Stalin czubił się z żoną, że Józef Stalin znalazł żonę martwą nie sam, ale w towarzystwie Klimienta Woroszyłowa. I tu gnębi autora „Wspomnień” roz- terka:

— Jeśli wziął świadka (do sypialni własnej żony — R.B.), to musiał wiedzieć, że nie żyje. To jakaś ciemna sprawa.

I znów Nikita Chruszczow:

— O życiu rodzinnym Stalina wiedziałem niewiele. Mogłem o nim sądzić z uryków zdań podczas obiadów, na które mnie zapra- szano. Niekiedy Stalin, gdy nieco wypił, zwi- ęszał się, że zamyka się w swej sypialni, a żona puka do drzwi i woła:

— Jesteś niemożliwy. Żyć z Tobą niemożli- wie.

Mówił też, że gdy mała Swietłanka się gnie- wa, powtarza słowa matki: „Jesteś niemożli- wym człowiekiem”.

Historyk radziecki Roj Miedwiediew, które- go swego czasu cytowałem „Odgłosy”, pisał, że po śmierci żony Józefowi Stalinowi zdarzały się krótkie i niezbyt częste związki z kobietami. Żadna z nich nie wywarła wpływu na jego postępowanie ani tryb życia. Co ma do powiedzenia na ten temat Chruszczow?

— Po śmierci Nadieжды Siergiejewny przez pewien czas spotykałem u Stalina młodą pię- kną kobietę, o typowo kaukaskiej urodzie. Sta- rała się nie wpaść nam w oczy. Powiedzie- no mi później, że była wychowawczynią Swie- tianki. Wkrótce zniknęła. Z aluzji Beria zrozumi- łem, że była to jego protegowana. Beria umiał dobrać „wychowawczynię”.

„Odgłosy” przedstawiały dwa opisy pogrzebu Nadieжды Aliłujewej.

Jan Babiński: „Józef Stalin w pogrzebie żo- ny nie uczestniczył. Na cmentarzu przy jej grobie nie pokazał się nigdy”.

Roj Miedwiediew: „Opowiadano, że zrozpa- czony Stalin szedł pieszo za trumną aż do Cmentarza Nowodzielewskiego (...). Za trumną szedł wszakże Aweł Jenukidze (jeden ze sta- rych towarzyszy Stalina w okresie pracy pod- ziemnej w Gruzji i zesłania do Kraju Turu- chańskiego na Syberii — R.B.) i ci, którzy widzieli kondukt z boku mogli sądzić, że to Stalin”.

A jak zapamiętał to Chruszczow?

— Stalin odpowiadał ją na cmentarzu. Po jego twarzy było widać, że bardzo przeżywał, optakiwał ją.

Pamięć zawiodła? Może Nikita Chruszczow także widział w konduście Aweł Jenukidze, zaś Józefa Stalina zapamiętał z początku cere- monii, gdy podszedł do otwartej trumny żony, wystawionej w obecnym gmachu Głównego Do- mu Towarowego (GUM) na Placu Czerwonym i pocałował zmarłą, zgodnie z gruzińską tra- dycją, w odsłonięte czoło?

Można się spierać o szczegóły, które prawdo- podobnie rozstrzygną historycy w przypisach do pełnego tekstu „Wspomnień” Nikity Chruszczowa na łamach „Woprosow Istorii”. Tak czy owak, zwierzenia Nikity Chruszczowa czyta się jednym tchem. Odsłaniają bowiem pilnie strze- żone przez dziesięciolecia „kulisy Kremla”.

10 d ukończenia kursu w szkole kierowców samochodowych Franciszka Grętkiewicza (al. Kościuszki 68) obłędnie marzyłem o własnych czterech kółkach. Czy mogłem przypuszczać, że nadejdzie taki moment, gdy wystarczy tylko sięgnąć ręką i wybrać sobie za darmo samochód, jaki mi się żywnie spodoba? I oto los urzeczywistnił moje wieloletnie tęsknoty: na rogu ulic Henryka Sienkiewicza i Bronisława Pierackiego (Roosevelta) czekało na mnie kilkanaście limuzyn, lśniących lakierem, polyskujących chromem. Wybór mój padł na essek standard sedan. Nie musiałem nawet wymówić magicznego zaklęcia „Sedanie, otwórz się!”. Drzwi były uchylone, kluczyki tkwiły w stacyjce.

Owej nocy, z siódmego na ósmego września 1939 r., na wielu ulicach Łodzi stały porzucone samochody. Tylko w jednym nie było kropli benzyny. Te z paliwem w bakach mknęły w stronę granicy rumuńskiej.

Z mieszkania wyciągnęli mnie niezwykle odgłosy. Mimo późnej pory ulica tętniła gwarem. Zbudzony hurgetem i syrenami przejeżdżających pojazdów, zbiegłem na dół. Świecące reflektory podzieliły wozy strażackie i policyjne. Pożar? Ale dlaczego tyle ludzi, potracając się, biegnie chodnikami i jezdnią?

— Panie, co się dzieje?! — dopadłem kogoś.
— Uciekaj pan! Niemcy idą na Łódź! — odkrzyknął w biegu.

To właśnie wtedy na rogu Sienkiewicza i Pierackiego usiłowaliśmy uruchomić któryś z bezpanskich samochodów, a gdy żaden silnik nie zaskoczył, pognałem co tchu do domu.

— Niemcy pod Łodzią! Uciekamy! — zbudziłem żonę.

— W nocy? Dokąd?

— Nie ma ani chwili do stracenia. Lada moment oni wejdą do miasta. Uciekamy do Warszawy. Padnie Łódź, Kutno, padną inne miejscowości, ale stolica?

Gdy żona doprowadzała się do jako takiego stanu, łamałem sobie głowę, jak dostać się do celu zamierzonej eskapady. Pieszo? Brz, sto trzydzieści kilometrów, kompletne ciemności, te tłumy, na zmiłowanie kogoś zmotoryzowanego w tej panice nie ma co liczyć...

Przypomniałem sobie, że wojskowa komenda miasta przeniosła się w al. Kościuszki. To bliźniętko. Może tam się trafi jakaś okazja?

Tak jak staliśmy, wybiegliśmy z domu. Żona w pośpiechu nie zdążyła siatki z włosów. Ja pamiętałem o najważniejszym — o masce przeciwgazowej, zawsze miałem ją pod ręką. Wprawdzie nas jest dwoje, a maska tylko jedna, ale lepsze to niż nic.

Trafiłszy na moment gorączkowej ewakuacji. Sztab przenosił się do stolicy. Samochody jeden za drugim odjeżdżały w kierunku północnym. Podbiegłem do wysokiego, szpakowatego oficera, chyba w randze pułkownika.

— Proszę nas zabrać! Jestem dziennikarzem. Politycznie zaangażowanym... — dodałem konspiracyjnym tonem dla większego efektu.

Officer wskazał na stojący obok autobus.

— Poruczniku Karp, dowiedzie pan tych państwa do Warszawy.

Była głucha noc, chociaż określenie „głucha” nie bardzo pasowało do tej nerwowej krzątalin. Nigdy za dnia nie widziałem takiego ruchu na ulicach. Tłumy przelewały się na jezdni tarasując drogę pojazdom. Ludzie szli obładowani tobołami, walizkami. Ktoś dźwigał na plecach kołyskę. Na Bałutach wszystko co żyje wyległo z domów. Za oknami następnego autobusu przepływała nędza ludzka. Ciężba nawoływała się, popychała i szła, szła, byle dalej, byle jak najdalej.

Wjechaliśmy na szosę brzezińską. Autobus zaległa przegniebiająca cisza. Nikomu nie zbierało się na rozmowę. Każdy zostawił w mieście najbliższych, może jak my — bez pożegnania.

Kierowca zwiększył szybkość. Powoli rozwinęły się języki. Anglia i za nią Francja wypowiedziały wojnę Hitlerowi, pomagają, oswobodzą, to pewnie.

— Obejrzyjcie sobie, państwo, Warszawę i po tygodniu, dwóch wrócić do domu — pocieszała nas wojskowi. — My to co tu mamy, służba nie drużba, ale da Bóg, niebawem spotkamy się w Łodzi...

Za Rawą Mazowiecką odniosłem wrażenie, że znamy się wszyscy od dawna. Obiecywałem sobie wzajemne wizyty, wymieniliśmy adresy domowe. Nagle — nalo!

Niebo upstrzyło się czarnymi punkcikami. Samoloty, wrząc jak wsieckie osy, zataczały półkola nad okolicą. Nie opuszczaliśmy współtowarzyszy podróży ani na chwilę. W kompanii rażniej, a wojskowi mają broń przy sobie. Nalot przedłużał się, Niemieckie maszyny krały coraz niżej, piloci wypatrywali uciekających szosą i prążyli do nich z broni pokładowej.

Tuż przy mnie przycupnął starszy mężczyzna w mundurze kolejarza. Jakis samolot obniżył się na prowokującą wysokość. Kolejarz wymierzył doń z karabinu. Porucznik chwycił go za rękę.

— Oszalał pan? Chce pan zdradzić naszą kryjówkę?

Ruszyliśmy pełnym gazem. W czasie krótkiego popasu ktoś powiedział kierowcy, że jest rozstawione posterunki przepuszczające do Warszawy tylko samochody wiozące wojskowych. Ci popatrzeli na nas współczująco.

Na rogatce podoficer żandarmerii dał znak do zatrzymania się.

— Wojskowi — zaanonsował porucznik.

— A państwo? — podoficer wskazał na mnie i żonę.

— Misja specjalna — odpari konspiracyjnym tonem porucznik. Widać wpadł w moją rolę, tak mistrzowsko odegrał w alei Kościuszki.

Po paru minutach powitała nas Warszawa, miasto w które bezgranicznie wierzyliśmy, w którym mieliśmy znaleźć ocalenie.

Pierwsze kroki skierowaliśmy z żoną na Żurawia 28, do mego brata, Ludwika Starskiego. Nikt nie odpowiadał na nasze dobijanie się, wobec czego udaliśmy się na Wspólną 10, do mieszkania wujostwa żony, Łabuszyńskich. Powitali nas serdecznie i odstąpili oddzielny pokój.

Do Warszawy przybywało coraz więcej łodzian. Odpocząwszy po forsownym marszu (nie każdy miał takie szczęście jak my) utworzyli na gościnnej ziemi łódzką wspólnotę. Spotykaliśmy się w kawiarniach, dopóki można było jeszcze swobodnie poruszać się po mieście.

Potem miejscem spotkań stały się prywatne mieszkania — krewnych i znajomych.

Wielu łodzian opuściło swe miasto w podobnych co my okolicznościach. Jak zawiadomić o sobie zatroškane rodziny? Łódź znajdowała się już w ręku Niemców, poczta ani telefon nie funkcjonowały. W sukurs przyszedł łodzianom Ludwik Szumlewski, mój dawny nauczyciel gimnastyki w gimnazjum Wiśniewskiego, potem kolega po fachu z łódzkiej rozgłośni radiowej. Lutek na falach eteru nadawał z warszawskiej radiostacji komunikaty, przekazując pozdrowienia od łodzian w Warszawie ich krewnym i znajomym w Łodzi.

Gnębiła mnie troska o brata i bratową. Już kilka razy zachodziłem na Żurawia. W mieszkaniu panowała niepokojąca cisza. Dozorca powiedział, że o pana Starskiego dopytuje się też jakiś mały chłopak. Podjąłem decyzję i sforsowałem drzwi. W kacie kanapy kulił się ze strachu liliupici aktor Bołcio Kamiński. To on, czterdziestolatek, był tym „małym chłopcem”, o którym wspominał dozorca. Bołcio, mistrzowsko operując wytrychem, godzinę przedemną dostał się do mieszkania mego brata. Lutek — jak się okazało — wraz z żoną po-

Wrzesień 1939 roku: — Z Łodzi do Warszawy i z powrotem.

Jacyś dwaj cywile...

ADAM OCHOCKI



Piotrkowska z 11 kwietnia 1940 r.

szukał schronienia u krewnych bratowej w Radości. Wiesz według powszechnego mniemania powinna wyjść cało z zawieruchy wojennej.

O Bołciu krążyło mnóstwo anegdot. Lubili on zawsze dobrze sobie popić. Kiedyś w czasie libacji w nocnym lokalu wskoczył na stolik i wyprawiał dzikie brewerie. Właściciel restauracji wezwał policję. Gdy aktora wyprowadzono, któryś z jego przyjaciół podbiegł do posterunkowego.

— Pan wie, kto to jest? To syn generała Wieniawy-Długoszańskiego!

Posterunkowy zaszalował i puścił Bołcia wolno. Innym razem Bołcio po bucznej libacji przysiadł w nocy na ławce w parku. Przechodząca starsza pani, widząc samotnego, skulonego malca, zapytała go czy czegoś nie potrzebuje. Na to Bołcio:

— Mamusia dokąd poszła a mnie się chce siknąć.

— Chodź, chłopcze, ja ci pomogę — usłużna matrona poprowadziła „malca” do krzaków, rozpięła mu rozporek i... wydała okrzyk zrozpy, a Bołcio salwował się ucieczką, gdyż litościwa dusza natarła na uzbrojona w parolę. A gdy podziwiano filigranową figurkę Bołcia, ten mówił:

— Ja to nie, ale żebyście zobaczyli mego brata, przedownika policji. Ten to ma wzrost, jak normalni ludzie!

W opustoszałym mieszkaniu brata znaleźliśmy prawdziwe skarby: weki z kompotami i dżemami, suchary. Część zapasów przeniosłem na Wspólną, resztę zostawiłem Bołciowi, który obiecał opiekować się mieszkaniem brata. Z tym zamiarem — jak mi wyjaśnił — zajął się pod nieobecność Ludwika, swego przyjaciela.

Sytuacja aprowizacyjna w oblężonej Warszawie komplikowała się z dnia na dzień. Pikuś samoloty ostrzeliwały kolejki przed sklepami. Podczas takiego nalotu, gdy stojący przede mną rozpięli się po bramach, wpadłem do sklepu Wedla na Szpitalnej i wykupiłem mnóstwo tabliczek czekolady — jedyną, gorzką-luks, deserową, co popadło. W podobny sposób zdobyłem u „B-ci Pakuśskich” na rogu Brackiej i Chmielnej kilka puszek ogórków. Czekolada i konserwowe ogórki długo stanowiły podstawowe pożywienie naszej gromadki na Wspólnej. I o dziwo! Żona, która zawsze narzekała na niestrawność, wyleczyła się całkowicie!

Radio ogłaszało apele, wzywające ludność, aby ograniczała się do dań „z jednego garnka”. W restauracyjce na Wspólnej podano nam zupełnie solidne porcje mięsa. Jeszcze bardziej zdziwił mnie niski rachunek.

— Z koniną nie mamy kłopotów — wyjaśnił właściciel lokalu.

O ten gatunek mięsa rzeczywiście nie było trudno. Każdy nalot zapewniał świeże dostawy. Natychmiast po odwołaniu alarmu ludzie wbiegali na ulicę z nożami i odbywali rzeźniczekie praktyki.

Często odwiedzaliśmy moją ciotkę Kirsztajnową w Alejach Jerozolimskich. Mieszkanie obzerne, pięć pokoi, ciotka gościnna. Stale przebywała u niej sporo przybyszów. Ale szpiarnia świeciła pustkami. Przygarnięty student z Łodzi opróżnił w nocy domową apteczkę, wydając wszystkie tabletki, jakie wpadły mu do ręki. Głodu nie zaspokoili — i nie rozchorował się.

U Łabuszyńskich słuchaliśmy pilnie stacji radiowych. Gospodarz, znany muzyk, kontrabasista, znał obce języki. W niedzielę 17 września wieczorem zebraliśmy się wszyscy w komplecie: Łabuszyńscy, ich córka Inka, pierwsza żona dyrygenta Bohdana Wodiczko, Wodiczko i my. Moskwa nadawała komunikat o wejściu oddziałów Armii Czerwonej na terytorium Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Nie znałem wtedy rosyjskiego, ale mars na czoło gospodarza zwiastował złą nowinę.

— Zabił nas Rusek z Hitlerem! Dostaliśmy się w dwa ognie! — podzielił się szczegółami komunikatu i poruszony do żywego wyłączył radio.

— Może to tylko czasowo, żeby Hitler nie zagarnął całej Polski? — próbowałem go uspokoić.

— Kiedy ty wreszcie zaczniesz logicznie myśleć? To koniec, czwarty rozbiór Polski!

Nadzieje na oswobodzenie Warszawy topniały, ustępując miejsca zwątpieniu i goryczy. Już nawet ja zdawałem sobie sprawę, że mimo bohaterstwa żołnierzy i ludności cywilnej stolica nie zdoła się obronić, nie doczeka się pomocy aliantów, w których tak wierzyliśmy.

ście i za nic nie chcieli go zmienić, już nie było. Na drzwiach lokalu administracji czieniła się urzędowa pieczęć z „gapa”.

Spotkałem kilku kolegów. Poza nimi przyszli zecerzy. Należały się nam honoraria za wierszówkę sierpieniową, nie wszyscy wykorzystali urlopy. Postanowiliśmy wystąpić do sądu. Było na czym dochodzić pretensji. Wprawdzie maszynę rotacyjną zdemolował pracownik drukarni, Niemiec Kunkiel, ale linotypy stały nieknie. O, święta naiwność!

Dowiedziałem się, że nasz dyrektor Olek Goldberg uciekł samochodem doświadczone w ostatniej chwili. W czasie rewizji znaleziono w jego gabinecie sławną karykaturę Stasia Dobrzyńskiego, który uwiecznił Hitlera i Musoliniego w niedwuznacznej sytuacji. Goldberga w towarzyszyła żona i... jego przyjaciółka Hania K., pracownica naszej administracji. Małżonka dyrektora wdziała o romanse i tolerowała trójkąt. Olek niedługo cieszył się wolnością. Niemcy rozstali z nim listy gończe, dopadli go w jakiejś ustronnej miejscinie i zgładzili.

Pierwsze dni okupacji nie zapowiadały późniejszych okrucieństw. Pobyt w Łodzi po upiornych nalotach i bombardowaniu stolicy wydawał się nam — nawet w tych warunkach — jakimś wytchnieniem. Z nabyciem chleba nie było specjalnych trudności, a że musiałem jak inni oddać aparat radiowy i że w mieszkaniu przebywał współlokator, wprowadzony przez teściów po naszej ucieczce do Warszawy — ostatecznie można się było z tym pogodzić.

Na ul. Henryka Sienkiewicza nie ostaliśmy się długo. Rano złożyli nam wizytę dwaj oficerowie niemieccy. Oburzyli się, zastając mnie w łóżku. Gdy powiedziałem, że jestem chory, cofnęli się przerażeni za próg. Upewniwszy się, że to nie tyfus, obejrzelik dokładnie mieszkanie i kazali je opróżnić z ciągu godziny. Wspaniałomyślnie pozwolili zabrać po walizce z osobistymi rzeczami. Wtedy nie było jeszcze getta. Żydzi jeszcze nie nosili tarcz z gwiazdą Dawida i synagoga w al. Kościuszki stała na swoim miejscu.

Przenieśliśmy się do domu teścia na Żwirki 1c. I tutaj nie zagraliśmy miejsca. Nie wszyscy oficerowie zdążyli zdobyć kwatery. Przeprowadziliśmy się do rodziców żony na Nawrot 4. Złorzeczyłem na te ciągle przeprowadzki, a przecież uratowały mi życie...

Tymczasem niepokojąco szybko topniała gotówka. Znajomy doradził: mydło. W czasie wojny na mydle można zbić kokosy. Zdobylem adres taniego zakupu łoju. Jak przystało na solidnego handlowca, wyruszyłem na miejsce w nowym palcie i deściaku, który miał mi dodać nowagi. Młody człowiek w takim stroju wzbudził podejrzenia patrolującego ulicę, volks-deutsche. Doradził mi, aby iść do sąsiedzi na rogu alei Kościuszki i dzisiejszej Mickiewicza, vis a vis obecnego Domu Literatów.

Moje przybycie wywołało wybuch radości rudego pomywacza samochodów. Ja też go poznałem: pucował naszą redakcyjną „cytrynę”, którą zedzielił redaktor Ołtaszewski.

— Kogo ja widzę? Pan redaktor! Witamy, witamy!

Odcignął na stronę pełniące dyżur oficera, coś mu kłarował, wskazując na mnie. Oficer uśmiechnął się „ja, ja” — powiedział i zszedł mnie na odlew w twarz.

— A teraz — otrząpiał białą rękawiczkę — jazda muś samochodem!

Rudzielec nie ukrywając satysfakcji i nie szczędząc mi sztucznych musztrowań mnie do trzeciej po południu i kazał przyjeżdżać następną.

— Ośma zero, zero — powiedział. — Tu nie redakcja, tu trzeba pracować.

Nie wiem jak długo pełniłbym te funkcje, gdyby nie znamienne wydarzenia Niemcy, obawiając się rozruchów w związku ze świętem 11-go Listopada, dokonali w przeddzień masowych aresztowań wśród przedstawicieli inteligencji, ruchu zawodowego, działaczy społecznych. O nas, dziennikarzy, mieli dokładne informacje od Adolfa Kargela, redaktora naczelnego wychodzącej do wojny szowinistycznej „Freie Presse”, późniejszego szefa oficjalnego organu hitlerowskiego „Litmannstädter Zeitung”. Dostarczył on gestapo kompletną listę członków Syndykatu Dziennikarzy w Łodzi z adresami. Na mój ślad Niemcy też wdarli, choć nie byłem członkiem Syndykatu i na liście nie figurowałem.

W południe dziesiątego listopada do mieszkania moich teściów na Nawrot, gdzie zarzucał kocięc, przybiegli Alfred Joel, wuj mojej żony. Mieszkał na Sienkiewicza 72 w tym samym domu, skąd nas wysiedlono. Jego na razie Niemcy nie nachodzili — zajmował tylko jeden pokój.

— Jacyś cywile dopytywali się o ciebie. Chyba pojechali na Żwirki. Grynfelda pół godziny temu zgarnęli z ulicy, spotkałem jego żonę. Uciekaj, póki czas!

Nie tylko Grynfeld wpadł tego dnia w łapy gestapo. Aresztowano Antoniego Weissa, Szymona Gliucka-Barylskiego, Henryka Passiermana, których — jak się później dowiedziałem — wywieziono do lasów łódzkich i tam rozstrzelano wraz z grupą dziennikarzy z innych redakcji.

Odbylem błyskawiczną naradę z żoną. Nie chciała mi towarzyszyć w niebezpiecznej drodze, nie dopuszczała do siebie myśli o rozstaniu z rodzicami, przy których czuła się bezpieczna. Ale podobnie jak teściowie nie próbowała odwieść mnie od ucieczki. Wrzuciłem do podręcznej walizki co popadło pod rękę i pobiegłem na Dąbrówkę Fabryczną. Strach dodawał mi skrzydeł, mimo to zdobyłem się na krok, o jaki nigdy bym siebie nie podejrzewał. Wstąpiłem do mieszkania Ireny Weiss, mojej konkurentki z „Expressu” i gorąco namawiałem ją, by mi towarzyszyła, bo tutaj czeka ją podobny los o naszych kolegów. Podziękowała, ale odmówiła, nie mogła się zdecydować na opuszczenie matki starszki.

Chyba podkochiwałem się w tej uwodzicielsko pięknej kobiecie, choć przez dziesięć lat w walce o materiał do gazety skłakaliśmy sobie stałe do ozu. Do takiego wniosku doszedłem w pociągu, który uwoził mnie do Warszawy, skąd wraz z falą uchodźców po paru dniach wiał Malkinia. Przekradłem się przez zieloną granicę do zajętego przez Armię Czerwoną Lwowa — a jak potoczyły się moje dalsze losy, w jakich łagrach i więzieniach siedziałem, wernie opisałem w tomiku wspomnień „Raz, dwa, wzięli!”...

Wideonotes



Masz temat dla reportera?
Coś ci drażni, niepokoi,
szlag cię trafia – podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Amerykańska baśń filmowa pt. „Willow” w reżyserii Rona Howarda, reklamowana jest przez dystrybutora polskiego jako dzieło, w którym wykorzystano możliwości techniczne kina nieznane dotąd w historii tej dziedziny sztuki. I jest w tym część prawdy, choć każda reklama, zawierająca elementy przesady. Uważam, że rewelacyjne wręcz osiągnięcia techniki filmowej ujawniono w innej baśni, pt. „Labi-

dzieńka, jako zagrażające w przyszłości jej życiu i koronie. Tak przepowiedziały gwiazdy. Dzieciom owym, wykradzionym sprytnie i ukrytym przed złą królową, zaopiekował się karzeł, tytułowy Willow i chroni je przed pościgiem bezwzględnych siepaczy, wikłając się w dziesiątki niebezpiecznych wydarzeń. Pomaga mu w tym urzeczony śliczna, niewinna buzia dziecka, łotr zamknięty w wiszącej klat-

szamy, smucimy i — wreszcie triumfujemy.

Dzieciarnia śledzi wartką akcję otwartymi szeroko oczami, z rozdziałionymi buzią, reagując żywiołowo — nie inaczej dorośli, którzy szybko dają się wciągnąć w zajmującą akcję i zapominając o powadze przynależnej wiekowi, wracają w zaczarowaną krainę dzieciństwa, gdzie wszystko jest możliwe i proste, w świat baśni, czasy kojarzące się z Kubusem Puchakiem i Myszka Miki. Jest to bowiem film dla dzieci i dla dorosłych.

Piękne zdjęcia Adriana Bridgela, starannie dobrane niezwykłej urody plenery to dodatkowo walor filmu, a efekty techniczne Johna Richarda, rzeczywiste wysokiej próby, wywołują nie kontrolowane okrzyki zaskoczenia i podziwu, zarówno u dzieci, jak i dorosłych. To po prostu trzeba zobaczyć.

Jak na baśń przystało, zło przegrywa smutnie, choć niezwykle widowiskowo i efektownie, a zwycięskie dobro, skromne i wzruszająco nieporadne, nagrodzone zostaje uznaniem i miłością najbliższych, ku widocznej i hulaśliwej satysfakcji małoletniej widowni. Jeśli dodać do tego spore poczucie humoru autorów filmu, ujawniające się zarówno w dowcipnych scenkach, jak i dialogach, możemy być pewni, że film osiągnie sukces kasowy, a będą i tacy widzowie, którzy obejrzą go kilkakrotnie tak, jak mój młodszy kolega, który w dawnych czasach siedemnaście razy poszedł do kina na „Krzyżaków”, a mimo to żyje do dzisiaj i nawet nie narzeka na bóle głowy.

MAREK KOPROWSKI

„Willow”

rynt”, choć nie upieram się, że mam rację.

Producentem „Willowa” jest George Lucas Film, na zlecenie MGM, czyli Metro Goldwyn Meyer, wytwórni z ryczącym lwem w herbie. George Lucas zaczynał jako asystent Francis F. Coppoli, zrealizował później „American Graffiti”, pokazywany w TV, a sukces i pieniądze przyniosły mu „Gwiezdne wojny” (6 Oscarów), jeden z największych przebojów — w tym kasowych — rozrywkowego kina lat 70-tych. Awansuje po tym filmie do grona młodych (rocznik 1944) filmowców — wraz ze Stevenem Spielbergiem i wymienionym F. F. Coppolą — przejmujących władzę w Hollywood. Już w „Gwiezdnych wojnach” zastosował doskonałą technikę zdjęć trickowych i — widać lubi bawić się tym do dziś.

„Willow” spełnia wszystkie warunki baśniowej opowieści. Jest to historia dziecka, które chce zgładzić złą królową-czar-

ce, który wraca na drogę cnoty — bitny, waleczny, rycerski, a uwolniony z zamknięcia przez Willowa; dobra wróżka zakłada złościwie przez królową w ptaka i dwa leśne ludziki wielkości butelki od śmietany.

Znajdujemy się więc w wiosce karłów (grają autentyczne liliputy, zebrane dla potrzeb filmu z całej chyba Ameryki), gdzie rządzi surowy, ale sprawiedliwy długobrody człowiek, jesteśmy w zaczarowanym lesie, którym władają owi mali ludkowie w dość sporej ilości, zdobywamy zamek złej królowej, bierzemy udział w karkołomnych pościgach, ucieczkach, brawurowych walkach, wojnach, drżymy o los dziecka i jego wzruszającego dobrego i prawego opiekuna, bijemy się z dwugłowym potworem ziejącym ogniem, trzesłamy się ze strachu przed dziko-lwami wściekłymi dziwozwierzami, jesteśmy świadkami zmagania się bohatera z niemocą skutecznego czarowania, śmiejemy się, wzru-

„Odgłosy” proponują:

Film:

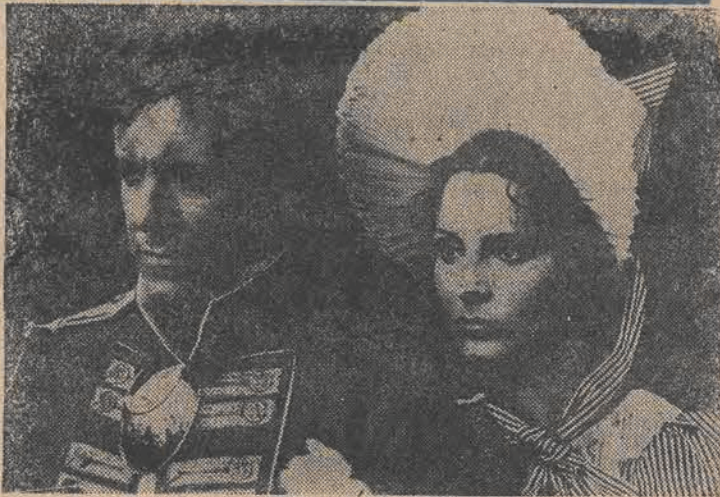
Proponujemy kolejną premierę września — film Jerzego Kawalerowicza, pt. „JENIEC EUROPE”, zrealizowany w koprodukcji polsko-francuskiej, na podstawie powieści, Juliusza Słowackiego. Film obrazuje ostatnie lata życia cesarza Francuzów Napoleona, internowanego i zesłanego na wyspę Świętej Heleny w latach 1815-1821. Kanwą filmu jest sławny konflikt między Napoleonem a gubernatorem wyspy.

W filmie występują: Roland Blanche, Vernon Dobtcheff, Maria Gładkowska i inni.

TV:

„SAMOTNE SERCA” to kolejny obraz z dorobku Paula Coxa prezentowanego przez „Dwójkę” w piątkowe wieczory. Film ten został uznany w Australii za najlepsze dzieło 1982 r. Bohater filmu, Peter Thompson, jest starym kawalerem kończącym pięćdziesiąt lat. Po śmierci matki czuje się osamotniony. Poznaje Patrycję Curnow, trzydziestoletnią pannę — nieśmiałą i mocno zakompleksioną. Peterowi wydaje się, że będzie ona dla niego właściwą partnerką, próbuje więc wyjść jej naprzeciw. To spotkanie i miłość dwójga dojrzałych, lecz niedoświadczonych uczuciowo ludzi wywołuje wiele zabawnych, wzruszających wręcz sytuacji. Jest to film utrzymany w konwencji komedio-dramatu — delikatny i pastelowy psychologicznie. (Piątek, 22 września, godz. 22.20, TV).

Twórca „WIELKIEJ NADZIEI BIAŁYCH” jest znany amerykański reżyser Martin Ritt, zaliczany do grupy twórców szczególnie uczulonych na konflikty społeczne swego kraju. „Problemy mniejszości kolorowej podejmował w takich filmach jak: „Prawda przeciw prawdzie” oraz „Hombre”. Bohaterem prezentowanego filmu jest murzyński bokser Jack Jefferson, którego postać kreuje James Earl Jones, odzwierciedlający jakby postać znanego w latach 1908-1915 pierwszego czarnoskórego mistrza boksu, Jacka Johnsa, będącego wtedy symbolem tysięcy czarnych obywateli Stanów Zjednoczonych. Ich jedynym kapitałem była siła własnych pięści. Sukcesy Jeffersona — a odniósł wiele zwycięstw nad białymi pięściarzami — stanowiły wyzwanie dla rasistowskich środowisk białych bokserów i działaczy. Ich nagonka powoduje ucieczkę bohatera z kraju do Europy, gdzie



wystąpił m. in. w kabaretowej parodii „Chaty wuja Toma”. (Sobota, 23 września, godz. 20.05, TV 1).

Kino sensacji zaprezentuje „OMEN” Richarda Donnera, zrealizowany z lekkim przymrużeniem oka polecany jako świetna zabawa dla miłośników horroru. Bohater filmu, młody Damien, wychowywany w rodzinie amerykańskiego ambasadora w Anglii, posiada nadprzyrodzone, diabelskie siły, które potrafią zniszczyć wszystko, co staje na jego drodze. Treść filmu — jak w horrorze za to znakomita gra aktorów — młodego Harveya Stephensa w roli Damiena, Gregory’ego Peckę jako ambasadora i Lee Remick lego żony. (Sobota, 23 września, godz. 23.10, TV 1).

W piątkowym kłnie przedpołudniowym zobaczymy czechosłowacki dramat obyczajowy pt. „ZAGRAC NA PISZCZALCE” Karel Smečky. Dwa młodzi bohaterowie filmu — Peter Moravec i Pavel Voreš są w wieku w którym rozbudza się zainteresowanie seksem i miłością. Film opowiada o ich pierwszych intymnych przeżyciach, kłopotach i ich następstwach, jakie powodują w szkole i rodzinie. (Piątek, 22 września, godz. 9.25, TV 1).

Młodych widzów zapraszamy do niedzielnego TeleRanka, który rozpoczyna emisję 15-odcinkowego serialu Janusza Łęskiego, pt. „JANKA” zrealizowanego we współpracy z West Deutsche Rundfunk. Akcja filmu rozgrywa się w latach dwudziestych naszego wieku. Właściciele zajazdu w Podkasztorzu żyją w ciągłej waśni z Bromskimi, panami dworku w Stawisku. Ich konflikty mają wpływ na dzieci. Janka z grupą Orłów i Julek z bandą Wilków przeżywają rozliczne przygody, rywalizując ze sobą w różnych zawodach i wyścigach, a wszystko to rozgrywa się w malowniczych okolicach Sulejowa. (Niedziela, 24 września, godz. 10.00, TV 1).

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

21 września — DARIUSZ DOROŻYŃSKI — godzina 10—15.

28 września — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO
Z DN. 14.09.1989 R.

W czasie pierwszego, po dłuższej przerwie dyżuru, spodziewałem się, że — jak kiedyś — linia telefoniczna nagrzeje się do białości od natłoku rozmów. Tymczasem aparat odezwał się ledwie trzy razy — i to nieśmiało, jakoby, lekko. Nie wierzę, by nagle, w cudowny sposób zanikły bóleczki codziennego życia, zginęły problemy małe i duże, a wszystko w miescie zaczęło funkcjonować prawidłowo. Aż takich cudów na świecie nie ma.

Może wystawianie w kolejkach i pogoń za czymkolwiek zabierają tyle czasu, że go nie starczy na sięgnięcie po słuchawkę? Znamy, poza tym, stan łódzkiej telefonii, a jeśli w grę wchodzi automatyzacja, to skąd wziąć monety?

A może ranga historycznych przemian politycznych i ich galopujące tempo, zderzona z banalną codziennością, obnaża jej wstydlivą przyzierność, którą nie warto zwracać głowy ani sobie ani innym? Choć, skądinąd wiadomo, że właśnie niewygodne drobniaki, małe absurdy, potrafią najskuteczniej obryzdzic życie.

Pan Józef Przybysz zameldował, że na rogu al. Unii i Srebrzyńskiej zepsuta jest barierka oddzielająca jezdnię od chodnika.

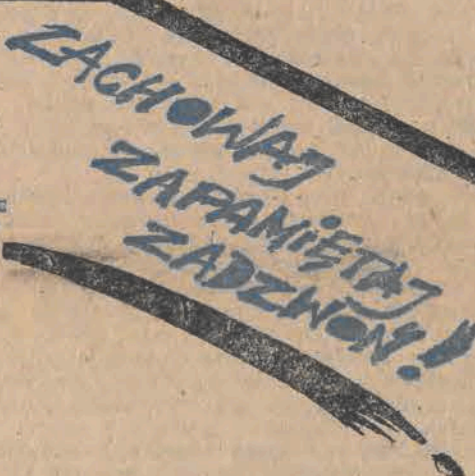
Pani Marzena Gasparowicz z ul. Mysłowskiej (os. Piastów) zgłasza się na brak przystanków autobusowych linii 61, 52, 69 na ul. Tuszyńskiej przy Gagarina. Owszem, były, cztery lata te-

mu, gdy remontowano tor. Teraz trzeba biegać na Rzgowską, Pabianicką przy Bednarskiej, lub na krańcówkę D. Powrót z miasta z bagażem siatek, to nieduża przyjemność, a w okolicy pozbawionej przystanku mieszka wiele osób starszych.

Pani B.M. z Łodzi (perso-nalia do wiadomości redakcji) powiadała: „Targi Intertoy” o 19.00 były już zakończone, wbrew informacjom organizatorów, że zwiędzać je można do 18.00. W halach straszły szkielety zlikwidowanych stoisk, zdemontowano je z pewnością dużo wcześniej. Handlowcom i organizatorom należało się szczere i serdeczne podziękowania od rozczarowanych i zawiedzionych dzieci”. Od siebie możemy dodać gratulacje i słowa podziwu. A w przyszłym roku proponujemy w ogóle nie wpuszczać zwiędających Handlowców po handlu w swym dorosłym gronie i pójść odepieć interesy do knajpy A dzieci? Niech idą do zoo pooglądać małpy.

Sprawa druga: w okolicach ulic: Batorego, Wiejskiej, Nowego Świata, gdzie mieszka dużo starych, samotnych i schorowanych ludzi zlikwidowano w sierpniu dwa sklepy: mięsny i spożywczy. Najbliższy sklep, przy Armii Czerwonej, zlikwidowano jeszcze wcześniej. Do najbliższej placówki handlowej jest bardzo bardzo daleko. Przemysłowe i inteligentne decyzje urzędników „od handlu” powodują puchnięcie starych nóg i zmęczenie i tak spracowanych rąk, dźwigających ciężkie torby z zakupami. Ciekawe, jak daleko chodzi do sklepu urzędnik wydający tak mądre decyzje? I co sądzi o swej rzeczywistości przydatności zawodowej?

MAREK KOPROWSKI



ZAKŁAD BUDOWNICTWA INŻYNIERYJNEGO
„ENERGOPOL” — ŁÓDŹ
z siedzibą w Łodzi, przy ul. Pojezierskiej nr 95

PROWADZI NABÓR PRACOWNIKÓW

do kadry rezerwowej dla budów eksportowych realizowanych na terenie ZSRR na stanowiska robotnicze.

Jeżeli masz 5-letni staż pracy w kraju i przez 1 rok będziesz pracował w naszym zakładzie na stanowisku:

- ◀ MURARZA — TYŃKARZA
- ◀ CIEŚLI
- ◀ ZBROJARZA — BETONARZA
- ◀ MALARZA
- ◀ BLACHARZA — DEKARZA
- ◀ CERAMIKA — POSADZKARZA
- ◀ SPAWACZA — MONTAŻYSTY
- ◀ ROBOTNIKA BUDOWLANEGO

Uzyskasz pełne uprawnienia do wyjazdu na nasze budowy eksportowe, na których za swoją pracę otrzymasz wysokie wynagrodzenie, które przyniesie Ci dużo osobistej satysfakcji oraz zadowolenia Twojej rodziny.

W okresie jednorocznego zatrudnienia na naszych budowlach prowadzonych na terenie m. Łodzi, zakład nasz zapewni również:

- wysokie zarobki wg. zakładowego systemu wynagradzania (ok. 250 tys. zł)
- dobre warunki socjalne
- bezpłatne zakwaterowanie w hotelu pracowniczym
- możliwość zdobycia drugiego zawodu
- inne świadczenia wynikające z „Karty Pracownika Budownictwa”.

Jeżeli się zdecydujesz — zadzwoń do Zespołu ds. Osobowych Zakładu — tel. 51-69-35, a otrzymasz szczegółową informację o warunkach pracy. Względnie przyleć pod wskazany wyżej adres zakładu, gdzie będziesz zawsze mile widziany.

POLEMIKI

LISTY OPINIE

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawione w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

WIĘCEJ TROSKI O SPRAWY LUDZI

Pragnę podzielić się uwagami na temat I Zjazdu Krajowego Stowarzyszenia Polaków Poszkodowanych przez Trzecią Rzeszę. Nie byłam delegatem na ten zjazd, ale po przeczytaniu informacji o zjeździe („Express Ilustrowany” nr 84 z 28, 29 i 30 kwietnia i 1 maja 1989 r.) postanowiłam pojechać do Warszawy, licząc się z możliwością, że nie posiadając mandatu, mogę nie być wpuszczona na salę obrad. Obawy moje były nieuzasadnione. Osoby „kręcące” się przy wejściu zwracały raczej uwagę na to, aby na salę nie wszedł ktoś, kogo organizatorzy zjazdu sobie nie życzyli.

Na wstępie obrad, jeden z uczestników prosił o zezwolenie mu na odczytanie kopii listu skierowanego przez dotychczasowego prezesa Zarządu Głównego płk Szadkowskiego do powołanego do tej funkcji 12 kwietnia 1989 r. prof. dr. hab. J. Ozdowskiego. Głosu nie udzielono.

Członkowie prezydium zjazdu zostali przedstawieni dopiero na wyrażenie żądania większości zebranych. Mówiono o istnieniu Stowarzyszenia od 1984 r. pomijając datę rejestracji tj. 23 października 1987 r. (data wg. „Rzeczpospolitej” nr 297 z 19-20.12.1987 r.) Dotychczasowa działalność została skwitowana bardzo ogólnie stwierdzeniem, że były trudności i istnieją oddziały wojewódzkie, z których to oddziałów delegaci są na zjeździe. Nie było mowy o absolutorium dla dotychczasowego Tymczasowego Zarządu Głównego, gdyż nie było mowy ani o zarządzie ani o działającym przez ponad rok czasu prezie.

Przedstawiciel Rzeszowa zaproponował podjęcie działań w celu uznania pracy przymusowej za pracę w uciążliwych warunkach. Przerwano mu wystąpienie, powołując na wyzerpnięcie przysługującego mu limitu czasu. Inni dyskutanci mielić się w czasie, lecz nie wnosili do obrad nic istotnego, poza wnioskiem o ocenę opieką osób urodzonych lub wychowanych w obozach pracy.

Wybory Zarządu Głównego, Głównej Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego były jawne. Podano kandydatury uzupełniające listę miejsc we władzach kilkoma kandydaturami z sali. Nie podano charakterystyki kandydatów, jedynie przy niektórych nazwiskach informowano: „wicesmarszałek, sejm”, „posłanka”, „docent Uniwersytetu Warszawskiego”, „generał, zasłużony lotnik, znany ze swych wyczynów w czasie II wojny światowej”, „wiceprzewodniczący OPZZ”, „pracownik PAX”. Wobec zamknięcia list kandydatów przy ich ilości równej ilości miejsc w poszczególnych organach władz Stowarzyszenia, głosowanie było na pełne listy, a nie na poszczególnych kandydatów. Głosowano przez podniesienie ręki, a więc mogli głosować wszyscy zgromadzeni, a nie tylko delegaci wyposażeni w mandaty.

Prezesem Zarządu Głównego został wybrany prof. dr hab. Jerzy Ozdowski. W wystąpieniu określającym program działania Stowarzyszenia, prof. Jerzy Ozdowski powołując się na szereg aktów prawnych podkreślił słusność roszczeń obywateli polskich kiero- wanych pod adresem sukcesora III Rzeszy niemieckiej, tj. RFN. Roszczenia muszą być udokumentowane i w tym celu winno być zorganizowane centrum dokumentacji i odszkodowań. Zjazd zaakceptował powołanie takiego ośrodka.

Zjazd Krajowy organizacji, do której chce należeć kilkadziesiąt tysięcy Polaków trwał 5 godzin, w tym 1-godzinna przerwa na obiad. Wśród zebranych wyczuwało się jakiś podział — część „radośnie aktywnych”, część smutnych, jakby zdziwionych, czy zaskoczonych pośpiechem w przebiegu obrad i wyborów.

Jako obserwator Zjazdu Stowarzyszenia, którego działalność może mieć wydźwięk polityczny, byłam zaskoczona zbyt lakonicznym jego potraktowaniem. Sądzę, że ludziom w przeważającej większości w wieku emerytalnym należałoby poświęcić więcej czasu i uwagi. Nie wszyscy z nich oczekują przecież na ekwiwalent pieniędzy, ponieważ nie zawsze niewola i warunki, w jakich spędzili oni swoją młodość, czy rozłąka z rodziną — mogą być zrekompensowane nawet „złotym” pieniądzem; natomiast z pewnością wszyscy oczekują od władz Stowarzyszenia solidnego zajęcia się ich sprawami i godnego, poważnego ich traktowania. Oczekują szybkiego i dokładnego przekazu informacji o działalności Stowarzyszenia na szczeblu ogólnokrajowym, jak i wojewódzkim.

PRAWO DO GODNEJ ŚMIERCI

Całkowicie popieram pogląd, który wyraził J. S. Knypl w swoim liście zamieszczonym w „Odgłosach” nr 31/89, a dotyczącym artykułu E. Iwanickiego „Jak umierają wybrani przez Boga”. W wielu prowadzonych obecnie dyskusjach przejawia się problem prawa do życia. Słusznie. Każdy człowiek ma takie prawo. Ale czy istnieje obowiązek życia? Dlaczego ratuje się ludzi wbrew ich wyraźnej wyrażonej woli? To wspaniałe, że dzisiejsza medycyna jest w stanie utrzymać przy życiu za pomocą aparatury ludzi, którzy bez niej nie byłoby absolutnie w stanie żyć. Ale czy to w wielu przypadkach nie jest uszcześliwianie na siłę. Co ma na celu przedłużanie życia człowiekowi, który z racji choroby nie chce żyć, bo każdy dzień jest dla niego cierpieniem, nie ma nadziei na powrót do zdrowia? Dlaczego nie pozwala się mu zgodnie z wolą natury umrzeć?

Pozwólę sobie tu przytoczyć historię mojej matki. Mama zachorowała nagle i to bardzo ciężko. Przeszła w ciągu 6 tygodni dwie bardzo ciężkie operacje, po nich było już dla wszystkich jasne, że mamy nie da się uratować. Wtedy ku oburzeniu lekarzy zabralam mamę do domu. Brała tylko środki usmierzające ból. Umarła po miesiącu od drugiej operacji. Na swoim łóżku, nie na szpitalnej przystawce, trzymana do końca za rękę przez najbliższych, a nie wśród zabieganego i obojętnego personelu. Godnie. Jestem świadoma tego, że będąc w szpitalu żyłaby jeszcze miesiąc, a może rok dłużej. Mama bardzo kochała życie, ale wolała wybrać śmierć niż walczyć i cierpieć — nikomu niepotrzebne. Wydaje mi się, że było to najlepsze wyjście. Taka była jej wola, którą uszanowałam. I tak powinno być — wola człowieka, stojącego w obliczu śmierci powinna być święta dla otoczenia, niezależnie od tego, czy zgadza się z naszym poglądem. Mama tu ma wszystkie przypadki — taki, jak mojej mamy; taki, jak bohaterki artykułu E. Iwanickiego; przypadki samobójstw itp. I wola ta powinna kierować również postępowaniem z człowiekiem nieprzytomnym — zupełnie nie rozumiem, dlaczego wtedy niejako traci ważność w obliczu obowiązujących przepisów.

Reasumując — dając ludziom prawo do życia, nie zapominajmy o prawie decydowania o tym życiu, a co za tym idzie — prawie do śmierci.

IRENA SZYNDLER

Do artykułu Eugeniusza Iwanickiego nawiązała też Elżbieta Baranowska z Łodzi. Drukowaliśmy już wyjątki z jej książki „Jehowy w sprawie biblijnej podstawy ich stosunku do problemu krwi, a list Elżbiety Baranowskiej nie nowego już nie wnosi, dlatego rezygnujemy z publikacji. List zgodnie z prośbą autorki odsyłamy pod jej adresem. Dziękujemy.

REDAKTOR DZIURNY

Harcerski wrzesień KTO JESZCZE PAMIĘTA?

W roku 1938 zorganizowane zostało Pogotowie Harcerzek, które miało przygotować swoje członkinie do działalności w służbach sanitarnych, łącznikowych, kurierskich, opieki nad dziećmi i sierotami itp. Podobnie w czerwcu 1939 r. zorganizowane zostało Pogotowie Harcerzy. Harcerki już w 1938 r. przygotowały się do działania w czasie wojny. Latem 1939 r. zorganizowały one na ówczesnej granicy polsko-niemieckiej „Obozy Służb”. Takich obozów było siedemdziesiąt pięć (z czego 13 Chorągwi Łódzkiej harcerzek). Miały one za zadanie podnoszenie morale polskiej ludności pogranicznej i sprzeciwianie się hitlerowskiej propagandzie wojennej.

Wybuch wojny 1 września 1939 r. zastał w szeregach Pogotowia kilka tysięcy harcerzek i harcerzy łódzkich. Rozpoczęli oni działania od kopania rowów przeciwbombowych (w Łodzi w parkach Stanisława Staszica, Józefa Poniatowskiego, 3 Maja, Zródliska, w ogrodach Poznańskiego przy ul. Bednarskiej, Targowej, na Bałutach Rynku itp.). Naliczono takich zbiorowych harcerskich punktów aż 14. Działano w 11 szpitalach i punktach sanitarnych, 24 obiektach wojskowych i komunalnych, a także 7 domach opieki nad osobami cywilnymi.

Według posiadanych przez Komisję Historyczną danych we wrześniowej wojnie 1939 r. poległo 43 harcerzek i harcerzy z Chorągwi Łódzkiej, zaś 14 osób zostało rannych. Jest to najwyższa daniina krwi wśród organizacji młodzieżowych istniejących w r. 1939 w mieście.

W posiadaniu Komisji Historycznej znajduje się praca „Straty harcerstwa łódzkiego w wojnie 1939 r.”. Wynosi ona 33 str. maszynopisu. Harcerze starają się uzupełnić posiadane przez siebie wiadomości. Dlatego też zwracają się oni do wszystkich b. harcerzy — uczestników Pogotowia Harcerzek i Harcerzy, członków regularnych oddziałów wojskowych i tyłowych z armii „Łódź”, „Poznań”, a także „Strzelca”, Przysposobienia Wojskowego (PW) Obrony Narodowej, lekarzy, sanitariuszek i sanitariuszy, członków obsługi szpitali i punktów opatrunkowych, osób zaangażowanych wówczas w pracy szpitali stałych i polowych, punktach opieki nad jeńcami, o przekazywanie względnie wypożyczenie na projektowaną wystawę pamiątek, zdjęć, oznaczeń itp., które mogłyby być wykorzystane i wzbogaciłyby obszerne zbiory harcerskie. Zwracamy się do rodzin poległych i zmarłych po roku 1939, harcerzy i harcerzek, którzy zostali zabici lub ranni w kampanii 1939 r. o podawanie ich nazwisk oraz miejsc, gdzie zostali pochowani, przyczyn ich śmierci lub zranienia. Pragniemy bowiem zaktualizować naszą pracę o wypadkach września 1939 r. Zaczynamy, że chodził nam o teren woj. łódzkiego w granicach administracyjnych z marca 1939 r. Liczymy też na relacje i wspomnienia osób związanych z wypadkami 1939 r., w szczególności informowanie o kontaktach wojska i urzędów państwowych z pełniącymi służbę wartowniczą, łącznikową, sanitarną itp. harcerzami.

Celem uzyskania bliższych informacji prosimy kontaktować się osobiście lub listownie z Izłą Historii Komendy Łódzkiej ZHP ul. Stefanowskiego nr 19 (dawnie Gdańska 165) kod — 90-534 Łódź, w poniedziałek godz. 16.00—18.00.

MIECZYSLAW KOZAK

ZAPOMNIANA MOGIŁA

Czytam oto w łódzkiej prasie, jak to jeden Komitet Honorowy nie sypia po nocach, z powodu opóźnień w budowie pomnika ku czci pomordowanych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, podczas gdy drugi Komitet toczy w tym samym czasie spory o lokalizację Pomnika Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”. W tym samym czasie na Cmentarzu Komunalnym „Dół” — czołowej chociaż nieprawdopodobnie brudnej i zaniedbanej łódzkiej nekropolii — znajduje się zaniedbana i zapomniana zbiorowa mogiła 30 nieznanych ofiar hitlerowskiego terrorku. Jeszcze kilka lat temu I.XI. wystawiano przy niej warty honorowe, dzisiaj mało kto wie o jej istnieniu i poirafii wskazać miejsce: grób znajduje się po lewej stronie głównej alei, idąc od bramy przy ul. Smutnej. Niewielki kawałek ziemi otoczony obmuruwką z prawie niewidoczną tabliczką. Trudno to doprawdy traktować jako grób. Zielsko, resztki starych wypalonych szkieletów, resztki wyschniętych kwiatów z innych grobów. W środku tkwią resztki podartej i wyblakłej papierowej chorągiewki.

W październiku 1987 r. upomniałam się o ten zapomniany grób u I sekretarza KŁ PZPR J. Niewiadomskiego. Otrzymałam zapewnienie, że sprawa została skierowana do Urzędu M. Łodzi i dyrekcji Przedsiębiorstwa Usług Komunalnych oraz, że „podjęto szereg działań w wyniku których będą prowadzone prace renowacyjne i porządkowe”. Było to zapewnienie, jak wiele innych, bez pokrycia. Dzięki interwencji w Łódzkim Ośrodku Telewizyjnym w 1988 r. tuż przed Świętem Zmarłych grób został doprowadzony jako tako do porządku: usunięto śmiecie i chwasty, wygrabiono ziemię. Obecnie wszystko „uróciło do normy” — znowu chwasty, śmiecie, pełne zapomnienie i zaniedbanie.

Kiedy wrzesień skończył się spory i bezsenne noce Komitetów Honorowych, kiedy wszyscy zasłużyli działacze wypną pierś do odznaczeń, kiedy przebrzmiały przemówienia, pieśni, modły i fanfary nikt nie poczuje wyrzutów sumienia, iż tych nieznanych, którzy jedni z pierwszych oddali życie za Polskę „udzięczni rodacy” zasypali śmieciami i przykryli chwastami.

Przejawy bezprzykładnej hipokryzji, obojętności, wandalizmu i braku elementarnego poczucia przyzwoitości zostaną zagłuszone zgłębkiem, jaki towarzyszyć będzie odsłonięciu przejawów patriotyzmu lokalnych działaczy. Mogiła ofiar terrorku hitlerowskiego nie wymaga szczególnych nakładów, a jej stanu nie da się usprawić ani brakiem granitu, ani opóźnieniami „Kom-budu”, ani brakiem środków. Trzeba ją oczyścić z chwastów i śmieci, posadzić jakieś kwiaty, być może skutecznie ogrodzić i oznaczyć na tyle wyraźnie, aby nie myliła się z wysypiskiem śmieci. Tylko tyle i aż tyle — zbyt wiele, dla władz, dla „gospodarzy” miasta Łódź.

Zwracam się tą drogą do redakcji łódzkich dzienników i czasopism, aby zajęły się opisaną sprawą, aby nie pozwoliły, żeby zaginęła mogiła tych, którzy życie oddali za Polskę. Nowe pomniki, huczne obchody nie mogą przysłonić ofiary tych, o których dziś nikt nie chce pamiętać.

DANUTA KULCZYCKA

OD REDAKCJI. Mamy przecież społeczną organizację, która zajmuje się upamiętnianiem miejsc martyrologii narodowej. Co na to ta organizacja? Do niej adresujemy uwagi Danuty Kulczyckiej i od niej oczekujemy nie tyle odpowiedzi na piśmie, co po wiadomieniu, że mogiła została należycie odnowiona.

WSZYSTKIEMU WINNA CZYNNOŚĆ MATERIALNO-TECHNICZNA

W numerze 26 „Odgłosów” z 1988 r. ukazał się artykuł pt. „Nie igrzaj z urzędem” dotyczący mojej sprawy tj. bezprawnego zameldowania w moim domu ob. M.Z., którą w U.M.G. w Tuszynie zameldowano na jej własną prośbę, domeldowując fikcyjnie wraz z dwójkiem dzieci do 4-osobowej rodziny mojego syna (bez wiedzy i zgody zarówno jego jak i mojej). Aby tym sposobem zaakceptować jej zamieszkiwanie w mojej pracowni krawieckiej, którą

w czasie mojej nieobecności udostępnił jej mój syn. Urząd tę poczynania przypieczętował. Wskutek tego tuż przed emeryturą byłam pozbawiona swojego miejsca pracy i możliwości zarobkowania, a ponadto i spokoju we własnym domu. M.Z. wniosła tu rozpręzenie i nieład moralny, wspólnie z moim synem J.T. i jego żoną.

Na moje interwencje w pismach z Urzędu Wojewódzkiego w Piotrkowie Tryb. polecano ażeby M.Z. podała do sądu o naruszenie stanu posiadania, ponieważ za usunięcia jej w drodze administracyjnej nie ma żadnych podstaw prawnych. Takie ustalenia władz wpłynęły w osłupienie w świetle faktu, iż ob. M.Z. dysponowała własnym 3-izbowym lokalem w Tuszynie-Lesie, który został jej przydzielony przez UMG w Tuszynie. Cały czas lokal ten stał próżny i nie zamieszkały. Jak się później okazało ta sama kierowniczka referatu GKM w Tuszynie, która przydzieliła M.Z. na tenże 3-izbowy lokal, przyznała jej ponadto mój lokal, podpisując za mnie zgodę na fikcyjne domeldowanie jej wraz z dziećmi do 4-osobowej rodziny J.T. posiadającej decyzję na jedną izbę mieszkalną.

Dopiero po niezliczonej ilości skarg i odwołań przyznano się do popełnionego błędu i w związku z tym podjęto decyzję o „anulowaniu czynności materialno-technicznej w postaci wpisu o zameldowanie”. Ten dziwoląg słowny sugerował, że cofnięto wpis meldunkowy M.Z., co winno być równoznaczne z usunięciem jej z mojego domu. Ale zaraz w następnym piśmie z UW poinformowano mnie, że owa decyzja jest „wyłącznie decyzją o anulowaniu czynności materialno-technicznej, a nie decyzją o wymeldowaniu M.Z. z mieszkania nr 5”. A więc nie został zlikwidowany wpis meldunkowy M.Z., tylko sama paskudna czynność materialno-techniczna, która ten wpis zrealizowała. Ciekawe w jaki to sposób można anulować czynność?

Przedstawienie petentowi takich karkołomnych sformułowań, stanowiących łamańce językowe świadczy o tym, że uważa się go za przysłowiowego durnia, który nie umie zliczyć do trzech i dlatego można go lekceważyć i ignorować. Świadczy to również, że pracownicy administracji nie posiadają umiejętności logicznego i prawidłowego posługiwania się poprawną polszczyzną, co jest godne pożałowania i kompromitujące. A treść podjętej decyzji w pełnym brzmieniu jest również nielogiczna i absurdalna, cytując: „Podjęto decyzję o anulowaniu czynności materialno-technicznej w postaci wpisu o zameldowanie”.

A więc czynność przybrała postać wpisu o zameldowanie. Ciekawe jak taka czynność o zameldowanie wygląda. Nie dość tego, że wszystkiemu winna była czynność, że ją za to pociągnięto do odpowiedzialności i ukarano anulowaniem, że była to czynność ni fizyczna, ni umysłowa tylko materialno-techniczna, to jeszcze do tego miała kształt wpisu o zameldowanie! Na pewno przed jej anulowaniem i czynność i urzędnicy o to zameldowanie się nie potknęli.

MARIA TOMCZYK

DO SYBIRAKÓW!

Prezes Zarządu Wojewódzkiego Związku Sybiraków — mgr Feliks Milan zwrócił się z prośbą o przekazanie wszystkim zainteresowanym następujących informacji:

1. Dla Sybiraków zamieszkających na Bałutach postanowiono utworzyć Koło przy kościele pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej na osiedlu Teofilów, przy ul. Grabieniec 10.
2. Dla zamieszkających w Śródmieściu Koło powstało przy kościele Sw. Krzyża, przy ul. Henryka Sienkiewicza 38. Tam też wydaje się legitymacje zweryfikowanym Sybirakom i pobiera składki w każdą ostatnią sobotę miesiąca w godzinach od 17.00 do 19.00.
3. W Pabianicach planuje się powołanie Koła 24.09.1989 r. przy kościele Sw. Maksymiliana Kolbego przy ul. Karolewskiej 46.
4. Koło, które powstało przy kościele Sw. Teresy przy ul. S. Kopcińskiego 1/3, a którego prezesem został Stefan Nasterowicz (tel. 36-37-94) skupia rodziny osób, które zginęły w Katyniu oraz rodziny osób, które przebywały w obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku.
5. W związku z zamiarem — zgodnie z wolą Sybiraków — wystąpienia do władz o zezwolenie na postawienie Krzyża lub Tablicy upamiętniającej zbrodnię popełnioną w Katyniu Zarząd Wojewódzki Związek Sybiraków zwraca się do wszystkich o wsparcie finansowe tego przedsięwzięcia.

TAKIE ROZWIĄZANIE NIC NIE DA

Odpowiadając na sugestie Andrzeja G. zamieszczoną w rubryce „Masz temat dla reportera” Odgłosy nr 30 z 23.07. br. wyjaśniamy po zasięgnięciu opinii Wydziału Komunikacji UME, iż samo przeniesienie wiaty tramwajowej nie poprawi bezpieczeństwa pieszych.

Zaistniały wypadek drogowy na skrzyżowaniu ul. Łagiewnickiej i Włocławskiej, o którym wspomina Czytelnik, nastąpił z winy kierującego samochodem. Oznakowanie pionowe i poziome tego skrzyżowania jest zgodne z wymogami „Prawa o ruchu drogowym”.

mgr DANUTA SAŁAMACHA
(Rzecznik prasowy MPK)

WARS WYJAŚNIA

W związku z notatką „Skandal nie dworzec” w nr 30 z 8.07.23 — P.W.S. i R. „WARS” O/Restauracji w Łodzi uprzejmie informujemy, że bufet na dworcu PKP Łódź Chojny był nieczynny od 8.05.23 do 8.06.04 z powodu choroby agenta.

W dniu 8.06.05 dokonano komisyjnego otwarcia punktu i rozpoczęto działalność handlową przez etatowych pracowników naszego Oddziału do chwili przejścia punktu przez nowego agenta. Przejęcie punktu przez nasz Oddział nastąpiło z naszej inicjatywy bez zgody agenta. Powyższe podjętowane było troską o pasażerów. Od zawiadowcy stacji Łódź — Chojny nie otrzymaliśmy żadnych pisemnych powiadomień czy ponagleń.

mgr inż. JANINA ANT CZAK
(Dyrektor)

REDAKCJA — CZYTELNICY

ANTONI SZUSTAKOWSKI, Bełchatów. Mieszka Pan w Bełchatowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, a mieszkanie otrzymał z puli ZPG „Stomil”. Zajmuje 2 pokoje z kuchnią i za jeden pokój płaci czynsz podwyższony o 300 procent. Mieszka z żoną rencistką. Kolega w Tomaszowie Mazowieckim ma takie samo mieszkanie i nie płaci za drugi pokój podwyższonego czynszu. Interesuje Pana to, czy jest to zgodne z prawem. Dlaczego w tym samym województwie, w tym samym kraju różne są przepisy.

Interesuje Pana również opłata za wodę ciepłą i zimną. Za zimną płaci Pan od osoby po 440 zł, a za ciepłą — której zużywa się więcej — 437 zł. Czy jest w tym logika?

Od dłuższego czasu dąży się do tego, aby ceny nie były jednakowe w całym kraju. Muszą być kształtowane przez popyt i podaż. Ludzie się jednak przyzwyczaili i ciągle tęsknią do takich samych cen wszędzie. Jeśli ma funkcjonować rynek, to nie może być jednakowych cen wszędzie. Dotyczy to też spółdzielni mieszkaniowych. One samodzielnie, w zależności od warunków, w jakich działają, ustalają ceny. Taka jest ogólna zasada.

Nie potrafimy natomiast odpowiedzieć na pytanie, dlaczego w Bełchatowie płaci się dodatkowo czynsz za drugi pokój w przypadku dwuosobowej rodziny, a w Tomaszowie Mazowieckim nie. W którymś z przypadków musi być odstępstwo od ogólnie obowiązującej zasady. Proszę zwrócić się do rady prawnej w ZPG „Stomil” — w każdym zakładzie jest rada prawna i powinien on udzielać porad również pracownikom. Rada prawna zapoznawszy się z zasadami, jakimi posługuje się Spółdzielnia Mieszkaniowa w Bełchatowie, odpowie na nurtujące Pana pytanie.

Fabryka Osprzętu Samochodowego

ZMIENIASZ PRACĘ?

Przyjdź do

„P O L M O”

FABRYKA OSPRZĘTU SAMOCHODOWEGO

▲ MOTORYZACJA ▲

— miejscem pracy dla prawdziwego mężczyzny.

„POLMO” — to producent między innymi gaźników i pomp dla przemysłu motoryzacyjnego.

Wolne miejsca pracy we wszystkich zawodach, w zakładach przy

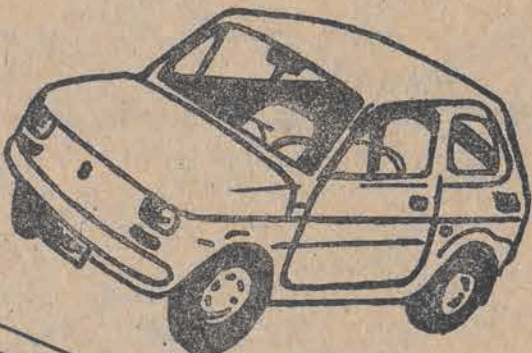
▲ ul. Przybyszewskiego 99 ▲ ul. Kurczaki 130 (Chojny)

Od 1.09.1989 r. nowe najatrakcyjniejsze warunki płacowe. Przyuczamy do zawodu w ramach OHP.

Informacji udziela Dział Osobowy i Szkolenia Zawodowego przy FOS „POLMO”, Łódź, ul. Przybyszewskiego 99, tel. 84-28-71.

Zakład nie przyjmuje pracowników po porzuceniu pracy.

6000/K



ZAKŁADY PRZEMYSŁU DZIEWIARSKIEGO
„DRESSO”

PRODUCENT ATRAKCYJNYCH WYROBÓW DZIEWIARSKICH
W TYM UBIORÓW SPORTOWYCH

uruchamia dalszą produkcję ekskluzywnych wyrobów.

w związku z uruchomieniem nowej produkcji ogłaszamy

N A B Ó R P R A C O W N I K Ó W

w zawodach:

- ▲ UKŁADACZKA
- ▲ SZWACZKA
- ▲ BARWIARZY
- ▲ PRACOWNIKÓW DO PRZYUCZENIA w ww. zawodach

Oferujemy wysokie zarobki oraz bogaty wachlarz świadczeń socjalnych.

Przedsiębiorstwo dysponuje wolnymi miejscami w hotelu pracowniczym.

Zainteresowanych prosimy o osobiste zgłoszenie się do Działu Osobowego w Łodzi, al. Kościuszki 23/25, tel. 32-99-24.

Zakład nie przyjmuje pracowników po porzuceniu pracy.

63

Zabrzańskie Gwarectwo Węglowe

Kopalnia Węgla Kamiennego „MAKOSZOWY”

w Zabrzu ul. MAKOSZOWSKA 24

ZATRUDNI OD ZARAZ DO PRACY POD ZIEMIĄ:

mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat, w zawodach: górnik, ślusarz, elektryk, pracownik niewykwalifikowany pod ziemią oraz pracowników na powierzchni w zawodach: murarz, dekarz, zdun, robotnik budowlany.

PRACOWNIKOM ZAPEWNI SIĘ:

- wynagrodzenie wg układu zbiorowego dla PW w zależności od stopnia kwalifikacji i stażu pracy,
 - wynagrodzenie z Karty Górnika,
 - deputat węglowy w wysokości 8 ton rocznie (dla pracowników żonaty),
 - roczne nagrody z funduszu zakładowego (13 i 14 pensja),
 - z okazji Dnia Górnika przysługuje nagroda w wysokości miesięcznego wynagrodzenia,
 - jednorazową pożyczkę na zagospodarowanie w wysokości 100.000 zł dla pracowników zatrudnionych pod ziemią, którzy zawarli związek małżeński po 01.02.1982 r. umarzoną po 5 latach nienaganną pracę,
 - premie jubileuszowe za 15, 20, 25, 30, 35, 40, 45, 50 lat pracy,
 - zakwaterowanie i wyżywienie w Domach Górnika,
 - dodatek stabilizacyjny przez okres 2 lat w wysokości 2.240 zł miesięcznie i do 5 lat w wysokości 1.120 zł dla osób, które po raz pierwszy podjęły pracę pod ziemią,
 - premie regulaminowe, uznaniowe, produkcyjne oraz specjalne premie dla pracowników nowo przyjętych zatrudnionych pod ziemią w następujących wysokościach:
 - po siedmiu dniach pracy 1000 zł,
 - po miesiącu pracy 2.000 zł,
 - po trzech miesiącach pracy 2.000 zł (jeżeli absencja usprawiedliwiona nie przekracza 5 dni).
- Nie przyjmujemy kandydatów do pracy zwolnionych dyscyplinarnie lub z porzuceniem pracy.

DOKUMENTY WYMAGANE DO PODJĘCIA PRACY:

- dowód osobisty
 - legitymacja ubezpieczeniowa
 - książeczka wojskowa
 - świadectwo pracy
 - świadectwo szkolne
 - dla osób z rolnictwa zaświadczenie z Urzędu Gminy potwierdzające czasokres pracy w gospodarstwie rolnym wraz z adnotacją, że może pracować poza rolnictwem.
- Szczegółowych informacji udziela dział zatrudnienia, po osobistym zgłoszeniu się lub telefonicznie 71-40-41 w. 5655.
- Przy kopalni istnieje Zasadnicza Szkoła Górnicza w Zabrzu, ul. 3 Maja, przyjmująca młodzież do nauki w wieku 15—18 lat.
- Informacji udziela sekretariat szkoły, telefon 71-29-15. 2072/k

„MAKOSZOWY”

OGŁOSZENIA DROBNE

NAUKA-PRACA

MURARZY — zatrudnię. Wapno, cement — kupię. Listopad-wa 52.

49268-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

FUTRA z łamy nowe — sprzedam. 57-23-33.

ORGANY Yamaha PSR-12 nowe — sprzedam. 57-73-50.

RUBIN (Pal-Secam) — sprzedam. 74-04-35.

PIEC gazowy CO — sprzedam 51-64-97.

SPRZEDAM TVC, „Otake” 21. Rabatkowa 85 wieczorem.

„VETAMED” — usługi weterynaryjne — wizyty domowe. 84-20-64.

ZE SLAJDÓW — duplikaty, odbitki na materiałach zachodnich, wykonuje „STUDIUM” Łódź, Wacław 9 (od Tatrzańskie), Ryceł.

WEEKENDY autokarowe Berlin Zach. 40.800,- + 3 DM „SARTOUR” Sienkiewicza 101/109 tel. 36-31-54 (11-17).

WIEDEN 44.800,- + 4 USA „SARTOUR” 36-31-54.

HAMBURG — trzy dni 60.000,- + 50 DM „SARTOUR” 36-31-54.

LOKALE

DO wynajęcia lokal 50 m. 86-09-17.

49833-g

PC HELP

SPRZĘT KOMPUTEROWY typu IBM

- ◀ serwis gwarancyjny i pogwarancyjny,
- ◀ regeneracja taśm barwiących do drukarek,
- ◀ doradztwo i szkolenie,
- ◀ kupno — sprzedaż — komis.

91-420 Łódź, ul. Północna 27/29,
tel. 33-05-65, telex 886854.

3124-k

Niniejszym zawiadamiamy zainteresowanych, że mamy

TELEFON NR 16-42-38.

GOSPODARSTWO
OGRODNICZO-ROLNE-UPRAWA
i HODOWLA STORCZYKÓW
Inż. inż.

BEATA i WOJCIECH DZIOMDZIORA

95-002 Smardzew

wieś Czaplinek 7, gm. Zgierz, st. kol. Glinnik.
6057-g

KOPIARKI UK 500-500 M i POCHODNE

KONSERWACJA, NAPRAWY BIEŻĄCE
i REMONTY.

WYKONUJEMY
ODBITKI KSERO i OFFSETOWE.

Łódź, ul. Piotrkowska 53, tel. 33-57-17 w. 5
50136-g

Jeżeli mieszkasz na Dąbrowie
Zarzewiu czy Olechowie
zgłoś się

w ZPW im. Andrzeja Struga

Łódź ul. Dąbrowskiego 208/214 Dział kadr tel. 43-55-64

POTRZEBUJEMY:

- ▲ TKACZKI
- ▲ SKRĘCACZY
- ▲ MECHANIKÓW
- ▲ HYDRAULIKÓW i innych.

Nowy zakład. Wysokie zarobki.

1

Białe plamy w mojej bibliotece

W radiu — audycja „Solidarność” — usłyszałem, że ukazała się książka Kazimierza Wierzyńskiego — nakładem PAX — pt. „Pobojowisko”, która przez 45 lat nie mogła się w Polsce ukazać. Książkę tę Kazimierz Wierzyński napisał w 1943 roku i ukazała się ona w Nowym Jorku w 1944 roku. Są to relacje uczestników Kampanii wrześniowej 1939 roku spisane przez autora. Relacje pełne emocji, przeżyć, wstrząsów. Kazimierz Wierzyński starał się spisywać je tak, jak je słyszał. Książka interesująca. Dziś już dokument.

Ponieważ wcześniej nabyłem tę książkę, przeczytałem więc ją z tym większym zainteresowaniem. Niby dlaczego przez 45 lat nie mogła ukazać się w Polsce? Przeczytałem i zadumałem się. Wspomina się tam o wrażeniach, jakie na żołnierzy polskich wywarła wiadomość, że 17 września 1939 roku Armia Czerwona wkroczyła do Polski. Ale to fakt. Nikt z tego powodu nie przejawiał radości. To również fakt. Polacy walczyli dalej. Trudno mieć im to za złe.

Kazimierz Wierzyński opisuje ogromne poświęcenie, nadludzki trud obrońców Polski, którzy często bez snu, głodni, zarośnięci, brudni i nie- ludzko zmęczeni znajdowali siły, aby skutecznie odparć wroga, aby go bić bez litości. Czy to było coś złego? Owszem. Był taki w Polsce czas, kiedy wszystko, co było przed- wojenne było złe, godne potępienia, odrzucenia, zapomnie- nia. Poza tym Kazimierz Wierzyński miał pecha i pisał na obczyźnie. A to też był grzech. Były to więc powody pozalite- rackie, pozamerytoryczne, bo z tekstem książki bezpośrednio nie związane. No, ale cieszę się tylko wypadka, że takie myślenie stało się bytym, że ode- szło w zapomnienie. Coraz wię- ciej książek — do tej pory za- kazanych — ukazują się na naszych księgarskich półkach. I tylko można wyrażać żal, że część z nich — mimo wysokiej ceny — jest niedostępna dla zwykłego śmiertelnika. I drugi żal, że ceny są tak wysokie, a nakłady tak niskie.

Oto ukazało się kolejne wy- danie „Powstania warszawskie- go” Jerzego Kirchmayera, któ- re kosztuje... 9 000 złotych. W przeliczeniu na dolary według kursu z 6 września 1989 roku jest to mniej niż jeden dolar, ale mnie na przykład dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Pra- sowego RSW nie płaci w dola- rach. A książki są moim war- stwem pracy.

Mam w tym warsztacie pew- ne luki. Po pierwsze — niektó- rych książek bardzo mi po- trzebnych nie mogłem dostać. Po prostu nigdy nie były na księgarskiej ladzie. A że ostat- nio księgarnie — tak było w sierpniu 1989 roku — są otwar- te w kratkę i to na dodatek nie wiadomo, która otwarta, a która zamknięta, trudno trafić akurat do tej księgarni, w któ- rej rzućliby poszukiwany tytuł.

Po drugie — niektóre moje książki, które bardzo sobie ce- nią straciły aktualność, są nie- pełne, momentami fałszywe. I nie bardzo wiem, co z tym fantem zrobić, choć rysuje mi się pewna propozycja. Ale mo- że najpierw przykład.

Mam przed sobą książkę trzech autorów: Artura Kijasa, Jerzego Morzy i Jerzego Och- mańskiego — pod redakcją o- gołną tego ostatniego. Jest to „Zarys dziejów ZSRR”. Książ- ka bardzo potrzebna. Dodam jeszcze, że wydana w 1984 ro- ku przez Książkę i Wiedzę.

Otwieram tę książkę na roz- dziale: „Walka Związku Ra- dzieckiego o bezpieczeństwo zbiorowe”. Czytam następujące słowa:

„Lata 1939—1940 wykorzysta- no w ZSRR dla wzmocnienia

granic. Z chwilą załamania się Polskiej Armii Czerwona otrzy- mała rozkaz zajęcia opanowa- nych przez II Rzeczpospolitą w latach 1919—1920 zachodnich obszarów Białorusi i Ukrainy”.

Jest to wierne powtórzenie dotychczasowej, stalinowskiej interpretacji realizacji tajnych postanowień Joachima von Ribbentropa i Władysława Mołotowa, dokonanych w obec- ności i przy pełnej aprobacie Józefa Stalina. Dziś to w koń- cu wiadomo i dziś mówi się i pisze o tym oficjalnie. Oba mocarstwa — przeciwne wer- salskiemu porządkowi w Euro- pie — dokonały likwidacji „wersalskiego bękarta” — jak to raczył określić Władysław Mołotow na sesji Rady Naj- wyższej ZSRR, co dziś w ZSRR uznano za określenie o- braźliwe dla Polski. Pisanie zresztą o „załamaniu się Pol- ski” jest — również obraźli- we, gdyż Polska nadal walczyła na wszystkich fron- tach drugiej wojny światowej. W kraju okupowanym stworzy- ła nawet podziemne państwo.

Przytoczyłem jeden przykład. Można ich znaleźć znacznie więcej. Co mam zrobić z książ- kami, których autorzy przyje- li fałszywą interpretację faktów historycznych? Jestem prze- ciwny ich wyrzuceniu na śmieć. Zawierały przecież szereg faktów prawdziwych, rzetelnych informacji, nie bu- dzących wątpliwości interpre- tacji. Są nie tylko historycznym dokumentem pewnej — minio- nej, może ściślej: mijającej — epoki. Jestem w ogóle przeciwny niszczeniu książek. Brzydko mi się to kojarzy.

I mam propozycję. Znane są fakty przemilczane do tej po- ry, znane są fałszywe interpre- tacje, znane przeznaczenia, przerysowania i tak dalej. Po- trzebny byłby taki możliwie szeroki zbiór wyjaśnień doty- czących tych wszystkich spraw, o których wspominałem. Na przykład „Kierunki” opubliko- wały te fragmenty, które cen- zura usunęła ze wspomnień Jerzego Zawiejskiego. Chodzi o coś takiego.

Oczywiście przemysłni wy- dawcy przygotowują teraz peł- ne wydania swoich niedgwie- szonych publikacji, już bez skre- śleń i zafalszowań i zażądają za nie bajajskich sum. A nie o to chodzi. Chodzi o to, aby nauczycielom, wszystkim lu- dziom pracującym z książką, publicystom, twórcom różnych dziedzin, dać możliwie szybko uzupełnienie tego, co w na- szych dziełach szeroko rozu- mianych takiego uzupełnienia wymaga. O! i wszystko! Cho- dzi o odrobinną uczciwość wobec Czytelnika i klienta.

WITOLD BOROWY

2

Spojrzenie znad szachownicy

Unia

personalna

1.

Wszyscy chcą ratować Pol- skę, nawet przybyśże z za- granicy, składając zresztą sym- patyczny. Spodobał mi się zwłaszcza pomysł, żeby nie oddawać żadnych długów, słusznie pisał bowiem kiedyś Antoni Słonimski, że pożyczka się cudze, a oddaje swoje, nadto pożyczka na trochę, zaś oddaje na zawsze.

Byłoby też dobrze, żeby każdemu więcej płacić, a za- razem zdusić inflację, co nieste- ty wydaje się być trudno wy- konalne, przynajmniej jedno- cześnie. Chyba, że... No właśnie! Dysponuję planem, który rozwiązuje wszystkie problemy, satysfakcjonując rodaków i nie- małą całą rozległą ludność z wielką finansjerką włącznie. Jest to, nie chwałąc się, plan genialny, godny emerytowanego szachisty i trochę się nawet dziwię, że nikt wcześniej na to nie wpadł. Zawrę rzecz w kilku słowach: zawrzymy unię personalną z Japonią!

Oczywiście stanęliśmy się wó- wczas cesarstwem, co ucieszy- ło rodzimych monarchistów, ale nie o nich chodzi. Sprawa w tym, że Japończycy mają w

nadmiarze to, czego my nie- mamy i odwrotnie, brakuje im tego, czym możemy dyspono- wać, od surowców poczynając, ale wcale na nich nie kon- cząc. Nie tylko nasze gospo- darki uzupełniają się doskonale, ale to samo można powiedzieć o sferze obyczajowości i na- leży się smucić, że oba bratnie narody jeszcze o tym nie wie- dzą.

2.

Na przykład Japończycy nie- potrafią wypoczywać. Pracują i pracują, na urlop trudno ich wygonić, a w niektórych szko- łach — wstyd głośno powie- dzieć — wprowadzono naukę rekreacji czy coś takiego. I po co tyle ambarasu? My be- dzieśmy, kochani, za was od- poczywać, a w rewanżu poz- wolimy wam za nas popraco- wać, ile tylko dusza zaprą- gnie.

Rzecz jasna to tylko drobny przykład na zachętę, bo co — zapytamy — obchodzi Amery- kanów, kto pracuje, a kto się bzy? Nic, a obiecałbym przecież zadowolić wszystkich i zaraz wywieziemy, że tak się właśnie stanie.

Otóż Amerykanie, żeby już przy nich zostać, boją się zale- wu japońskich towarów, na- rzekają na ujemne saldo han- dlowe z Krajem Kwitnącej Wiśni. Słowem mają swoje pro- blem. Mają? Mieli, bo już wkrótce zaczęła kupować trwa- łą, znakomitą technicznie to- wary „made in Poland”, do których jednakże metki muszą wyprodukować sami Japończy- cy, bo polskie są mało gustow- ne i w ogóle do niczego.

Jednocześnie nasz deficyt handlowy, a japońska nadwyżka trochę się zmniejszy. O długach nie mówię, bo czy Japończycy dłużni są komu- kolwiek jakiegoś pieniądza? Sprawi to — zgodnie z naszą- wcześniejszą zapowiedzią — ogromną radość międzynarodo- wej reszcy bankierów, którzy zniżką dostaną całą forsz- ę wraz z odsetkami i może też- cze po łasce sake jako pre- mie za cierpliwość.

Przewiduję co prawda także drobne niedogodności, trzeba się będzie bowiem przestawić nad Wisłą z dolarów na jeny, ale brat-Polak szwako liczy, zaś ten to mocna waluta, więc się przwinie. A jeżeli ktoś w Tokio zechce tanetować ścianę złotychkami, nie będziemy się sprzeciwiać.

Co by tu jeszcze? Aha, Ja- pończycy milionerzy tak się roz- hisurmanili, że kupują w Szkocji całe zamki, żeby je rozebrać i przynieść do siebie całecka na całecka. Po co kupować w Szkocji, po co na całecka? My też mamy zamki i dwory po części już rozebra- ne, więc będzie wyśmienite. Jak unia, to unia. — hierznie parę zamków, tylko niech do nas przyjadą co młodsze i ład- niejsze gejsze!

3.

Prostota przedłożonego planu wręcz bije w oczy i nawet nie- warto wspominać, że nasze kultury dawno się już zbierały. Japończycy na przykład u- wielbiają Chopina, a my — Kurosawę.

A czy kodeks Bożewicza nie ma przypadkiem żadnych zbliżeń do kodeksu honoro- rowym samurajów? Wystarczy- nad tym troszeczkę popraco- wać i okaże się, że korzenie są wspólne. Skoro korzenie, to i drzewo, skoro drzewo, to i owoce. Ho, ho, ho, już widzę, jak siedzimy na jednej gałęzi i majtamy nogami.

Jak jest po japońsku: — Poproszę uprzejmie o ogień, bo u nas do niedawna nie można było za cholere dostać zapal- nek?

JERZY P.

3

Sprytna bestia

Zmiany, które u nas zacho- dzą, jak to zwykle w takich sytuacjach bywa, nie następni-

ją bez zgrzytów. Duch przesz- łości bowiem krąży ciągle nad nami. Jest to tak przemyślna i szczwana bestia, że pojawia- się w momentach zupełnie nie- przewidzianych i zaskakuje często nawet tych, którzy się od niego z całą mocą odzega- nują.

Mówi się, co prawda, o jak- kichś wyznawcach owego du- cha, spotykających się (nie wia- domo dokładnie gdzie) i czczą- cych tego diablika. Trudno jednak jest ich rozpoznać, boć przecież strojów liturgicznych żadnych nie noszą, a, by było jeszcze trudniej, ukrywają się pod płaszczkiem wojujących demokratów i liberałów Narzy- wa się ich potocznie „betonem”. A do ścigania i demaskowania owego „betonu” nawołują już wszystkie gazety, od „Gazety Wyborczej” począwszy, a na „Trybunie Ludu” skończywszy.

I byłoby w miarę dobrze, gdyby duch przeszłości poja- wiał się tylko wśród swych wyznawców i im starał się po- magać. Ale nie! Ta sprytna poczwara przybiera bowiem wiele postaci i w różnych miej- scach się ukazuje. Oto na przy- kład, sporo osób uważających siebie za demokratów, którzy od zawsze walczyli z komuni- stami (choć wcale nie tak za- wsze to było) staje się teraz wyznawcami hasła, że kto nie jest z nami, ten musi być przeciwko nam. A takie podej- ście do ludzi skądś jakby było już znane. Diabeł zaiste spryt- niej nie potrafi mieć.

Kiedys, gdy duch stał na pie- destale i niezliczone były rze- sze jego wyznawców, posiadał on nawet swoją księgę wiary, którą była: „Historia Wsze- h-związkowej Komunistycznej Partii (Bolszewików) — Krótki Kurs”. Obecnie myślę, że to bardzo zabawna, ale i poucz- ająca lektura. Na przykład taki fragment: „Zapytują czasem, mówili tow. Stalin w swym przemówieniu, czy nie można nieco zwolnić tempa, nieco o- wstrzymać ruchu. Nie, nie można, towarzysze! Nie można zwalniać tempa! Zwolnić tem- po — znaczy to pozostać w tyle. A ci, co pozostają w tyle są biali. Ale my nie chcemy być biali. Nie, nie chcemy!” Albo jeszcze: „Czas stanąć na innym, nowym, odpowiadają- cym obecnemu okresowi stan- wisku: wtrącać się do wszyst- kiego”.

Zostawmy jednak przeszłość i wróćmy do teraźniejszości. W dalekiej tropie owego niebezpiecz- nego ducha. Oto ostatnio prze- czytałem wiersz:

Po entuzjasmie rodem
z krągłej stolika
zostało nas tutaj dwoje,
Panie Przewodniczący,
Ja, inżynier — poniekąd poia-
i dziewczyna inżynier
dźwigamy brzemie zwane
„Solidarność”.
Ten biurowiec zasiedla 200
urzędników,
w terenie tysiąc ludzi
w koszmarnych warunkach.
Nasza praca nie przynosi nam
wzmożonej radości.
Jesteśmy nieco sami,
jednostrońniczo solidarni
z kilkoma twardzielami przy
warunkach potu.
Do naszych twarzy zwrócone
niebotyczne plawy,
plecy negatywniej selekcji, która
tutaj zarządza.
Nie możemy zawiść —
przecież czterem nam ufa
i Tobie, Panie Przewodniczący,
podpisali cyrograf
deklaracji. Reszta czeka na
owoc czynu...
Jeśli Polska jest czerstwą prządk
trudu i zwątpienia,
my wiemy, co to Polska.

Wiersz jest długi, przerywam więc już dalsze cytowanie, my- ślę, że to wystarczy. Bo każ- dy, kto choć trochę zna lite- raturę, wie w jakim okresie tworzyło się podobne rzeczy. A żeby było jeszcze ciekawiej, to powiem, że wiersz został wydrukowany w tygodniku „So- lidarność” w rubryce „Listy do redakcji”. Może ja się nie or- rientowałem, może mamy tu do czynienia po prostu z żartem, ale jeśli tak, to nie najle- gszym. A poza tym bez jedne- go zdania komentarza redak- cyjnego ten utwór na żart jed- nak nie wygląda.

No i co? Jeszcze raz pow- tarzam że duch przeszłości to sprytna bestia!

TOMASZ A.
WŁODKOWSKI

Superagent Tambor

(9)

JERZY JESIONOWSKI

— Zwyradnia się świadomie chłopca i robotnika! — zawołał ktoś z sali. — Proletariusz dekadent, oto produkt i bohater tej zgnilej sztuki. Nie to zaleca Kanon.

— Niektórzy pozwalają sobie nawet twierdzić, że w nowoczesnej cywilizacji klasa robotnicza będzie zanikać — włączył się inny głos z sali. — Takie prorokowanie to wprost groza, dynamit pod fundamenty Kanonu. A cenzura udaje, że nie rozumie.

Dyskusja przeniosła się z kolei na gospodarkę i ekonomikę. Wzbudzony mówca protestował przeciwko lekkomyślnym reformom oraz dopuszczaniu firm zagranicznych i w ogóle prywatnej inicjatywy.

Niepokoili go różnice dochodów, grożące odrodzeniem się warstwy bytowo uprzywilejowanej. Przemawiającemu nie podobaly się także wolne ceny, kształtowane przez rynek, bo gdzie w takim razie regulacyjna rola państwa? Jakiś erudyta z sali zwrócił mu uwagę, że według Kanonu państwo ma obumierać.

W dalszej dyskusji padały coraz to nowe zarzuty i pytania. Dlaczego poniekąd w zakładach pracy masówek i prasówek, tak owocnych w przeszłości? Czy nie za wiecie się ryzykuje, oddając wybór dyrektorów w ręce załóg? Dlaczego rząd pozwala na kpiny z zasłużonych weteranów, których jeden z pismaków nazwał ostatnio „brytanami zmuszającego Kanonu”? To już obraźliwe przezwisko „beton” za łagodne?

Tambor doczekał się także imiennej wzmianki o sobie. Kolejny mówca perorował:

— Zupełnie zaniedbano polityczną czujność. Cudzoziemcy szwendają się po naszym kraju, gdzie i jak chcą. W Polsce może się pojawić incognito nawet przesławny agent Tambor i wykraść nam jakąś bezcenną tajemnicę państwową albo techniczną.

Jola pochyliła się do ucha Tambora i szepnęła:

— Na przykład perpetuum mobile.

— Milcz — nakazał jej półgłosem.

Po wypowiedzi kolejnego mówcy, który piętnował rozbestwienie się Sejmu, pozwalającego sobie na odrzucanie wniosków rządu, przewodniczący ogłosił przerwę obiadową. Należało teraz poszukać Pikiela.

Jola podjęła się tego. Przedtem jednak poradziła Tamborowi, by zmienił na ten dzień swą legendę. Jako reflektant na założenie w Polsce kapitałistycznej firmy nie mógł spodziewać się przychylności stróża Kanonu.

— Zdać sobie z tego sprawę — odrzekł Tambor. — Ty go szukaj, a ja tymczasem coś wymyślę.

Jola znalazła wnet Pikiela. Był to siwy, podeszły w latach astenik o zwidej twarzy. Siedli we trójkę w kącie pustostającej sali. Pikiel był wyczuwalnie zdziwiony zainteresowaniem, okazywanym mu przez parę młodych jeszcze ludzi.

— Jestem wysłannikiem międzynarodowej unii wynalazców — przedstawił się Tambor.

— Zawiadomiono nas, że udało się panu skonstruować perpetuum mobile.

— Skonstruować nie — sprostował Pikiel. — Tylko wymyślić. Na budowę nie mam środków.

— Wszystko jedno. Interesuje nas to. Mogę prosić o szczegóły?

Pikiel pomyślał chwilę, a potem zaczął od genezy swego projektu.

— Kiedy byłem dyrektorem w żegludze, nie dawały mi spokoju wysokie koszty paliwa do napędu statków. Długo się zastanawiałem, jak je zmniejszyć. Ale dopiero na emeryturze obmyśliłem rozwiązanie.

— Jakże?

— Statki pływają po wodzie. Bez wody nie ma żeglugi. Skoro zaś jest ona w zasięgu ręki, dlaczego nie mogłaby służyć jako paliwo? Przecież składa się z wodoru i tlenu, które tworzą razem mieszaninę palną. Ba, nawet wybuchową. Aż się prosi, żeby napędzać statek taką mieszaniną, rozdzielając przedtem wodę na oba jej składniki.

— Znalazł pan łatwy sposób takiego rozdzielania?

— Powiedziałem przecież, że ja tylko obmyśliłem rozwiązanie.

nie. Szczegóły techniczne należało do inżynierów, którzy już nie takim zadaniem sprostali. Skoro zdołali rozszczepić atom, to czyż z wodą sobie nie poradzą?

Rzecz była już dla Tambora jasna; także podróż do Lublina należało uznać za stracony czas.

— To nie jest perpetuum mobile — powiedział do Pikiela.

— A co według pana? — obruszył się uniwersalny działacz. — Taki statek mógłby przecież pływać wiecznie, nie tankując żadnego paliwa z lału. Wodę ma pod sobą.

— To jest niestety mrzonka.

— Już wiele śmiałych pomysłów uważano za mrzonki, a potem rewolucjonizowały one technikę. Maszyny parowe też spożytkowały wodę.

— Ale przede wszystkim węgiel. Życzę powodzenia, mistrzu. Nas to na razie nie interesuje.

W powrotnej drodze do Warszawy opadała Tambora obawa, że po raz pierwszy w życiu może nie wywiązać się z powierzzonego mu zadania. Na liście wynalazców PM pozostało już tylko jedno nazwisko: Roman Widlak z Olsztyna.

Co będzie, jeśli okaże się, że i ten nie wynalazł PM, tylko wymyślił jakąś bzdurę — albo zgola nie? Czy pułkownik Knock uwierzy, że niezawoony wywiód amerykański napuścił go na wodę — i to dosłownie, jak z Pikiela? Może będzie wolał uznać, że to Tambor nie podolał roli? Wtedy koniec chodzenia w głąb superagenta highest quality.

Kiedy Tambor poprosił w Warszawie o klucz do pokoju, recepcjonista wskazał mu siedzącego w hallu mężczyznę w średnim wieku.

— Ten człowiek czeka na pana od przeszło dwóch godzin. Mówi, że kuzyn.

Masz babo placek — pomyślał Tambor. Dobrze nazwisko wybrał mi pułkownik Knock. Nim zdążył zastanowić się, jak spławić rzekomego krewniaka, Jola powiedziała:

— Ja go załatwię. Ty się nie mieszał. Tylko potakuj, kiedy będzie trzeba.

— Okey.

Podeszli do oczekującego. Ten poderwał się z miejsca i zapytał Tambora:

— Pan Stacho Swojak?

— Tak — odpowiedziała Jola. — A pan kto?

Mężczyzna nie zareagował na pytanie Joli, za to natychmiast zaufał Tamborowi i łapiąc go za ramię, przedstawił go jako krewniaka.

— Witaj, kuzynie. Jesteśmy ciotecznymi braćmi.

Jola trzepnęła natrętą po ręce i zażądała stanowczym tonem:

— Poproszę o dowód osobisty.

— A pani kto? — zagrał w tym samym stylu rzekomy kuzyn. — Z milicji?

— Być może.

Tambor postanowił wesprzeć asystentkę.

— Poproszę o dowód osobisty — potwierdził jej żądanie.

Mężczyzna, przygotowany widnieć na taki obrót rozmowy, oznajmił bez zmiśnienia:

— Ja mam inne nazwisko. Powiedziałem przecież: jesteśmy braćmi ciotecznymi.

Jola wróciła do roli, której się podjęła.

— Jeśli inne nazwisko, to wron. Takich kuzynów mamy mrowie. Już paru tu było.

To ostatnie zdanie zdeprymowało kandydata na krewniaka. Odebrał je pewnie jako znak, że się spóźnił. Nie zrezygnował jednak jeszcze.

— Mogę udowodnić, że jestem prawdziwym kuzynem Swojaków.

— Dziękuję, nie jestem ciekawy — odrzekła zdecydowanie Jola. — Chodź, Stachu, nie tracimy czasu.

Podążwszy za Jolą Tambor obejrzał się spod drzwi windy. Mężczyzna nadal stał na miejscu, lecz z miną przegranego. Uznał widać, że z tak zadzierzwiącą kobietą nie poradzi sobie.

— Przytomna jesteś — skomentował Tambor asystentkę.

— Mnie już niekiedy oszukiwano — wyznała szczerze Jola. — Ale ten cwaniaczek zaplanował sobie numer na chłama, bez zniechęcenia. Przed takimi cię uchronię. Uważaj na sprytniejszych.

Tambor nie poczuł potrzeby udawania skromności.

— Nie dam się żadnemu. Najchytřejsi łamali na mnie zęby. Amerykanin nie baran, ostrzyć się nie pozwoli.

XIV.

Rejestratorka z urzędu patentowego pamiętała poprzednią wizytę Tambora i szczerze się zasmuciła, że popełniła wtedy jakiś błąd. Aliści po sprawdzeniu okazało się, że błąd nie ma, co Tambor stwierdził własnymi oczami. Roman Widlak z Olsztyna figurował w rejestrze jako autor zgłoszonego do urzędu perpetuum mobile.

— On zaprzecza temu — oznajmił zdeorientowany na nowo Tambor.

— Chwileczkę, sprawdzę jeszcze co innego — powiedziała rejestratorka i udała się do sąsiedniego pokoju.

Po powrocie stamtąd poinformowała Tambora:

— Dziwna rzecz. On nie czekał na odpowiedź urzędu, tylko sam po kilku dniach wycofał zgłoszenie. Tak jakby zrozumiał, że to pomyśl bez sensu. To się na ogół u tych maniaków nie zdarza.

Tambor wiedział więcej niż rejestratorka, toteż łatwo ułożył te dziwy w logiczną całość. To jest jasne. Wynalazek Widlaka został odkryty przez polskie władze wojskowe i utajniony, co spowodowało pociąganie wycofanie dokumentacji z urzędu patentowego. Teraz Widlak musi twierdzić, że żadnego PM nie wynalazł. Tak jest, wszystko układa się w spójną całość. Zatem do dzieła, nareszcie na właściwym torze.

— Trudno, widać rzeczywiście był to pomyśl bez sensu — powiedział Tambor do rejestratorki. — Przepraszamy panią za niepotrzebną fatygę.

— Miło mi, że mogłam panu usłużyć. Gdyby zdecydował się pan na coś realnego, chętnie wskazywałby wykorzystanie jeszcze wynalazki.

— Dziękuję za gotowość. Gdy wyszli z gmachu, Jola powiedziała do Tambora:

— Konczymy zatem naszą misję niczym. Żadnego PM w Polsce nie ma.

— Wprost przeciwnie. Jesteśmy na drodze do sukcesu.

— Nie rozumiem.

Nie mogąc mówić o tym w samochodzie przy kierowcy, Tambor przedstawił Joli swój domysł od razu, na stojąco. Zrozumiała.

— Ty masz głowę na tranzytorach — stwierdziła z podziwem. — Taka dedukcja.

— Trudniejsze zagadki rozszyfrowywałem.

— To co teraz? Wracamy do Olsztyna?

— Oczywiście. Nie zwlekając. Po drodze obmyślę metodę działania. Widlak będzie się przeciw dalej zapierał, skoro tak mu kazali.

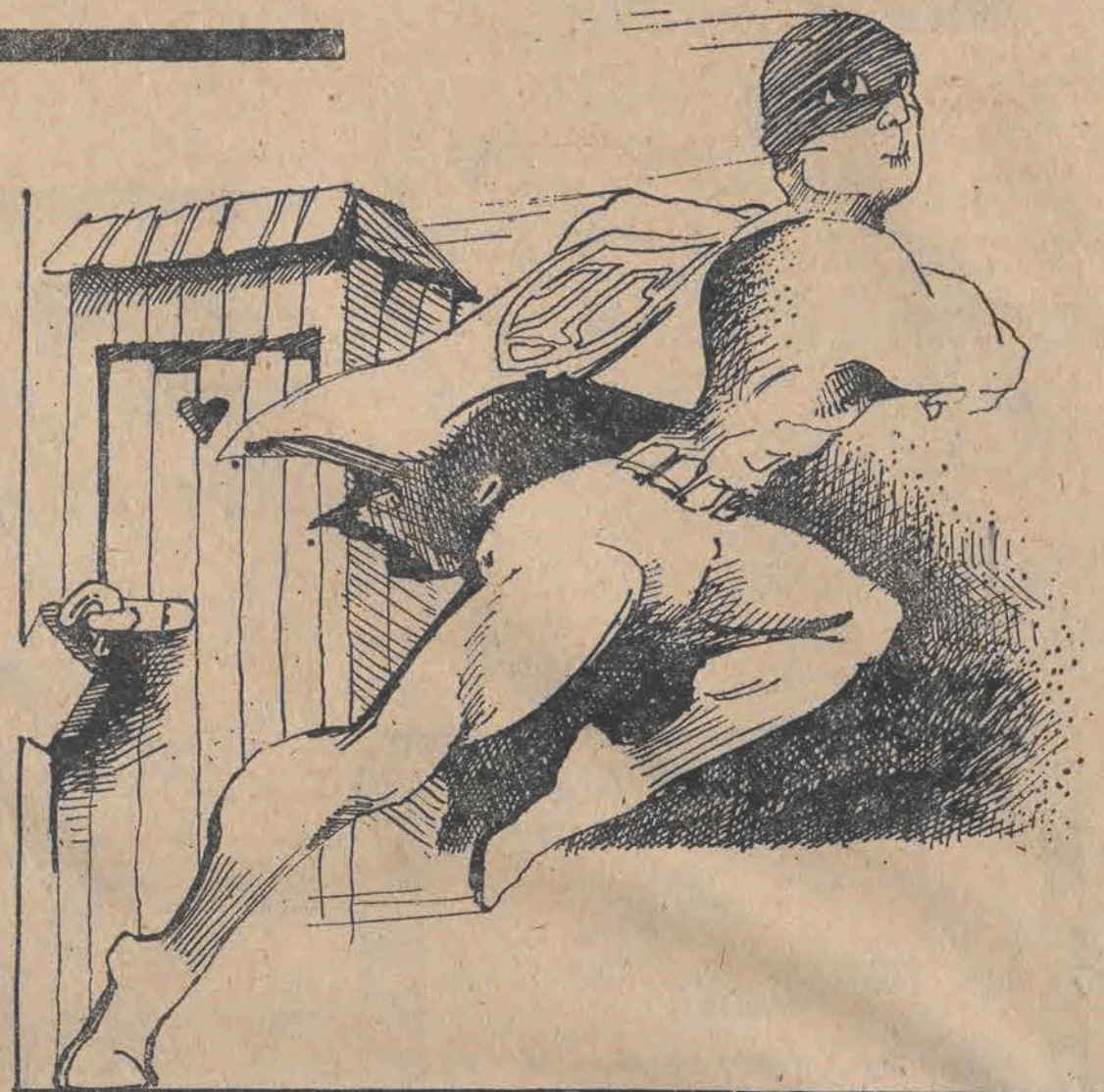
— Pewnie tak.

W drodze do Olsztyna Tambor pracował pełną mocą swej głowy. Miał przed sobą zadanie z wieloma niewiadomymi. Gdzie jest dokumentacja utajnionego wynalazku? Czy w domu Widlaka pozostało coś, pozwalającego projekt odtworzyć? Jak to coś rozpoznać, jeśli Widlak pracował — i może ciągle pracuje — także nad innymi wynalazkami? Czy w ogóle realnie się spenetrowało domu, skoro gospodyni korzysta z urlopu wychowawczego i pewnie rzadko wychodzi? Wreszcie pułkownik Knock żył sobie, żeby — jeśli się da — przeszmuglować do Ameryki również wynalazek, obiecując mu, co zechce. To przemawiało za dogadywaniem się z Widlakiem, a nie zdobywaniem jego wynalazku podstępnie. Trzeba oczywiście grać konsekwentnie nastawionego na własny zysk biznesmena, ukrywać zadanie prawdziwe. Tak, należy podjąć próbę dogadania się. Warto kusić wizją korzyści także żonę, musząc dotąd dopełniać budżet rodzinny korepetycjami.

Wypadło zacząć właśnie od żony, gdyż tylko ją zastali w domu — co było zresztą do przewidzenia. Wiedziała o wcześniejszej rozmowie na emencie.

— Bardzo żałuję, że nie došli państwo do porozumienia z mężem — powiedziała. — To naprawdę zdolny inżynier.

— Jestem o tym przekonany — odrzekł Tambor. — Ale mam ukrywać przed nami ten



Rys. Dariusz Kozłowski

wynalazek, którym się interesujemy.

— On mówi, że perpetuum mobile jest niemożliwe. Mnie też tak uczono w szkole.

— Kiedyś uczono również, że atom jest niepodzielny. A jeszcze wcześniej, że Słońce krąży wokół Ziemi. My wiemy, że mąż wynalazł to perpetuum mobile.

— Skąd wiecie?

— Zgłosił je w urządzie patentowym. Potem zgłoszenie wycofał, ale my byśmy jednak chcieli ten wynalazek, kupić. Taki, jaki jest.

— Nawet jeśli jest pomyłką?

— Nawet wtedy. Ewentualnie popracuję się nad nim dalej. My, biznesmeni, nie boimy się ryzyka. Raz się zarobi, raz straci, taki zawód.

Widlakowa sprawiała wrażenie cokolwiek skolowanej. Tambor wyczuwał jednak, że można liczyć na jej pomoc w pertraktacjach z mężem. Bieda była w tym, że owa pomoc zerdy się z nakazem ludzi, którzy wynalazek utajnił. Dla Widlaka rzecz była delikatna i śliska — nawet przy zagwarantowaniu mu pełnej dyskrekcji.

— Mąż wróci dziś do domu wcześniej — powiedziała Widlakowa. — Proszę przejść i porozmawiać z nim jeszcze raz.

— O której wróci?

— Proszę przejść o szóstej — odrzekła po chwili. — Wtedy zastaniecie go na pewno.

Tambor i Jola pojechali do hotelu, zakwaterowali się i zjedli obiad. Potem Tambor zaprzagnął pospacerować pieszo po nieznanej mu miejscie. Jola nie miała na to ochoty. Stało na tym, że ona została w hotelu, on zaś poszedł powędrować sam.

Ruch w mieście był prowincjonalny; w porównaniu z Warszawą czuło się tu mniej pośpiechu, a więcej spokoju. Ulicami śródmieścia przewijało się trochę letnich turystów. Słychać było również obce języki, najczęściej niemiecki. Na przedmieściu, dokąd Tambor zawędrował, nie było tego. Tam snuli się tylko ludzie miejscowi.

Tambor wypił do obiadu dwa kufle piwa, toteż podczas włóczęgi po mieście poczuł parcie na moc. Nie dostrzegając jednak po drodze tabliczek z kółkiem i trójkątem. Zapytał wreszcie o publiczny ustepek. Wskazano mu kierunek i znalazł upragniony przybytek, ale zamknięty. Powód wyjaśniała kartka: „Poszłam na zebranie”.

Tambor zapytał przechodnia o inny ustepek. Dowiedział się, że w pobliżu żadnego nie ma; dopiero w śródmieściu. Kiedy dotarł coraz szybszym kiem do kolejnego celu, ujrzał na drzewach kartkę: „Przepraszamy. Remanent”.

Do hotelu miał jeszcze daleko; bał się, że nie wytrzyma. Zwrócił się więc o informację do kolejnego tubylca. Ten odrzekł, że w bliskiej okolicy

czynnego WC nie ma. Widać jednak, że Tambor przestępuje już z nogi na nogę, wskazał mu niedaleki urząd, gdzie musiały być ustępy dla personelu.

Dochodziła czwarta. Kiedy Tambor wszedł do urzędu, zatrzymał go portier.

— Pan dokąd? Urzędowanie już się kończy.

— Ja jeszcze swoje załatwię — odpowiedział Tambor i podążył spieszenie w głąb korytarza.

Chociaż do fajerantu brakowało jeszcze paru minut, gotowi do wyjścia urzędnicy — spoglądając niecierpliwie na zegarki — stali już w pozycjach startowych przed pokojami. Drzwi z trójkątem Tambor znalazł dopiero przy końcu korytarza. Były zamknięte.

— Tylko dla personelu — poinformowała go sztykująca się do popołudniowych zadań sprzątaczką.

— Niech pani otworzy — zamiaćcała błagalnie Tambor. — Ja muszę.

— Obcych nie wpuszczam. Każdy musi, a potem zarząca.

— Kto może pani kazać?

— Tylko pani naczelnik. Ale dzisiaj jej nie ma.

Tambor nie miał czasu na dłuższe pertraktacje. Szybko zawrócił i wyszedł na ulicę. Tam skręcił w przejście między domami i na tyle jednego z nich ułożył sobie.

Gdy zapinał rozporek, usłyszał za sobą karzący głos mężczyzny.

— Pan zanieczyścił miejsce publiczne. To jest zakazane.

Tambor odwrócił się. Za nim stał milicjant.

— Nie mogłem już dłużej — wyjaśnił. — Wszystkie ustępy pozamykane.

— Musi pan zapłacić mandat.

— Z przyjemnością, bo już mi lekko.

Uścisłszy należność Tambor wznowił zwiedzanie miasta. Do hotelu wrócił kwadrans po piętej. Odświeżył się i powtórnie pojechał z Jolą do willi Widlaka pod lasem.

Pan Roman był już w domu. Powitał gości uprzejmie, lecz zaraz potem oświadczył:

— O perpetuum mobile proszę w ogóle ze mną nie mówić. Nic takiego nie wynalazłem, to brednia.

— Zgłosił je pan przecież w urządzie patentowym — podjął naleganie Tambor.

— Nie zgłosiłem. Jestem ich klientem w innych sprawach, pewnie im się pomyliło. Mogę państwu służyć moimi prawdziwymi wynalazkami i pomysłami. Na nich też można dobrze zarobić, jeśli macie państwo środki na zainwestowanie.

— Środki mamy. Ale interesuje nas tylko perpetuum mobile.

— Sorry, jak mówią pana krajanie. Tego nikt nie wymyślił, to niemożliwe.

— Ja wierzę, że dla takiego

wynalazcy jak pan nie ma rzeczy niemożliwych — puścił się na pochlebstwo Tambor.

— Podnosi mnie na duchu pana wiara we mnie — odrzekł Widlak ze śmiechem. — Ale jako inżynier znam prawa fizyki i o perpetuum mobile nie będę nawet myślał, bo szkoda czasu. Gotów jestem za to służyć panu moją wiedzą w każdy inny sposób.

Tambor zrozumiał, że prostą namową nie nakłonił Widlaka do sprzedaży cudzoziemcowi wynalazku, który jego państwo utajniło. Motywem odmowy mógł być patriotyzm albo strach. Doświadczenia wywiadu uczyły, że oba te opory można pokonać, trzeba jednak użyć środków bardziej wyrafinowanych. Należało o nich pomyśleć.

— Proponuję, żeby pan się spokojnie zastanowił — powiedział Tambor. — My się jeszcze zgłosimy. To byłaby transakcja niezwykle dla pana opłacalna.

— Chętnie bym ją zawarł, ale nie jestem w stanie dostarczyć towaru, jakiego pan żąda.

— Zgłosimy się jeszcze — powtórzył swą zapowiedź Tambor.

W drodze do hotelu Tambor myślał intensywnie. Kiedy znalazł się z Jolą w pokoju, powiedział do niej:

— Trzeba zacząć od broni seks. Musisz uwieść tego twardego, żeby zmięknął. Dasz radę?

— Z twarzy Joli wyczytało, że poczuła się dotknięta pytaniem.

— Ja nie dam rady uwieść? — odwróciła się tonem urazy.

— Czy pułkownik Knock przydzieliłby ci mnie, gdybym tego nie umiała?

— Przepraszam. Zatem do dzieła.

— Trudność tylko w tym, jak go dopaść samego, bez żony.

— To akurat łatwe. Zaczaj się przed fabryką, kiedy z niej wychodzi.

Pomyśl nie bardzo się Joli spodobał, ale zaakceptowała go. Ustili, że przystąpi do zadania nazajutrz po południu. Tambor miał aż do ósmej wieczorem pozostawić pokój w hotelu do jej dyspozycji.

XV.

Po kilku ruchliwych dobach Tambor miał przed sobą cały dzień bez zajęcia. Jola zaś — do popołudnia. Pogoda była piękna, więc Marek powoził ich nad pobliskie jezioro. Było ono zatruć, nie do kąpiei, lecz do pływania na łódzich jeszcze się nadawało. Marek zapewnił, że jest tam wypożyczalnia kajaków, co zachęciło zwłaszcza Jolę, lubiącą opalać się na wodzie.

C.D.N.